



OBALAMY KŁAMSTWA
NA TEMAT
DONALDA TRUMPA

BRONISŁAW
WILDSTEIN
OSTRZEGA:
ZNÓW
OCIEPLAJĄ PRL

PIŚ I KONFEDERACJA:
MIĘDZY
POROZUMIENIEM
A WOJNĄ

RĘKA, NOGA,
TRZECIA DROGA,
CZYLI WYPALONY
SOJUSZ PSL

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE

26 (604) 2024
24-30 czerwca 2024
CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)



PO PÓŁ ROKU RZĄDÓW TUSKA

POLSKIE GRANICE

PEKAJA

**NA ZACHODZIE NIEMCY MASOWO PODRZUCAJĄ MIGRANTÓW,
NA WSCHODZIE PRZEMYTNICY LUDZI DOSTALI ZIELONE ŚWIATŁO**



NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL

SALON

DZIENNIKARSKI

W POLSCE PL

SOBOTA 9:15

OGLĄDAJ NAS 

polsat box 
wcześniej Cyfrowy Polsat

NA POZYCJI

196

N E T I A

NA POZYCJI

192



NA POZYCJI

32

vectra

NA POZYCJI

825

PLAY
dawniej UPC

NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

Tak właśnie wygląda kondominium

Jakie byłyby wrażenia człowieka, który w październiku 2023 r. wyjechał z Polski i dziś do niej wrócił?

Wystarczyło kilka miesięcy, by zniszczyć coś, co pracownicy budowano przez osiem lat. Zatrzymano polskie inwestycje rozwojowe (CPK, atom, porty), zdemolowano budżet (znowu „piniendzy nie ma”), zniszczono pluralizm i wolność mediów (TVP przypomina dziś media okupacyjne) i dużą część kultury narodowej (kasują wszystko, co wzmacnia polski kod kulturowy).

Budowę silnej armii ograniczono do tych działań, z których nie dało się już wycofać. Duże kontrakty koreańskie, klucz do prawdziwego bezpieczeństwa, zawisły w próżni wytworzonej przez przywracanych do łask postkomunistycznych generałów.

Władza ogłasza nagle „dziurę budżetową” – widać mafie VAT-owskie uznały, że znów można kraść. Komisja Europejska przy bierności rządu zarządza drażniące cięcia w wydatkach. Mamy zbiednieć, mamy znowu wpaść w nędzę.

Państwo polskie jest świadomie niszczone, a bezpieczeństwo publiczne, które duża część społeczeństwa uznała za coś oczywistego, na naszych oczach przechodzi do historii. Otwarciu kraju przez reżim Tuska na masową migrację z krajów dalekich kulturowo oznacza radykalne pogorszenie życia milionów Polaków. Lawina właśnie ruszyła.

Tuski jego struktura precyzyjnie wykonują tu polecenia niemieckich panów, od których są uzależnieni. To, jak słusznie powiedział prezes Jarosław Kaczyński, partia zewnętrzna, która stworzyła zewnętrzny rząd. Mamy niemiecki najazd na Polskę dokonywany rękami rzekomo polskiej władzy.

Dlatego właśnie niemiecka policja wie, że nikt nie będzie bronił zachodniej granicy, dlatego pozwala sobie na podrzucanie nam migrantów. Podjeżdża niemiecki radiowóz i zrzuca ładunek. Co najmniej jeden taki fakt został udokumentowany, niemieckie media piszą o wielu podobnych. Skala zalewu Polski migrantami świadczy jednak, że to proceder na dużą skalę.

Reakcja polskiego premiera? Zapowiedź „rozmowy” z kanclerzem Niemiec w kuluarach europejskiego szczytu. Potem doniesie-

nia, że ponoć gdzieś przez minutę rozmawiali, niemożliwe do sprawdzenia. To kpina. Państwo polskie powinno zareagować oficjalnie, zwezwaniami ambasadora i natychmiastowym odesłaniem „prezentów” na drugą stronę.

Swoją drogą – to migranci nie są już skarbami, dobrem, które Niemcy ściągają z całego świata? Coś poszło nie tak? Coś się zmieniło?

Tak właśnie wygląda panowanie nad krajem podbitym: hamuje się jego szanse rozwojowe, zrzuca na niego swoje problemy. Brakuje jeszcze narzucenia złodziejskiej waluty, co też otwarcie zapowiadają.

Jednocześnie, i to ma sens, polska opinia publiczna jest zastraszana. W przestrzeni publicznej rządu nigdzie nieumocowany samowładczy, antypisowski sędzia śledczy, krążą listy proskrypcyjne, o aresztach decyduje się na szczytach władzy przed posiedzeniami sądów.

Zamordyzm ma poparcie brukselskiego centrum. „Świetna robota” – chwali Tuska pani Ursula von der Leyen. Sługa zadowolony.

Von der Leyen ma pewnie na myśli także zniszczenie morale obrońców wschodniej granicy. Rząd Prawa i Sprawiedliwości stał za nimi murem, rząd Tuska powołał specjalny zespół prokuratorski do ich ścigania.

Po zatrzymaniu żołnierzy, którzy ośmielili się użyć broni wobec napaści kilkudziesięcioosobowej bandy, wszyscy już wiedzą: za skuteczną służbę czeka was kara. Morale upadło. Granica wschodnia pęka pod naporem.

Władzę wzięły oszalałe aktywistki, uważające sam fakt obrony granicy za zbrodnię i one nadają ton, one bez wstydu i obawy organizują dziś przerzut migrantów. Jak reaguje szef MON? Prosi, by tego nie robiły.

Podsumujmy: po pół roku rządów zewnętrznych pęka granica wschodnia, a na zachodniej rządzą Niemcy. Tak właśnie wygląda kondominium – teren zarządzany przez siły zewnętrzne.

To niestety dopiero początek. Wchodzimy w ciemny czas. Jeszcze mamy możliwości obrony, jeszcze są narzędzia, trochę wolnych mediów i silna partia opozycyjna. Obóz rządzący jednak nie ukrywa, że jego celem jest faktyczne zlikwidowanie demokracji. Bo gdy likwiduje się opozycję, zamyka ją w więzieniach, demokracja staje się fikcją.

Michał Karnowski





34

Potrzebna nam
nowoczesna obrona
cywilna
Marek Budzisz



37

Z prof. Mariuszem
Jędrzejko
rozmawia Dorota
Łosiewicz



59

Aż po horyzont
*Jolanta
Gajda-Zadworna*

NA POCZĄTEK

- 5 **OSWAJANIE PRL**
Bronisław Wildstein
- 6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 **ROZMOWY BIDETERALNE**
Krzysztof Feusette
- 9 **NIC NIE WIEM I JESTEM
Z TEGO DUMNA**
Dorota Łosiewicz
- 10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 **RZĄD DO WYMIANY!**
Jan Pietrzak
- 12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 **UNIA TOTALNA**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 14 **WALIZKA MARTY WIEJAK**
Michał Korsun
- 16 **TO SĄ BARDZO PROSTE SZTUCZKI**
Samuel Pereira
- 17 **PERKAL I KORALIKI**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

- 18 **POLSKIE GRANICE PĘKAJĄ**
Marek Pyza
- 22 **CENA, JAKĄ ZAPŁACIMY**
Aleksandra Rybińska
- 24 **KNEBEL RASIZMU**
Konrad Kołodziejski

KRAJ

- 27 **PIŚ I KONFEDERACJA: MIĘDZY
POROZUMIENIEM A WOJNĄ**
Piotr Gursztyn
- 30 **RĘKA, NOGA, TRZECIA DROGA**
Stanisław Janecki
- 32 **UŚMIECHNIĘCI WICEMINISTROWIE**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 34 **POTRZEBNA NAM NOWOCZESNA
OBRONA CYWILNA**
Marek Budzisz
- 37 **Z PROF. MARIUSZEM JĘDRZEJKO**
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 42 **HIT NETFLIXA KRĘCONY
NA GROBACH POLSKICH BOHATERÓW**
Stanisław Płużański

ŚWIAT

- 44 **MOSKWA PO WIELKIM ZWROCIE**
Jan Rokita
- 47 **TĘCZOWY TERROR**
Małgorzata Wołczyk
- 50 **KTO SIĘ BOI DONALDA TRUMPA**
Dariusz Matuszak

OPINIE

- 52 **Z REMIGIUSZEM OKRASKĄ**
rozmawia Goran Andrijanić

SIECI KULTURY

- 59 **AŻ PO HORYZONT**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 62 **ZEMSTA „SALONU”**
Maciej Walaszczyk
- 64 **BEZKSZTAŁT KONTRA SATANIZM**
Robert Tekieli
- 65 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 66 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

KUCHNIA

- 68 **MOJE SMAKI: KONRAD BUDZYK**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 70 **FINIS POLONIAE?**
Wojciech Reszczyński
- 71 **OBÓZ EUROPY**
Aleksander Nalaskowski
- 72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 73 **NIEMCY, EURO 2024, PIŁKA I RASIZM**
Ryszard Czarnecki
- 74 **NIE O TAKĄ CHODZI**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

BRONISŁAW WILDSTEIN

Oswajanie PRL

Rozmówcy w radiu ekscytują się. Obchodzimy 50. rocznicę „Czerdziestolatka”, „kultowego” serialu epoki Gierka. Komentatorzy rozwodzą się nad barwnością i wesołością gierkowskich czasów. W rzeczywistości specyficzną aurą komunizmu była właśnie szarzyzna, która odbijała beznadziejność bytowania w tamtym systemie.

Nic dziwnego, że wracamy do PRL. Ludzie czują potrzebę zrozumienia nieopisanych okresów swoich dziejów, a takim jest komunistyczna Polska. Tylko że to, co obserwujemy dziś, to nie próba zrozumienia, ale mistyfikacja tamtej epoki. Zamiast przemyślenia mamy do czynienia z banalizacją, a więc oswajaniem jej jako odbiegającej od innych rozdziałów naszej historii głównie scenografią.

Zgodnie z tym ujęciem wprawdzie funkcjonowała wtedy jakaś z natury rzeczy zła cenzura, obowiązująca ideologia i monopartyjne rządy blokowały demokrację, ale wszystko to stanowiło jedynie cienką powłokę, pod którą życie buzoowało w sposób niespecjalnie odbiegający od tego, co dzieje się dziś. Komunizm miał być przede wszystkim śmieszny, a więc realnie niegroźny, a ludzie radzili sobie z nim jak dzisiaj z rozmaitymi politycznymi problemami. Wizja ta, która wyziera np. z serialu TVP o Osieckiej i generalnie ze sposobu przedstawienia epoki, jest gruntownie skłamana.

Na jej popularność składa się kilka czynników. Z jednej strony siła dominującego postkomunistycznego układu III RP, który ją kreuje. Pierwotnie blokował on przemysł tamtych czasów. Już na początku lat 90. byliśmy podobno „zamęczeni przez historię”, chociaż w rzeczywistości w ogóle się nią nie zajęliśmy. Oficjalny obraz PRL w czasie jego trwania malowała propaganda, a po jego upadku, chociaż w ogóle nie został on całościowo zrewidowany, mieliśmy o nim zapomnieć.

Śluchając postkomunistów, wnioskować należało, że komunizm nigdy nie było. Może do pewnego stopnia za Stalina, ale od 1956 r. w żadnym wypadku. Okazywało się, że działacze partii komunistycznej nigdy komunistami nie byli, a fakt, że dostosowywali się do oficjalnego rytuału, miał niewiele znaczyć.

Realne zmierzenie się z prawdą i odsłonięcie odrażającej charakterystyki ustroju zmuszałoby tych, którzy robili w nim kariery, do rozliczenia się ze swojej życiowej drogi. Nie każdy awans był godny potępienia, wielu ludzi pomimo komunistycznej presji potrafiło dokonać rzeczy sensownych, ale zawsze okupione było to kompromisami z moralnością i zdrowym rozsądkiem, daleko przekraczającymi te, do których zmuszani jesteśmy w umownie normalnych warunkach społecznych.

W dziennikarstwo np. wpisana była propagandowa funkcja i tylko jednostkom udawało się od niej wykręcić. Ale odsłaniając to, jak można by apoteozować ciągłość „Polityki” czy

kultywować pamięć ówczesnych gwiazd w rodzaju Ryszarda Kapuścińskiego?

Trudność z rozliczeniem PRL wiąże się z tym, że wszyscy, którzy w nim żyli, zmuszani byli do podławych ustępstw. Im wyżej na drabinie społecznej, tym bardziej, ale także losy zwykłych ludzi pełne były upokarzających doświadczeń, których wolą oni nie pamiętać. Oczyszczające dla wszystkich byłoby stawienie temu czoła, zwłaszcza w kontekście fenomenu Solidarności, który stanowił narodowe odrodzenie. Tymczasem drugą stroną oswajania PRL jest deprecjonowanie właśnie tego ruchu. Jeśli komunizmu w Polsce właściwie nie było, a ustrój był jedynie śmieszny, to jak można ekscytować się oporem przeciw niemu, jak eksponować jego wielkość?

Presja postkomunizmu spowodowała, że Polacy gremialnie wybrali amnezję, ale ponieważ taki stan rzeczy jest nie do utrzymania, zamiast rozliczenia opowiadamy sobie bajeczki o systemie, który przypomina mityczną Galicję Franza Josepha. Paleczkę tej mistyfikacji jeszcze bardziej nieświadomie przejmują dziś kolejne pokolenie.

Ten stan rzeczy pogłębia ideologia liberalna, która usiłuje kwestionować każdą wspólnotę. Prawdziwy obraz zniewolenia Polaków przez komunizm i ich oporu w obronie tożsamości musiałby prezentować wątki heroiczne, dowartościować religię, Kościół oraz polską tradycję, a to przecież ma zostać zdekonstruowane w celu emancypacji jednostki.

Ideologiczne schematy przesłaniają historyczną prawdę. Charakterystycznym zjawiskiem jest pogarda dla martyrologii, którą udało się narzucić do tego stopnia, że uczestnicy bohaterskich przedsięwzięć, opowiadając o nich, czują się w obowiązku zastrzegać, że nie chcą w żadnym wypadku popadać w „martyrologię”, która stanowić ma grzech główny mówienia o historii.

Niszczenie pamięci żołnierzy wyklętych, którzy stanowili ostatnie polskie powstanie ludowe można uznać za symbol strategii, która uderza w naszą tożsamość. Z komunizmu można się pośmiać, ale broń Boże nie wolno odsłonić całej grozy i lęku, który wywoływał on w Polsce aż do swojego upadku.

I jak zwykle w przypadku historii rzecz dotyczy nie tylko przeszłości, lecz także naszej teraźniejszości.



Sygnalista nadaaje

Minister obrony narodowej zwrócił się z apelem do aktywistów pomagających imigrantom, którzy próbują przedostać się do Polski z Białorusi. „Odzdzielmy pomoc humanitarną w pomocy w przekraczaniu granicy. Proszę tych, którzy mają dobre intencje, aby nie działali na rzecz ułatwiania ataku na polskich żołnierzy czy funkcjonariuszy” – mówił **Władysław Kosiniak-Kamysz** w Polsat News, dodając: „W pełni popieram i rozumiem chęć pomocy drugiemu człowiekowi, ale wskazywanie miejsca na granicy, gdzie nie ma żołnierzy oraz straży, jest nieodpowiedzialne. Zaprzestanie takich działań!”. Cóż, apel tu na pewno nie pomoże. Pod rządami Tuska państwo polskie jest niezdolne do skutecznej obrony granicy.

Portal wPolityce.pl otrzymał list od pragnącego zachować anonimowość żołnierza, który przeszedł „szkolenie prawne” związane z obroną polskiej granicy wschodniej. Relacja szokuje: wskazuje, że przełożeni otwarcie zalecają żołnierzom, by nie używali broni nawet w sytuacjach skrajnych, niosących ze sobą oczywiste zagrożenie zarówno dla żołnierzy, jak i dla szczelności granicy. „Szkolenie zakończyła praktyczna rada – jeżeli nastawienie prokuratorów się nie zmieni, to na granicy żołnierze, by nie mieć stawianych zarzutów, powinni jak najmniej reagować na prowokacje ze strony napastników i ograniczyć swoje działania jedynie do raportowania o kolejnych przekroczeniach granicy”. To jest dramat: Polska Tuska rozbroiła swoich obrońców.

Nadal działa też „zespół hańby”, czyli powołana przez bodnarow-

ców specjalna ekipa prokuratorska badająca „przekroczenia uprawnień i niedopełnienia obowiązków przy wykonywaniu czynności związanych z ochroną granicy państwa przez funkcjonariuszy straży granicznej, policji i innych służb w okresie od września 2021 r. do marca 2024 r. przy granicy polsko-białoruskiej”. To jest realny wektor intencji tej ekipy, która w ten sposób paraliżuje obronę granicy i stawia pod prężierzem jej obrońców. I także wyraźne wskazanie, że to nie Władysław Kosiniak-Kamysz rozdaje w wojsku karty, ale Tusk i jego najbliższa ekipa.

W sprawie imigracji Tusk desperacko trzyma się kłamstwa wizowego, które w istocie dało mu wyborcze zwycięstwo. Ostatnio przekonywał, że PiS „w ciągu jednego dnia ściągało więcej migrantów z Azji i Afryki niż w przeciągu miesiąca przedostaje się nielegalnie przez wschodnią granicę” i „ponosi pełną odpowiedzialność za ten kryzys migracyjny”, ale „równocześnie czyni z tego taki pretekst czy powód”, żeby prowadzić „później rasistowską, obrzydliwą polityczną narrację” i „bardzo brutalną kampanię przeciwko polskiemu rządowi, bardzo sprzyjającą narracji putinowskiej”. Uff... Jeśli te słowotoki są główną linią obrony, to na długo nie przykryją prawdy.

Tusk powiedział także, iż „jest specjalne miejsce w piekle politycznym dla tych, którzy wpierw powodują problemy na granicy, a później robią z tego tzw. polityczne złoto”. I że ma nadzieję, iż „wreszcie ktoś ich powstrzyma w tym bezwstydnym i takim dla nich hańbiącym traktowaniu tej

Pęka granica wschodnia, a na zachodniej Niemcy robią, co chcą. Po bezprawnym podrzuceniu przez niemiecki patrol na polską stronę rodziny afgańskich imigrantów, w mediach zawrzało. Donald Tusk ogłosił po rozmowie z kanclerzem Niemiec Olafem Scholzem, że szef niemieckiego rządu „zobowiązał się do wyjaśnienia tej sprawy”. Może i wyjaśnił, ale nie rozwiązał. Według niemieckiego dziennika „Süddeutsche Zeitung” proceder trwa, i to na większą skalę, a zdarzenie w Osinowie Dolnym wcale nie było incydentem. Przymusowa relokacja już ma miejsce, rząd z nią nie walczy, bo nie jest suwerenny.

sprawy”. „Nic nie zrobili, żeby zatrzymać tę falę, wszystko robią, żeby wzbudzić strach, lęk, żeby ta narracja putinowska była coraz silniejsza” – przekonywał. Na pewno w piekle jest specjalne miejsce dla tych, którzy wygaszają polską niepodległość. Takie bez apelacji.

Wspomniany już **Adam Bodnar** przesłał do Sejmu wniosek o wyrażenie zgody na pociągnięcie Marcina Romanowskiego, posła Suwerennej Polski, byłego wiceministra sprawiedliwości, do odpowiedzialności karnej oraz jego zatrzymanie i tymczasowe aresztowanie. Sprawa dotyczy śledztwa ws. Funduszu Sprawiedliwości. „Chcemy postawić Marcinowi Romanowskiemu zarzuty działania w ramach zorganizowanej grupy mającej na celu popełnianie przestępstw; w sumie za wszystkie przestępstwa grozi mu kara pozbawiania wolności do 15 lat” – ocenił neo-Prokurator Krajowy Dariusz Korneluk. To oczywista hucpa i przesładowanie opozycji. Stajemy przed dramatycznym pytaniem: jak żyć i co robić w kraju, w którym władza trzyma za kratami więźniów politycznych?

Portal wPolityce.pl potwierdził, że ks. Michał Olszewski, prezes fundacji Profeto, która otrzymała wsparcie z Funduszu Sprawiedliwości na budowę ośrodka dla ofiar przemocy, pozostanie w areszcie przez kolejne trzy miesiące. Decyzję podjęła sędzia Anna Kuzaj, delegowana do Sądu Okręgowego. Z jej oświadczenia, widniejącego na stronie Sądu Apelacyjnego w Warszawie, wynika, że jest ona członkiem skrajnie upolitycznionego stowarzyszenia „Iustitia”. Cóż, ścigani przez władzę nie mają nawet prawa do uczciwego sądu. A o ks. Olszewskim pamiętamy. Trzeba pamiętać o każdym więzionym z powodów politycznych.

W finansach publicznych krach. „Dziura Domańskiego może wynieść kilkadziesiąt miliardów złotych ponad planowany deficyt budżetowy (184 mld zł)” – wylicza serwis biznesowy „Gazety Wyborczej”. Jak czytamy, wpływy z VAT mogą być w br. niższe o 25–28 mld zł, niż planowano. Były premier **Mateusz Morawiecki** podsumowuje: „Po 6 miesiącach ministrowi Domańskiemu udało się to, co Rostowskiemu zajęło 2 lata”. I dalej: „Wszystkim, którzy twierdzą, że gdyby rządził PiS, byłoby to samo, polecam spojrzeć na nasze 8 lat. Przez ten czas, mimo serii konfliktów i braku dobrej woli ze strony Komisji Europejskiej, nikt nie był w stanie objąć nas procedurą nadmiernego deficytu”. Oni po prostu nie potrafią rządzić.

Jak wynika z nieoficjalnych doniesień Polityki Insight, „spółka ZE PAK kontrolowana

przez Zygmunta Solorza miała zostać poinformowana przez przedstawicieli rządu oraz PGE o zamrożeniu prac związanych ze wspólnym projektem budowy elektrowni jądrowej, za którego realizację miał odpowiadać koreański koncern KHNP”. A więc i tego projektu nie będzie. Wicepremier **Jacek Sasin** komentuje: „Będziemy kupować prąd z niemieckich elektrowni węglowych zamiast stawiać ambitnie na własną energetykę jądrową, a rachunki za prąd będą rujnować Polaków. Ale co tam! Zadowolenie rządu w Berlinie najważniejsze, a on nie chce elektrowni jądrowych w Polsce. Tusk i jego rząd zagrażają żywotnym interesom Polski. W Berlinie otwierają szampana!”. To już nie jest nieudolność, to świadome mordowanie polskiej gospodarki. Bez energii z atomu za paręnaście lat nad Wisłą będzie gospodarcza pustynia.

Maciej Wilk, prezes Stowarzyszenia „TAK dla CPK”, dokonał analizy wpisów **Donalda Tuska** na platformie X (d. Twitter) od momentu, kiedy został on powołany na stanowisko premiera do teraz i stwierdził, że żaden z nich nie był poświęcony projektom, które decydują o rozwoju Polski w najbliższych latach. Przez te pół roku premier nie poświęcił ani jednego wpisu Centralnemu Portowi Komunikacyjnemu, budowie pierwszej elektrowni atomowej, inwestycjom w koleje, drogi czy inne przedsięwzięcia infrastrukturalne. Jak zauważył poseł PiS Zbigniew Kuźmiuk, „to ustalenie z jednej strony wręcz przerażające, że premier blisko 40-milionowego kraju nie myśli wcale o inwestycjach o charakterze rozwojowym, z drugiej przynębiające, bo przecież przez ostatnie lata Polska bardzo mocno skróciła dystans do najbardziej rozwiniętych krajów UE”. Powodów do smutku, a nawet rozpacz, jest wiele, ale w głowie kołacze jednak myśl, że póki my żyjemy, ona żyje też.

Poseł PiS Robert Telus, były minister rolnictwa, od 1999 r. prowadzi hodowlę konika polskiego. Wykorzystuje do tego grunty wydzielone legalnie od Lasów Państwowych, płacąc największy czynsz w województwie łódzkim. „Prowadzę stado zachowawcze, to znaczy odbudowy rasy konika polskiego. To stado jest pod nadzorem Związku Hodowców Koni, ale również Instytutu w Balicach, gdyż aby odbudować tę naszą polską rasę koni, musi to być pod pieczęcią tego Instytutu” – opowiada poseł. Po zmianie władzy zaczęto szukać pretekstu, by wypowiedzieć umowę dzierżawy. „Kilka różnych kontroli nic nie znalazło, żadnych uchybień, ale i tak Lasy Państwowe ją rozwiązały i pismo w tej sprawie dostałem” – opowiada Telus. Ta władza jest nie tylko nieudolna, lecz także mściwa i złośliwa. Czysta toksyka.



Rozmowy bideteralne



KRZYSZTOF FEUSETTE

– Dzień dobry, czy można?
 – Ale co?
 – Skorzystać?
 – Czy ja wyglądam na babcię klozetową?
 – Nie! Absolutnie! Źle zacząłem, po prostu...
 – My się znamy?
 – Aż za dobrze. Nie chcę teraz podawać ręki, bo jestem....
 – Nad pisuarem. A ja ci podam, młody człowieku, poczekaj, tylko przełożę... Guten morgen, z kim mam przyjemność?
 – Jak to, pan kanclerz nie poznaje?
 – Poznaję, poznaję. Jaja sobie robię. Ty na „dwójeczkę” czy „jedynekę”?
 – Nie no, normalnie.
 – A zawodu kim jesteś, bo już widzę, to znaczy słyszę, że mi się podobaś.
 – Donald z tej strony kabiny. Czy można zająć chwilę w temacie incydentu?
 – Kto?
 – Pan kanclerz mnie wkręca?
 – Kto?
 – Kanclerz?
 – A kogo ty w ogóle szukasz, młodzińcze? Czy mogę ci jakoś pomóc, jak już stąd wyjdę?
 – Ja? Ja, może pan kanclerz. Chciałem... to znaczy... isbite... k... nie isbite, islibe... ja p...dolę, że też teraz mi ta aplikacja siadła!
 – Co wam siadło?
 – Wszystko mi siada. A najbardziej nerwy. Teraz to już wszystko jest rosyjską narracją. Nagle się dowiaduję, że wasi nam przejechali migrantów. Potem się okazuje, że tylko przywieźli. Typowa szajse burza, bo przyjeśliśmy już ze 3,5 tys. Halo, czy pan kanclerz mnie słyszy? Ta spluczka strasznie głośna! Halo?! Kabinen?
 – Jestem, jestem. Wyborcza mi się rozwinęła na pół kibla, to musiałem łapać. Donald, przyjacielu, odpowiedz mi tylko na ajne kłajne pytanie, żebym wiedział, że to naprawdę ty. Chciałeś się kumplować z Putinem?
 – Nigdy w życiu. Nawet pięści zaciskałem, jak się uśmiechał.
 – Donald, to ty! Jak ja dawno o tobie nie myślałem. Co tam w Polsce słychać? Ale fajny grosse bidet... Poczekaj, żeby mi się pomyliło...Dobra, melduj, bo akurat mam chwilę...
 – No, przecież melduję od początku. Nie może być tak, że wasi Niemcy...
 – Co znaczy „Niemcy”? To jest dla was coś gorszego?
 – Dla mnie? A czy mnie order Karola Wielkiego święta Angela za darmo w pierś przypinała? Przecież ja z troski dzwonię. Ludzie się burzą, że wasi żandarmi benefity nam podsyłają zanim pakt na dobre zacznie obowiązywać.
 – To co? Mają pomóc rozłokować? Wojewodiren wam nie odpowiedziały? Jak potrzebujecie, oni przyjadą i pomogą, gdyż mają doświadczenie w kontaktach z inżynierami i lekarzami uzbrojonymi w dzidy. Wojska może i nie mamy, ale policję z dziada pradziada zaprawioną. W bojach i nie tylko. I to są wszystko ludzie świetnie mówiący po niemiecku...

– Na razie dziękuję. Danke szen. Ja muszę jeszcze wiele spraw poprowadzić, a potem się zobaczy, czy, że tak powiem, szlabany ruszyły. Tutaj jest specyficzna atmosfera, taka nieunijna, jeśli chodzi o tak zwaną..., k..., zawsze mi to z głowy wyleci... niegospodarność...niepodległość...? Mam tylko ajne prośba, to znaczy prośbę... Ja się naprawdę wściekłem...
 – Potrzebujecie szczepionka? Pierwszy raz?
 – Nie, ja się non stop wściekam, jak nic nie mogę, gdyż zawsze jest za późno. Albo jak trzeba pożar gasić.
 – Poczekaj, bo wodę spuszczałem i nic nie słyszałem.
 A propos, nie wolałbyś się umówić na spotkanie tak oficjalnie, bilateralnie?
 – Nie wiedziałem, że mogę. Ja jestem tak wdzięczny za KPO, że mogę przyjąć każdą ilość.
 – A poza tym...
 – A poza tym: koniec z CPK!
 – Brawo. A swoim dziennikarzom powiedzcie, że rozmawialiśmy. Ja jeszcze posiedzę. Od wyborów tak mnie goni. Lewatywa dla Niemiec, psia kość. Powiedz mi Donald, co ludzie widzą w AfD? Przecież oni są eurosceptyczni!
 – Słucham? Ręce myłem, nie słyszałem.
 – Myj, myj. Ręce czyste, myśli ojcyste. Na szparagi wpadnij kiedyś. Najajach są najlepsze. O Republiko Federalna Niemiec, ile ty papieru zużywasz...
 – To tak słychać? Ale da się rozmawiać?
 – O czym? Ubolewanie wyrażam, chyba widać. Inaczej bym z tobą w toalecie nie rozmawiał. Że cię ochrona przepuściła?
 – O dziadku opowiedziałem. I że premier Polski, kolega Ursuli, reparacje najn, najważniejsze, że jestem. To znaczy, w tym miejscu historii, bo ja z wykształcenia jestem historykiem, mnie relacje polsko-niemieckie, to znaczy powinno się chyba zaczynać od większego kraju, więc niemiecko-polskie, obchodzą od małego. Dla mnie polskość to jest jednak, mimo wszystko, a może właśnie przez to, że mnie po raz trzeci premierem zrobili, nie-normalność. To znaczy, czuję na barkach.
 – A wy wpływacie?
 – Ale nie na barkach. Na barkach mam ciężar, jakim jest osadzenie Polski, mojej europejskiej ojczyzny, tam, gdzie jest.
 – Czyli gdzie?
 – Na mapie Europy.
 – I co wam się w tym osadzeniu nie podoba?
 – Mnie wszystko. I molo w Sopocie z Putinem, i fotobudka z Bidenem. Ja już taki jestem, że u mnie na pierwszym planie jest ojczyzna. A ojczyzna, to jest takie coś, co jest wpisane w to słowo. „Oj, czy zna mnie ten pan albo ta pani?” To jest kluczowe. Na przykład w Peru rozpoznają mnie po czapce, a w Niemczech po czynach. W Polsce niektórzy dopiero się poznają.
 – Ja, ja. Fajnie opowiadacie. Jeszcze sobie kiedyś pogadamy, ale muszę wracać do gości. Jakbyście byli tak mili i podali mi mydło, bo mi się nie chce schylać.

Joanna Scheuring-Wielgus z Lewicy, która uzyskała mandat europosła (oprócz Krzysztofa Śmiszka i Roberta Biedronia), parę dni temu z rozbrajającą szczerością przyznała, że nie ma bladego pojęcia, czym jest unijna dyrektywa budynkowa.

Wszystko odbyło się na antenie radia RMF FM, w którym gościła świeżo upieczona europosłanka. Prowadzący audycję dziennikarz chciał porozmawiać z byłą wiceministrą kultury właśnie o dyrektywie budynkowej. „Dyrektywa budynkowa stała się... – rozpoczął. – Matko, nic nie wiem na temat tej dyrektywy – przyznała z rozbrajającą szczerością pani europoseł. – Całe bazarki o dyrektywie budynkowej gadały – zauważył prowadzący. – Zupełnie nic nie wiem na ten temat, nic – pogrążyła się Scheuring-Wielgus. – Konfederacja straszyła dyrektywą budynkową małe dzieci. Pani nic nie wie o dyrektywie budynkowej? – nie mógł uwierzyć dziennikarz. – Mówimy o jednej z dyrektyw Zielonego Ładu? Jeżeli chodzi o Zielony Ład, mówiłam o tym w kampanii wyborczej. Trzeba wrócić do idei, dlaczego w ogóle Zielony Ład powstał... – próbowała wybrnąć z kompromitacji Scheuring-Wielgus. – Ale ja serio pytam. Naprawdę pani nie wie, od kiedy te założenia? – nie odpuszczał prowadzący. – Nie, panie redaktorze, naprawdę nie wiem. Nie wiem wszystkiego. Do mnie to nie dotarło. U mnie nie było to tematem rozmów” – stwierdziła bez żenady polityk Lewicy. Trzeba przyznać, że pani poseł musiała mieć oczy i uszy szeroko zamknięte na wiedzę w tej sprawie, bo od marca o dyrektywie budynkowej mówią wszyscy.

Przypomnijmy w wielkim skrócie, że chodzi o to, iż nowe budynki muszą być zeroemisyjne od 2030 r., a nowe budynki zajmowane lub będące własnością władz publicznych muszą być zeroemisyjne od 2028 r. Zmiany czekają też stare budynki, a to wszystko pociąga za sobą koszty termomodernizacji. Wydawać by się mogło, że to temat szczególnie ważny dla socjalnej części elektoratu Lewicy. Choć ten z wyborów na wybory kurczy się tak szybko, że niedługo trzeba

Nic nie wiem i jestem z tego dumna

To, że pani Joanna nie ma nic do powiedzenia, udowodniła już wielokrotnie, a ostatnio tylko potwierdziła

stulował załatwienie końca zmiany czasu w Unii Europejskiej oraz obiecał wprowadzenia numeru PIESEL, czyli PESEL dla psów. Włodzimierz Czarzasty podczas jednej z konferencji zapowiadał z kolei, że „kończy się miękka gra z klerem”. W obliczu tych postulatów i głębokiej niewiedzy na temat przepisów przyjmowanych przez instytucje UE, z której to niewiedzy dumni są sami politycy, wynik Lewicy ledwie przekraczający 6 proc. łatwiej zrozumieć.

Jednak politycy Lewicy znaleźli winnego swej spektakularnej porażki. Ma być nim partia Razem. Zdaniem polityków Lewicy, w tym Scheuring-Wielgus, dla wyborców całkiem niezrozumiałe jest to, że ugrupowanie, które nie weszło do rządu i ostro go krytykuje, tworzy klub z partią, która jest w rządzie, a więc politycy Razem uderzają poniekąd w swoich kolegów z klubu. „Ludzie tego kompletnie nie rozumieją” – przyznała w pani poseł w Radiu ZET i dodała, że pogłoski o rozstaniu z partią Razem mogą być prawdziwe.

Sama wielokrotnie pisałam o absurdalności tej sytuacji i o tym, że ten klub prędzej czy później musi się rozpaść, jednak skazanie partii Razem na rolę chłopca do bicia skończy się tym, że w kolejnych wyborach Lewica znajdzie się pod progiem, bo nie wyciągnie z łomotu, jaki spuścili jej wyborcy, żadnych wniosków. Scheuring-Wielgus, która w kampanii do PE odpowiadała za komunikację, szukanie winnych mogłaby zacząć od siebie. Najwyraźniej słabo jej poszło zakomunikowanie elektoratowi, co ma do powiedzenia Lewica. A to, że pani Joanna nie ma nic do powiedzenia, udowodniła już wielokrotnie, a ostatnio tylko potwierdziła.

Dorota Łosiewicz



Zdrada Moskwy

Premier Armenii Nikol Paszinian zapowiedział, że jego kraj wycofa się z Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym (OUBZ), zdominowanego przez Rosję sojuszu wojskowego, który obejmuje kilka byłych republik radzieckich.

To odpowiedź na postawę Rosji wobec konfliktu ormiańsko-azerskiego, w którym Moskwa wyraźnie wzięła stronę Azerbejdżanu. Po przegranej przez Armenię wojnie z 2020 r. Rosja pośredniczyła w zawarciu rozejmu i rozmieściła swoje siły pokojowe na spornym terytorium Górskiego Karabachu. Rosyjscy żołnierze stali jednak bezczynnie, gdy Azerbejdżan ogłosił blokadę tego regionu. Moskwa nie zapobiegła też kolejnej wojnie w 2023 r., podczas której azerskie wojska zajęły Górski Karabach, zmuszając 100 tys. mieszkających tam Ormian do porzucenia swoich domów.

Armenia była w sojuszu z Rosją od chwili zawarcia paktu taszkienckiego w 1992 r. Moskwa miała gwarantować jej bezpieczeństwo, zwłaszcza wobec sąsiadnego Azerbejdżanu, który opuścił pakt w 1999 r. Wybuch wojny o Górski Karabach pokazał jednak, że rosyjskie gwarancje są niewiele warte, bo zamiast wesprzeć ormiańskiego sojusznika, Rosjanie stanęli po stronie jego wroga.



Azerbejdżan stał się dla Rosji bardzo cenny z powodu swoich rurociągów, którymi Moskwa chciałaby eksportować gaz do Europy. Jest to pilny problem, ponieważ z końcem br. upłyne ważność umowy o transzycie rosyjskiego gazu przez terytorium Ukrainy. Pomimo wojny nadal płynie on ukraińskim rurociągiem, jednak – co oczywiste – Kijów nie zamierza przedłużać kontraktu z Rosjanami. Przerzucenie rosyjskich dostaw do gazociągów azerskich i tureckich mogłoby rozwiązać problem. Rosja porzuciła więc Armenię na pastwę losu, aby bronić swoich interesów.

Zdaniem Nikola Pasziniana członkowie OUBZ nie tylko nie wypełnili swoich sojuszniczych zobowiązań, lecz także wraz z Azerbejdżanem zaplanowali wojnę przeciwko Armenii. I choć premier tego kraju nie zdradził, których

członków sojuszu ma na myśli, wyszło na jaw, że chodziło mu o Białoruś. Według portalu Politico Mińsk od 2018 r. aktywnie wspierał siły zbrojne Azerbejdżanu. Chodziło głównie o modernizację artylerii oraz dostawy dronów i sprzętu do walki elektronicznej. „Ten sprzęt został użyty z niszczyielskim skutkiem przeciwko wojskom ormiańskim i został dostarczony przez kraj, który rzekomo jest sojusznikiem Armenii” – powiedział Paszinian. „Jest to całkowite naruszenie traktatu OUBZ, ale w praktyce zawsze wiedzieliśmy, że ten blok bardziej wspierał Azerbejdżan”.

Nikt nie ma wątpliwości, że białoruska pomoc dla Azerbejdżanu byłaby niemożliwa bez zgody i inspiracji Rosji. Zresztą to nie pierwszy raz, gdy Moskwa posłużyła się reżimem Łukaszenki do swoich celów.

Konrad Kolodziejski

Premier Izraela Benjamin Netanjahu rozwiązał swój gabinet wojenny, pięcioosobowe ciało kierujące wojną przeciw Hamasowi, po tym jak dwaj centrowi politycy, Beni Ganc i Gadi Eisenkot, podali się do dymisji.

Gabinet wojenny miał być w założeniu czymś w rodzaju superrządu jedności narodowej. W jego skład oprócz Netanjahu, Ganc i Eisenkota weszli również partyjni koledzy premiera z prawicowego Likudu – minister obrony Jo’aw Galant oraz Ron Dermer, minister ds. strategicznych.

Odchodząc z rządu, Ganc zarzucił premierowi, że w swoich działaniach nie kieruje się interesem Izraela. Jak powiedział, „brzemienne w skutki decyzje strategiczne podejmowane są z wahaniem i zwłoką ze względów politycznych”. Obserwatorzy są zdania, że źródłem narastających podziałów w gabinecie wojennym była przede wszystkim kwestia zakończenia wojny. Przeciwnicy Netanjahu oskarżali go, że nie ma on strategii wypełnienia luki po Hamasie w Strefie Gazy, nie ogłosił planu uwolnienia ponad 100 zakładników pozostających w rękach

Netanjahu coraz słabszy



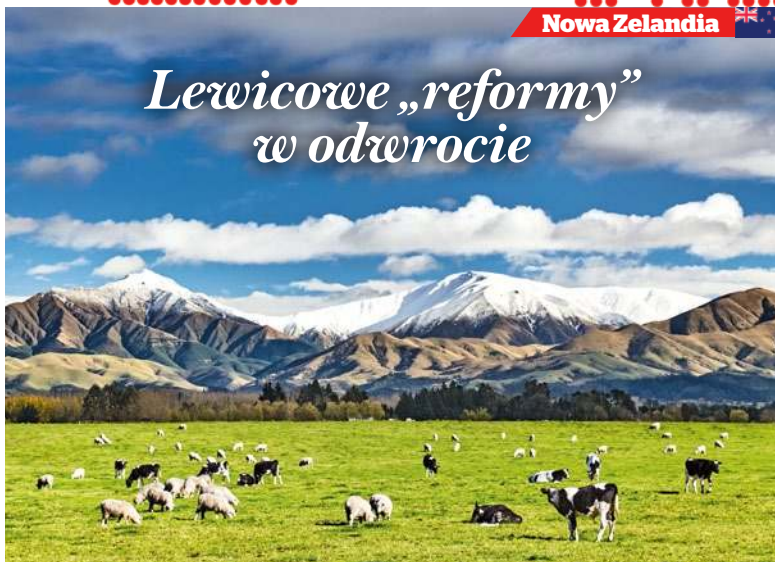
tej organizacji i będąc pod wpływem ministrów z partii skrajnych, pogrąża kraj w przedłużającym się konflikcie, co prowadzi do pogorszenia międzynarodowych relacji Izraela. Ganc domagał się również ogłoszenia przez Netanjahu planu powrotu izraelskich uchodźców na tereny przygraniczne z Libanem, które musieli oni opuścić z powodu ostrzału rakietowego ze strony Hezbollahu, a także ogłoszenia terminu przedterminowych wyborów.

Wyjście Ganc z gabinetu wojennego nie oznacza kryzysu parlamentarnego, bo jego partia nie była członkiem koalicji rządowej, nadal dysponującej 64 głosami w 120-osobowym Knesecie. Jednak pozycja polityczna Netanjahu jest coraz słabsza.

W świetle ostatnich badań opinii publicznej premiera popiera 34 proc. Izraelczyków, podczas gdy Ganc cieszy się uznaniem 42 proc. ankietowanych. Niewykluczone zatem, że przedłużająca się wojna z Hamasem doprowadzi w końcu do kolejnego przesilenia politycznego w Izraelu.

Marek Budzisz

Lewicowe „reformy” w odwrócie



Nowa Zelandia zrezygnowała z planów wprowadzenia „podatku od beknięcia”, a konkretnie opodatkowania gazów cieplarnianych emitowanych przez krowy i owce. W założeniu miał on doprowadzić do obniżenia ich emisji do atmosfery. Centroprawicowy rząd oświadczył, że wykluczy rolnictwo, a także producentów żywności i firmy nawozowe z krajowego systemu handlu uprawnieniami, który ma obowiązywać od 2025 r., skupiając się na poszukiwaniu innych sposobów redukcji metanu.

Sztuczny problem został wykreowany dlatego, że wzdęcia u bydła uwalniają metan, a oddawany przez nie mocz powoduje wyciek podtlenku azotu do atmosfery. Rolnicy będą teraz zachęcani do obniżania emisji, ale poprzez stosowanie technologii niepowodujących ograniczania produkcji i eksportu. Organizacje ekologiczne natychmiast przypuściły wściekły atak na rząd, oskarżając go o „prowadzenie totalnej wojny z przyrodą”. Według nich prognozowany wzrost kosztów produkcji mięsa i nabiału miał być wyrównany odpowiednim wzrostem ich cen. Jednak jak argumentuje minister rolnictwa Todd McClay, nie ma sensu wysyłać miejsc pracy i produkcji za granicę, szczególnie że jak dotąd nikt nie opodatkowuje w ten sposób produkcji żywności.

Forsowany na antypodach absurdalny podatek miał być pierwszą tego typu daniną na świecie, a jego wprowadzenie dwa lata temu przeforsował – mimo oporów rolników i producentów żywności – ówczesny rząd lewicowej Partii Pracy i byłej premier Jacindy Ardern. Miał on być ceną płaconą przez rolników i konsumentów za doprowadzenie do zerowej emisji gazów cieplarnianych netto do 2050 r. W Nowej Zelandii prawie połowa tych gazów jest emitowana przez populację ok. 10 mln krow i 26 mln owiec, a ich hodowla stanowi jeden z filarów gospodarki tego państwa.

Zwrot w polityce Nowej Zelandii jest jednak głębszy. Równolegle bowiem minister zasobów Shane Jones zapowiedział uchylenie innego absurdalnego zakazu dotyczącego poszukiwań ropy i gazu na terenie wyspy. To reakcja na malejące rezerwy paliw i niepewność dostaw energii ze źródeł odnawialnych, takich jak energia słoneczna, wiatrowa i wodna. Rychło w czas wycofano się więc z „kolejnego kroku do gospodarki neutralnej pod względem emisji dwutlenku węgla”, orientując się prawdopodobnie, że dla państwa mierzącego się z potężną chińską presją byłby to krok w przepaść.

Maciej Walaszczyk

Papież spotyka Boga?



Spotkanie premiera Narendry Modiego z papieżem Franciszkiem podczas ostatniego szczytu G7 stało się okazją do publicznego starcia między dwoma największymi partiami w kraju: rządzącą Indyjską Partią Ludową (BJP) i opozycyjnym Indyjskim Kongresem Narodowym (INC).

W Bombaju deputowany BJP Ashish Shelar nakazał wywiesić plakaty przedstawiające uścisk Modiego z Franciszkiem, opatrzone podpisem wychwalającym ich „wzajemną miłość, zaangażowanie i okazywany sobie szacunek”. Jeden plakatów zawisł przed wejściem do szpitala Świętej Rodziny, gdzie trzy lata temu zmarł jezuita ks. Stan Swamy, aresztowany na podstawie fałszywych zarzutów i zamęczony podczas dziewięciu miesięcy pobytu w więzieniu.

Parlamentarzystka Varsha Gaikwad z INC zarzuciła rządzącym hipokryzję. Jeśli politycy BJP tak szanują wyznawców Chrystusa, to gdzie byli – pytała – gdy „prześladowano chrześcijan w stanie Manipur, zniszczono 157 kościołów, a ponad 70 tys. ludzi zmuszono do opuszczenia swoich domów?”. Dopytywała, gdzie był Ashish Shelar, gdy umierał ks. Swamy, gdy hinduscy fundamentalści torturowali dyrektorkę chrześcijańskiej szkoły w mieście Pune i kiedy w Assamie zabroniono zakonnikom noszenia habitu.

Opozycja oskarżyła więc rządzących o fundamentalizm, choć wkrótce potem sama doczekała się podobnych zarzutów. Na kocie INC na platformie X (d. Twitter) zamieszczono wspomniane już zdjęcie uścisku Modiego z Franciszkiem, opatrując je podpisem: „W końcu papież miał szansę spotkać Boga”. Wpis wywołał liczne protesty, w tym także rządzącej BJP, która stwierdziła, że konto INC na X „wydaje się być prowadzone przez radykalnych islamistów lub partyzantów maoistycznych”. Pod wpływem krytyki Kongres usunął powyższy komentarz i publicznie przeprosił za niego tych chrześcijan, którzy poczuili „emocjonalny lub psychiczny niepokój”.

Podczas szczytu G7 premier Modi zaprosił Franciszka do odwiedzenia Indii. Ciekawe, czy papieska wizyta w tym kraju stanie się okazją do kolejnego starcia BJP z INC.

Grzegorz Górny

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Rząd do wymiany!



**Jan
Pietrzak**

Znajomy taksówkarz mówi: tak się porobiło, panie Janie, w ostatnich tygodniach, że nikt, kogo wiozłem, nie głosił na Tuska. Tak twierdzą. „La donna è mobile”, głosi piękna aria Verdiego, ale żeby wszyscy, niezależnie od płci, tak łatwo zmieniali zdanie? Jak się zastanowić, skłonność do szybkich zmian może być symptomem naszych czasów. Jeżeli ludzkość doszła do tego, że z dnia na dzień każdy może zmienić sobie pleć, to dlaczego nie może zmienić opcji wyborczej? Chodzi o to, żeby prawo nadążało za życiem, które pędzi coraz szybciej w nieznanym kierunku. Katastroficzne teorie nie przewidują niczego dobrego. Wystarczy jednak odpowiednio szybko podejmować decyzje, by uniknąć nadciągającej katastrofy w rodzaju zderzenia byka z parowozem.

Tak sobie kombinując nad ogólnymi problemami współczesności, przejdźmy do interesującego nas szczegółu: jak by tu zmienić polski rząd? Z obecnym nie wytrzymamy trzech lat. Zaorzą rolnictwo, zasypią kopalnie, zniwelują edukację, zakorkują miasta, rozbiorą wojsko, wyrąbiają lasy, zamkną szpitale... W „Tygodniku Solidarność” piszą o zamknięciu walcowni rur w Zawadzkiem: zwinie się walcownia, zwinie się miasto. Ciąg

dalszy dopiszcie sobie sami, rozglądając się po okolicy. Upadają: fabryka płytek ceramicznych Cerrad, porcelany stolowej Karolina, silników spalinowych w Bielsku-Białej, opon Michelin w Olstynie, 200-letni Krzysztof w Wałbrzychu. Powody te same: ceny gazu, opłaty ETS, wymagania Zielonego Ładu... Niech wam fachowcy wyjaśnią szczegóły! A rząd niech wyjaśni, czy zamierza się tym zająć.

To pytanie retoryczne, bo wiadomo, że naszego rządu te sprawy nie interesują. Powołuje się na swój liberalizm, ideologię głoszącą, że państwo nie powinno się wtrącać do gospodarki. Od tego jest niewidzialna ręka rynku. Teoria bardzo wygodna dla złodziei.

Kiedy w latach 90. rozkradano schedę po PRL, niczego nie można było uratować, bo ręka złodzieja była niewidzialna. Ówczesnego państwa to nie obchodziło. Teraz też nie obchodzi. A wiadomo – jeżeli jeden coś traci, inny coś zyskuje. Z obecnym gabinetem zawsze będziemy wyłącznie wszystko tracić. A więc – rząd do wymiany!

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Godzina próby PSL



**Dominik
Zdort**

Jest takie publicystyczne określenie jak „godzina próby”. Otóż teraz w Polsce mamy do czynienia z godziną próby Polskiego Stronnictwa Ludowego. Zaraz się dowiemy, czy nadal jest to partia postkomunistyczna, lewacka, zwalczająca polskie tradycje, czy może wyzwoliła się z tego schematu i poszukuje własnej drogi, jak inne partie ludowe w Europie, które stały się ugrupowaniami chadeckimi.

Nie chcę nikogo krytykować, szczególnie że lider tej partii Władysław Kosinak-Kamysz robi wrażenie człowieka bardzo przyzwoitego na tle tej całej przypadkowej rządzącej zbieraniny, co więcej, jako szef MON, jak widzę, robi rzeczy dobre, składa propozycje – oby udało mu się je przeforsować – pozytywne dla polskich żołnierzy, dające im możliwości sprawnego działania.

Tu uwaga na marginesie: nie pojmuję starań marginalnych środowisk lewicowych, które chcą, aby zmniejszyć uprawnienia żołnierzy, a dać więcej możliwości bandzirom nasyłanym przez Łukaszenkę, bo to się ociera o zdradę stanu.

Ale wracam do PSL, jedynej nadziei Polski w obecnym gabinecie. Jeśli partia ministra Kosiniaka-Kamysza nie zablokuje oszalałych pomysłów Barbary Nowackiej, ministra edukacji w rządzie Tuska, to zaraz znajdziemy się w Korei Północnej, i to z czasów Kim Ir Sena, a nie Kim Dzong Una. Poziom antyklerykalizmu, który zalał oczy wielu politykom, od Tuska

przez Nowacką i znacznie dalej, stanowi problem psychiatryczny, nie polityczny. Trudno nawet zbadać, czy to ma jakieś uzasadnienie socjologiczne, społeczne (bo raczej nie ma), czy jest raczej ślepą wiarą w to, że marsze proaborcyjne wariatek ze Strajku Kobiet były wyrazem społecznych emocji.

W rządzącej koalicji na PO nie liczę. Tusk wrócił z Merkelewskiej niewoli, a potem zniewolił, zgwałcił tę partię – choćby decyzją, że zwolennicy antyaborcyjnych poglądów nie znajdują się na listach wyborczych, odbierając szanse może najwybitniejszemu przedstawicielowi tego ugrupowania – Bogusławowi Sonikowi. Mam nadzieję, że Bóg nigdy nie wybaczy Tuskowi tej antydemokratycznej, antyklerykalnej i totalitarnej postawy, nawet jeśli jeszcze 10 razy sfotografuje się z rodziną przy ołtarzyku w swoim mieszkaniu.

Dziś PSL i jego przywódca muszą się wykazać honorem, twardością, własnym sumieniem. Zablokować niezgodne z prawem rozporządzenia minister Leszczyny. Nie dopuścić do wejścia w życie głupawych pomysłów minister Nowackiej. Bez tego możecie sobie zostać przystawką, którą powoli zżera Donek.

*Autor jest senior research fellow w projekcie
Ordo Iuris Cywilizacja*

Unia totalna



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Utopia, aby istnieć, musi zagwarantować sobie przewidywalność i niezmiennność, które wymuszają pełne podporządkowanie i kontrolę społeczeństwa. Utopiści są przekonani o swojej sprawczości i nieomyślności, które mają usprawiedliwiać przymus we wprowadzaniu zmian. Przemodelowanie stosunków społecznych uważali za konieczne przedstawiciele włoskiego faszyzmu, niemieckiego narodowego socjalizmu i sowieccy komuniści.

Korzenie współczesnej koncepcji stworzenia nowego człowieka sięgają czasów renesansu. W średniowieczu, powszechnie i niesłusznie określanym mianem wieków ciemnych, wedle dominującej w owych czasach myśli chrześcijańskiej, człowiek zajmował ściśle określone miejsce w hierarchii bytów. Według współczesnych konserwatystów posiada on tożsamość wielopoziomową, która jest określana przez jego związki rodzinne, lokalne i państwowe. Wedle renesansowych humanistów negujących chrześcijańską antropologię człowiek jest samokreátorem. Jakobiński terror, którego fundamenty tkwiły we francuskim oświeceniu, stanowił próbę realizacji utopijnej wizji stworzenia nowego człowieka wyzwolonego z chrześcijańskich ram. Rewolucja francuska (20 lat temu eurokraci chcieli wpisać bezpośrednie odwołanie do niej do projektu traktatu konstytucyjnego dla Europy) to pierwszy okres w dziejach Europy, w którym podjęto próbę całkowitego przekształcenia systemu społecznego i wykreowania nowego człowieka.

Ideologia sowiecka postrzegała człowieka przede wszystkim przez pryzmat jego fizyczności. Świadomość *homo sovieticus* miała być określana przez byt, a nie przez wolną świadomość ugruntowaną na wielopłaszczyznowej osobowości człowieka. Jednostki takie stają się bowiem podatne na rozpowszechnione w społeczeństwie ideologie.

Manifest z Ventotene Altiera Spinello, stanowiący ideologiczną podporę aktualnie procedowanej reformy (centralizacji) Unii Europejskiej, zdaje się nawiązywać do przekonań swego protoplasty. Spinelli wskazuje, że jego komunistyczna wizja Europy to nie wyraz potrzeb ludzkości, lecz inicjatyw, którą rozumie wyłącznie elita wiedząca lepiej, co dla szerokich mas będzie jedynie słuszne („Nasz ruch czerpie pewność co do celów i kierunków działania nie z rozpoznania jakiegś nieistniejącej jeszcze woli ludu, ale ze świadomości reprezentowania najgłębszych potrzeb nowoczesnego społeczeństwa. Dzięki niej nasz ruch wyznacza linie kierunkowe nowego porządku, narzucając jeszcze nieuformowanym masom pierwszą społeczną dyscyplinę”).

Według Rogera Scrutona to ideologie totalitarne sankcjonują resentyment elity, a bazują na resentymentach tych, których wsparcie jest potrzebne elicie. Konsekwencją jest przejęcie władzy przez elitę, która będzie usprawiedliwiać taki stan solidarnością z niesprawiedliwie wykluczonymi. Sytuacja tych drugich zmieni się jednak pod tym względem, że od tej pory będą oni nadal wykluczeni, ale w sposób sprawiedliwy, bowiem w imię ludu, a więc własne.

Starania o stworzenie nowego człowieka były podejmowane przez ustroje totalne bazujące na terroryzującym społeczeństwo

systemie i służącej mu ideologii. Władza totalitarna jest scentralizowana i nie podlega ograniczeniu przez prawo ani przez konstytucję. Totalitarna ideologia to system doktryn i idei, które uzasadniają i wzmacniają władzę totalitarną, często powołując się na znane z rewolucji francuskiej hasło „Wolność, równość, braterstwo”. Ukazuje ona system totalitarny jako rządy prawa. Szczytne wartości, do których odwołuje się władza totalna, wspierają wizję nowego, doskonałego społeczeństwa, która motywuje ludzi do zaangażowania i tłumaczy bezprawne działania podejmowane w imię wykreowanych wyższych celów (por. J. Baszkiewicz, „Władza”, Wrocław 1999).

Systemy totalitarne oznaczały wszechwładzę państwa i polityczne zniewolenie, prymitywizację kultury i życia intelektualnego. Osiągnięcie przez władzę totalną celu nadrzędnego usprawiedliwiała wszelkie środki podejmowane dla jego realizacji. Z historii wiadomo, że wiązało się to ze stosowaniem masowego terroru, masowych mordów, upowszechnieniem donosicielstwa, dewastacją więzi społecznych, powszechnym brakiem wzajemnego zaufania i zatomizowaniem społeczeństwa.

REKLAMA



"Księga"

ks. Łukasz Turek i Paweł Kęska
sobota godz. 20.10 i niedziela godz. 9.00

Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

13/0524/F



Walizka Marty Wiejak

aktorki, wokalistki i tancerki

Od 15 lat siedzę na walizkach. Zanim pojawiła się rodzina, bywało, że miałam próby w dwóch miastach, np. wieczorem kończyłam pracę w Poznaniu, a o 10.00 zaczynałam w Białymstoku. Bardzo dobrze wspominałam Gliwicę – ludzi i architekturę. Mam tam swoje ulubione kawiarnie i antykwariat. Czuję niedosyt Śląska, więc liczę na to, że będę mogła tam jeszcze wystąpić. Dużym sentymentem darzę Operę i Filharmonię Podlaską, która przyjęła mnie bardzo ciepło i gdzie grałam w „Skrzypku na dachu” oraz koncertowałam z big bandem. Odbylałam także wspaniałe podróże zawodowe za granicę. Uczestniczyłam w fińskim festiwalu operowym w Savonlinnie ze spektaklem „Traviata” w reżyserii Mariusza Trelińskiego, dwukrotnie występowałam w Londynie w The Club at The Ivy ze wspaniałym pianistą jazzowym Joe Thompsonem. Jednak moim domem jest Warszawa i tu spędzam najwięcej czasu, co nie zmienia faktu, że bycie freelancerem wymaga otwartości na kolejne podróże i wyzwania. Obecnie współpracuję z trzema stołecznymi teatrami. Są to Teatr Muzyczny Roma, z którym jestem związana od 12 lat – moje kreacje mogą zobaczyć najmłodszy widzowie w „Księżdzie dżungli” oraz „Alicji w Krainie Czarów”, Teatr Syrena („Rodzina Addamsów”) i Teatr Polski. Razem ze wspaniałymi aktorami biorę udział w spektaklu „Metamorfozy”, podczas którego można usłyszeć przedwojenne szlagiery w odważnych jazzowych aranżacjach stworzonych przez Nikołę Kołodziejczyka. Do zobaczenia w pociągu albo teatrze!



KAPELUSZE

Część mojej sporej kolekcji (ok. 25 sztuk) to pamiątki z podróży. Nie chodzę w nich już tak często, ale ciężko jest mi się ich pozbyć. O tym, jak bardzo związany ze mną był ten element garderoby, niech świadczy fakt, że dla niektórych nadal jestem „Panią w kapeluszu”.



PERFUMY

Lubię Chloé, ale nadal poszukuję mojego zapachu, który będzie uzupełnieniem mojej osobowości. Kręcą mnie zapachy uniseks.

CZERWONY NOTES

Z portretem Marii Callas. To pamiątka z Grecji, skąd pochodziła słynna śpiewaczka. Zapisuję w nim swoje myśli i nieśmiało teksty piosenek.





BUTY DO STEPOWANIA

Przygodę ze stepem zaczęłam, mając 12 lat, a najpiękniejszą lekcję odbyłam w 2017 r. w Nowym Jorku. To było coś cudownego, nadal pamiętam te emocje. Obecnie mam szczęście wykorzystywać tę technikę w spektaklu „Deszczowa piosenka” w Teatrze Muzycznym w Poznaniu.



PLETY

Posiadam ich niezliczoną kolekcję. Gdybym miała więcej czasu, częściej chodziłabym na koncerty, jamy jazzowe i bluesowe. Uważam, że muzyka potrafi wyrazić więcej niż słowa, zabiera nas w przestrzeń z wyobraźni i porusza duszę.

Właśnie kupiłam bilety na koncert Patti LuPone, który odbędzie się w lutym 2025 r. w Londynie. Kolejny wymarzony cel to koncert Joni Mitchell – kocham jej twórczość i afirmuję sobie tę podróż od kilku lat.

MAREK GRECHUTA

Moja muzyczna przygoda rozpoczęła się od miłości do poezji śpiewanej. Dużo jej słuchałam w latach licealnych, brałam udział w konkursach. Do Marka Grechuty i jego twórczości mam ogromny szacunek.



AGNIESZKA OSIECKA

Jej postać również wiąże się z moją fascynacją poezją śpiewaną. Podejrzewam, że nie odkryłam jeszcze wielu tekstów tej poetki. Zdjęcie pochodzi z prywatnej kolekcji Agnieszki Osieckiej. Kupiłam je na aukcji Fundacji Okularnicy.



BUTELKA

Wszędzie zabieram szklaną butelkę, żeby nie musieć kupować plastikowych. Na widok plastiku autentycznie odczuwam odragę i złość.

ZABAWKI

Swojego czasu w mojej walizce trzy czwarte miejsca zajmowały dziecięce akcesoria. Ten czas powoli mija, bo moja córeczka skończyła już trzy lata, ale często zdarza się, że gdy wyjeżdżam, podrzuca coś spontanicznie do bagażu.



SŁUCHAWKI

Lubię słuchać muzyki podczas podróży. Słuchawki służą mi także za stopery – w pociągu, gdy jest za głośno, czy w pokoju hotelowym, gdzie ktoś za ścianą chrapie, a ja mimowolnie analizuję każdy wydany przez niego dźwięk.



PODKŁADKI POD KUBKI

Pamiętki z podróży. Jedna pochodzi z Lizbony, okrągła jest z Sardynii. Doskonale chronią drewniany blat stołu.



OBRAZEK

Pamiętka z wymarzonego wyjazdu do Nowego Jorku. Broadway jest inspirujący i fascynujący – mam nadzieję, że kiedyś tam wrócę.

KREACJE

Bardzo lubię ubrania i kostiumy, które zaistniały na scenie. Ostatnio nabyłam kreacje z musicali „Evita” i „Jekyll & Hyde”, które nie będą już wystawiane – grałam w nich główne role. Na pewno znajdą się okazje, żeby je założyć.



SZMINKA

Bez niej czuję się bardzo źle. Mogą nie mieć make-upu, ale usta muszą być pomalowane.



Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**

To są bardzo proste sztuczki

Dla tych, co mają pamięć na tyle dobrą, żeby nie dać się oszukać, a przynajmniej nie dać się oszukać po raz drugi, to nie powinno być zaskoczenie. To powinna być dla nas wszystkich nauka. Prezes Stowarzyszenia „TAK dla CPK” Maciej Wilk przeanalizował 207 wpisów Donalda Tuska na platformie X (d. Twitter). Premier ma na niej konto od 2011 r. i na bieżąco (w ostatnich latach częściej niż do tej pory) publikuje swoje opinie, żarciki i hejty. Przedmiotem badania Wilka były tweety od momentu powołania Tuska na stanowisko szefa rządu do teraz. Wnioski, do których doszedł prezes, są proste, by nie rzec – prostackie: żaden z wpisów nie był poświęcony projektom, które decydują o rozwoju Polski w najbliższych latach. „Projekty? Rozwój? CPK? Atom? Porty? Koleje? Drogi? Infrastruktura? Nie ten adres” – skostatował Wilk.

Przy tej analizie zabrakło mi wniosków. Nietrudno dojść do nich ludziom, którzy obserwują drogę polityczną Donalda Tuska, szczególnie od czasu, gdy pierwszy raz został premierem, tj. od 2007 r. Gdy przepuścić wszystko, co mówi i pisze, przez sito, wychodzi, że każdy jego komunikat służy zafalszowaniu rzeczywistości albo jej przykryciu.

Widać to szczególnie od 2021 r., gdy wrócił z Brukseli jako jeszcze większy cynik, niż był do tej pory. Każde jego słowo i wpis służą odwróceniu uwagi od niespełnionych obietnic (86 proc. niezrealizowanych „100 konkretów”), rosnących cen żywności i energii, popieranego przez koalicję paktu migracyjnego i jego skutków dla Polski oraz każdego innego niekorzystnego z punktu widzenia jego interesów politycznych odzinka rzeczywistości.

To bardzo prosty zabieg. Niestety wciąż działa, bo nawet krytycy nowego-starego premiera nieraz dają się wodzić za nos i idą w rejon tematyczne, do których ten ich prowadzi. Donald Tusk ma taki, a nie inny sposób komunikacji i działania. On nie zmienia swojego podejścia – to my jako społeczeństwo musimy nauczyć się go „czytać” i to my mamy moc wyciągania wniosków. To są zbyt poważne sprawy i nie stać nas na to, żeby znów fałszował nam rzeczywistość prostymi sztuczkami.



Samuel Pereira

Z polonezem w tle

*Ze skrzypaczką **Joanną Morską-Osińską** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Co łączy Aldebrando Subissatiego z polskimi władcami?

Joanna Morska-Osińska: Dwór Wazów zawsze otaczał się artystami z Italii. Nie wiadomo, w jakich okolicznościach i kiedy dokładnie pozyskano skrzypka Subissatiego do kapeli królewskiej. Mógł przybyć do Polski już w 1645 r., ale jego obecność na dworze Jana Kazimierza jest udokumentowana dopiero od 1650 r. Jesienią 1654 r. wyjechał do Italii i już nie wrócił z powodu potopu szwedzkiego. Wpływ muzyki polskiej na sonaty, które Subissati skomponował w ostatnim roku życia, jest ewidentny. Widać go chociażby w częstym stosowaniu rytmu i charakteru poloneza.

Jak nagrywano utwory na dwupłytowy album „Subissati: Sonate Per Violino Solo E Basso Continuo”?

Zgodnie z XVII-wieczną praktyką wykonawczą – przy akompania-

mentem jednego lub dwóch instrumentów realizujących tzw. basso continuo. I tak pierwsze dziesięć utworów zostało nagrane z pozytywem (małe przenośne organy) i teorbą (instrument z rodziny lutni), a kolejne dziesięć z klawesynem i gambą (wielonczela bez nóżki).



Na czym polega oryginalność utworów Subissatiego?

Na tle włoskiej twórczości skrzypcowej XVII w. przejawia się ona w formie i stylu – to przede wszystkim utwory dwuczęściowe, podczas gdy normą były wówczas sonaty liczące od trzech do pięciu części. Poza tym są oparte na motetach, utworach chóralnych i mają charakter fantazji z wariacjami, dając muzykom olbrzymie pole do popisu interpretacyjnego. Sam Subissati zaleca zresztą improwizowanie dalszych partii, pisząc: „Kto chce, może kontynuować”.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

NA ZACHODNIEJ GRANICY STABILNIE. NIEMCY RELOKUJĄ DO POLSKI TYSIĄCE MIGRANTÓW I JESZCZE WIĘCEJ TON ŚMIECI.



TRENDY I OWĘDY

Perkal i koraliki

Przypisywanie Donaldowi Tuskiemu, że w pół roku doprowadził do zniszczenia Polski, to zbyt wysoka ocena jego wrażliwych zasług. To prawda, że jest bardzo zdolnym jurgielnikiem, ale na jego sukces wrogię nam dwory pracowały od lat. Obce media, NGO finansowane z zewnątrz, transferujące trujące ideologie, rozbudowana agentura wpływu, wyselekcjonowani celebryci, a do tego obcesowo wdrażana z Brukseli unijna „praworządność”.



Ryszard Makowski

Dwie kadencje rządów PiS wyłączenie opóźniły czas kolonizacji. Nie udało się realnie zmienić zainstalowanego, niszczonego nas porządku. Czy w sytuacji, w której Niemcy mogą swobodnie kwatrować u nas nachodźców i kazać nam ich utrzymywać na poziomie wyższym, niż mają niektórzy polscy obywatele, pozwala sądzić, że jako państwo mamy jeszcze podmiotowość? PiS do końca walczyło z niechcianymi „gośćmi”, organizując przy okazji wyborów referendum: „Czy popierasz przyjęcie imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki, w tym relokację na terenie Polski osób ubiegających się o azyl w Unii Europejskiej?”. Okazało się ono nieważne.

I tu pojawia się istotne pytanie: jak PiS mogło się nie zorientować, że szykowana jest akcja bojkotowania kart referendalnych w skali całego kraju? Przecież PO szkoliła członków komisji. Skąd ta niefrasobliwość? Teraz system się domyka. Wygląda to naprawdę groźnie. Czy jest jeszcze ratunek? Jest.

Natychmiastowe stworzenie w Sejmie większości, która obali rząd Donalda Tuska. Brzmi to nieprawdopodobnie, ale może znajdują się posłowie, którzy dostrzegą, że nie warto tracić niepodległości za europejski perkal i koraliki.

SIECI

ISSN 2544-2694
www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARGIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ,
MAREK BUDZISZ, LESZEK DEJGOSZ,
KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA,
GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-
ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI,
CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB
MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI,

DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NAŁASKOWSKI,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI,
JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT
TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN,
MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOŁIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ, JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNA.



FOT. NA OKŁADCE: EDWARD CRAWFORD/SHUTTERSTOCK.COM,
NGCH/SHUTTERSTOCK.COM, TENNESSEE/SHUTTERSTOCK.COM,
SHUTTERSTOCK.X4, ANDRZEJ WIKTOR.X2, FRATRIA

Polskie granice

PEŁKAJĄ

POLIZEI
A1332

POLIZEI
A1333

Władzy niczego nie nauczyła śmierć żołnierza i ranienie kilkudziesięciu mundurowych – wojskowi wciąż są przestrzegani, by nie używać broni. Migrantów przybywa, a wspierający ich aktywiści dostają przepustki na działania w zamkniętej strefie. Na zachodniej granicy jest nie lepiej – czas na wprowadzenie tam kontroli, bo Niemcy masowo podrzucają nam niechcianych cudzoziemców



MAREK PYZA

Doszło do incydentu w ostatnich dniach [...]. Strona niemiecka po naszym ostrym proteście wyraziła ubolewanie i przekazała przeprosiny. Uważam sprawę za wyjaśnioną” – powiedział w czwartek szef MSWiA Tomasz Siemoniak o podrzuceniu przez niemiecką policję afgańskiej rodziny na terytorium Polski bez informowania o tym naszych służb.

Jednak wcale nie był to incydent. Jak bowiem poinformowała „Süddeutsche Zeitung”, 15 czerwca w Słubicach miało miejsce inne zdarzenie. Po niemieckiej stronie granicy do mostu „podjeżdża ciemnoszara furgonetka z czarnymi szymbami, policjanci ponaglają pasażerów do pośpiechu i domagają się, aby z bagażami szybko przeszli przez most do Polski. I tak kilkunastu mężczyzn, kobiet i dzieci z walizkami i zwierzęciem idzie w ulewny deszcz” – relacjonowała gazeta.

Ile podobnych przypadków miało miejsce od początku roku? Tego nie wiemy. Trudno polegać na jakichkolwiek danych, bo wszystkie podawane przez polskie i niemieckie służby znacznie się od siebie różnią. Najgorsze, że polski rząd bagatelizuje sprawę i ewidentnie nie ma ochoty na twardą politykę wobec zachodniego sąsiada.

KPINY NIEMIECKO-TUSKOWE

Zamieszanie wokół rozmowy Donalda Tuska z Olafem Scholzem na temat pozostawienia Afgańczyków na parkingu w Osinowie Dolnym trwało dwa dni. Najpierw Straż Graniczna jak gdyby chciała zachęcić premiera do zdecydowanej postawy wobec Berlina. „Przywiezienie i pozostawienie przez niemiecką policję cudzoziemców w Polsce odbyło się z naruszeniem zasad współpracy obu służb i prawa regulującego kwestie przekazywania osób. Służby niemieckie nie mogą arbitralnie podejmować takich

decyzji” – napisano w komunikacie SG 17 czerwca. Trzy godziny później zareagował premier: „Będę za chwilę rozmawiał z kanclerzem Scholzem o niedopuszczalnym incydencie z udziałem niemieckiej policji i rodziny migrantów po naszej stronie granicy. Sprawa musi być szczegółowo wyjaśniona”.

CZY ZOSTAŁA WYJAŚNIONA? NIE

Okazało się, że rozmowa odbyła się w kulisach nieformalnego szczytu Unii Europejskiej w Brukseli. A więc gdzieś na boku, przy okazji, półgębkiem. W dodatku nie była oficjalna, lecz – jak twierdzą pracownicy urzędu kanclerskiego – prywatna. Nie powstał po niej żaden oficjalny komunikat – ani w KPRM, ani w Berlinie. Polakom musiały więc wystarczyć słowa Tuska: „Rozmawiałem z kanclerzem Scholzem. Zobowiązał się do szybkiego wyjaśnienia sprawy. Strona niemiecka przeprosiła za działanie niezgodne z procedurami”.

Podsumujmy. We wtorek Tusk zapowiada, że sprawa musi być wyjaśniona. W środę mówi, że Scholz zobowiązał się wyjaśnić sprawę. W czwartek Siemoniak ogłasza, że sprawa jest wyjaśniona. Tylko że Polacy nic na ten temat nie wiedzą.

Chyba że mamy czuć się usatysfakcjonowani słowami wiceszefa MSWiA Macieja Duszcyka, odpowiedzialnego w rządzie za migrację. Powiedział on całkiem serio, choć brzmi to jak żart: „Policjanci byli bardzo mało doświadczeni, bo ci doświadczeni zabezpieczają dziś Euro. Prawdopodobnie nie znali procedury i zrobili to, co zrobili. Absolutnie wypadek przy pracy”. Dodał, że szef policji z Berlina przysłał list z wyjaśnieniami.

Czy naprawdę mamy uwierzyć, że stan niemieckiej policji jest tak fatalny, iż do nadzwyczajnych kontroli przygranicznych rzucono młokosów, którzy nie znają elementarnych procedur? To oczywiście bzdura, a sytuacja ze Słubic opisana przez „Süddeutsche Zeitung” potwierdza, że „wypadków przy pracy” jest więcej.

Tłumaczenia przypadku z Osinowa – zostawienia rodziny Afgańczyków na parkingu (do dziś nie wiadomo, gdzie znajdują się ci ludzie) – przedstawiane

przez stronę niemiecką dosadnie skomentował w rozmowie z Interią rzecznik Morskiego Oddziału Straży Granicznej Tadeusz Gruchalla-Wensierski: „Nie ma dosłownie żadnych tłumaczeń, żeby w ten sposób przeprowadzić readmisję. Takie tłumaczenie jest chyba tylko na użytek swojej obrony”. Jak dodał, stanowisko Niemców z komunikatów prasowych jest „nierzeczowe, nielogiczne i prawdopodobnie niemające nic wspólnego z rzeczywistością”.

To powinien być jeden z najważniejszych tematów zaplanowanych na 2 lipca międzyrządowych konsultacji polsko-niemieckich. Odbędą się po raz pierwszy od sześciu lat. Lecz trudno się spodziewać, by gabinet Tuska, tak ochoczo likwidujący polskie inwestycje sprzeczne z niemieckim interesem, stanął tu na wysokości zadania.

ILE NIEMIECKICH PUSHBACKÓW?

Jaka jest skala bezprawnego procederu, na który pozwalają sobie Niemcy? Tego nie wie nikt. W czasie sejmowej debaty minister Duszcyk twierdził, że od początku roku do końca kwietnia Niemcy przekazali Polsce 266 cudzoziemców. W odpowiedzi na nasze pytania Straż Graniczna podaje liczbę 290 (od 1 stycznia do 6 czerwca). Lecz zupełnie inne dane docierają z Niemiec. Dziennikarka Aleksandra Fedorska otrzymała od policji federalnej informację, że spośród 5621 osób, które nielegalnie przekroczyły granicę niemiecką, 3578 zostało zawróconych do Polski. Niemcy potwierdzili te liczby serwisowi Konkret24.

Niemiecka Agencja Prasowa (DPA) usłyszała jednak coś innego. Według niej policja za Odrą w kolejnych miesiącach zarejestrowała następujące liczby migrantów nielegalnie trafiających do Niemiec poprzez szlak białoruski i Polskę: 26 osób w styczniu, 25 w lutym, 412 w marcu, 861 w kwietniu i 891 w maju. W sumie od początku roku do 30 maja było ich 2215. To 2,5 raza mniej, niż przekazano polskim dziennikarzom.

Z kolei szef związku zawodowego w niemieckiej policji Andreas Roßkopf mówił DPA w ub. tygodniu: „W ciągu pierwszych pięciu miesięcy bieżącego roku niemiecka policja zarejestrowała

łącznie 10 875 nieautoryzowanych wjazdów na granicy polsko-niemieckiej i niemiecko-czeskiej”. Czyli dwa razy więcej niż podano Fedorskiej oraz Konkret²⁴, ale trzeba pamiętać, że w liczbie ponad 10 tys. przypadków mają się mieścić te z granicy niemiecko-czeskiej, na którą mogą przecież trafiać migranci z Białorusi poprzez Polskę. Uprawdopodobniałoby to zatem statystyki przekazywane przez Niemców polskim mediom.

Ale trudno przywiązywać się do jakichkolwiek liczb, bo po prostu nic tu się nie zgadza, a o transparentności ze strony władz w Warszawie i Berlinie możemy tylko pomarzyć.

Dlatego Niemcy łamią prawo międzynarodowe i masowo stosują pushbacki, za które jeszcze paręnaście miesięcy temu krytykowali rząd Zjednoczonej Prawicy? Widzą, że na omijanie przepisów – nieprzystających do obecnej sytuacji – pozwalają sobie służby greckie, włoskie, chorwackie czy hiszpańskie, a nawet funkcjonariusze Fronteksu, więc mają coraz mniejsze skrupuły, by robić to samo. Lecz o ile w przypadku innych państw pushbacki stanowią kłopot dla krajów pozaunijnych (Maroka, Tunezji czy Serbii), Niemcy robią to kosztem Polski, swojego partnera z UE. Oto miara Tuskowej odwilży.

Problem z migrantami za Odrą narodził się już do tego stopnia, że tamtejsza szefowa MSW Nancy Faeser robi wszystko, by wznowić deportacje wychodzących z niemieckich więzień afgańskich przestępców do ich ojczyzny. Tam jednak rządzą talibowie, z którymi rząd w Berlinie nie chce się dogadywać, bo ich nie uznaje. A żeby nie być poświadczonym o sprzeczne z zachodnimi standardami deportacje do niebezpiecznego Afganistanu, Faeser negocjuje z Uzbekistanem. W zamian za obietnicę otwarcia rynku pracy dla Uzbeków, Niemcy będą wysłać kryminalistów z Afganistanu do Taszkontu, a stamtąd lokalne władze prywatnymi liniami lotniczymi odstawia ich do Kabulu. Podobną operację szykuje się w sprawie Syryjczyków.

Ichoć nie podoba się to niemieckiemu MSZ, bo deportowanych mogą spotkać w ich krajach represje, wygląda na to, że MSW będzie w stanie dopiąć swego.

NIEMIECKI PIWOT

Radykalna zmiana niemieckiej polityki migracyjnej wynika z faktu, że nasi zachodni sąsiedzi już się wręcz duszą pod naporem fali cudzoziemców. W rekordowym 2016 r. o azyl w Niemczech wystąpiło 750 tys. osób. W kolejnych latach te liczby spadały, by znów zacząć rosnąć. W 2022 r. było to 250 tys., w 2023 – ponad 350 tys. W br. do końca maja zgłosiło się prawie 113 tys. osób.

W ub.r. rząd Olafa Scholza wydał podobne kwoty na migrantów co na wojsko. W samym Berlinie każdego dnia pojawia się ok. 200 migrantów. Ich utrzymanie kosztuje rocznie ok. 1 mld euro.

Okazało się, że rozmowa Tuska z Scholzem o podrzuceniu nam przez Niemców afgańskiej rodziny odbyła się w kuluarach nieformalnego szczytu UE w Brukseli. A więc gdzieś na boku, przy okazji, półgębkiem. W dodatku była nieoficjalna

Do niedawna było powszechną praktyką, że pieniądze, które migranci dostawali od władz, szybko trafiały do rodzin cudzoziemców w ich ojczyznach. Aby to ukrócić, zmieniono sposób wypłacania świadczeń osobom oczekującym na decyzje azyłowe. Zamiast gotówki dostają teraz specjalne karty płatnicze, z których muszą opłacić sobie mieszkanie, odzież czy wyżywienie. Tylko część z pierwszego zasiłku (wynosi 460 euro) mogą traktować jak kieszonkowe. W jednych landach to 204 euro, w innych – tylko 50.

Napływ migrantów z Afryki i Azji znajduje odbicie w statystykach dotyczących przestępczości. Tym, co najbardziej dotyka mieszkańców, są pospolite przestępstwa (napady, kradzieże,

rozboje) i zbrodnie (morderstwa, gwałty), ale służby szczególnie obawiają się działalności terrorystycznej. „Nie ma miesiąca, w którym nie interweniowałaby policja, udaremniając planowanie zamachu w Niemczech” – mówił w kwietniu w rozmowie z Deutsche Welle prezydent Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji (BfV), czyli niemieckiego kontrwywiadu.

18 czerwca szef BfV Thomas Haldenwang wraz z ministrem Faeser przedstawili najnowszy raport urzędu, z którego wynika, że ze środowiskami islamiistycznymi w Niemczech związanych jest blisko 27 tys. osób. Szefowa MSW podkreślała, że „największe zagrożenie w dalszym ciągu stanowią radykalizowani dżihadysty, indywidualni sprawcy i małe grupy”, jako przykład podając śmiertelny atak nożownika na policjanta, do którego doszło pod koniec maja w Mannheim.

Przed kilkoma laty na próżno ostrzegano przed islamizacją Europy. Ona stała się już faktem. Niemieckie miasta zmieniły się w ciągu kilku lat. Powstają kolejne meczety, w których pojawiają się radykalni imamowie ze swoją indoktrynacją, coraz częstsze są demonstracje z wezwaniami do wprowadzenia prawa szariatu. A zaczyna się w edukacji – szkoły, w których niemieckie dzieci stanowią

mniejszość, nie są już ewenementem.

W debacie publicznej pojawiają się też takie pomysły, jak forsowany przez polityków CDU powołania nowej struktury do obrony granic, którą dziś zajmuje się policja federalna (Niemcy nie mają odpowiednika naszej Straży Granicznej).

Na razie nasi zachodni sąsiedzi w zasadzie wyłączyli się ze strefy Schengen na piętnaście miesięcy, gdy w październiku wznowili kontrole na swoich granicach. Niedawno przedłużono je co najmniej do końca 2024 r. A konsekwencją tego są korki tworzące się na przejściach nad Odrą. W zasadzie każdy autobus i busik jest sprawdzany, wyrwykowo kontrolowane są samochody osobowe.

Nad problemem pochylają się władze samorządowe województwa lubu-

skiego, które 14 czerwca spotkały się z wojewodą, bo tamtejsi mieszkańcy mają problem choćby z codziennymi dojazdami do pracy za granicą – takich osób jest ok. 15 tys. Pomysły? Zaproponowanie Niemcom odsunięcia punktów kontrolnych dalej od granicy, by korki nie tworzyły się po polskiej stronie i nie blokowały przygranicznych miast. Spotkanie ze stroną niemiecką jest planowane na 28 czerwca.

RZĄD ŁAGODNY DLA PASERÓW

Polski rząd zaniedbuje swoje podstawowe obowiązki również na wschodzie kraju. Zamknął pas przygraniczny, ale pozwolił w nim hasać przedstawicielom tzw. organizacji pomocowych, wydając im specjalne zezwolenia na przebywanie w strefie zamkniętej. Na działalność tych ludzi trzeba jednak patrzeć jak na paserów w handlu żywym towarem. W mediach społecznościowych chwalą się że wynajdują w lasach migrantów i pomagają im w dalszych etapach przedostania się do UE – czy w uzyskaniu azylu w Polsce, czy dostaniu się do Europy Zachodniej.

To w jakiejś mierze dzięki nim migranci pojawiają się na granicy z Niemcami. Rola systemu Putina i Łukaszenki w większości przypadków kończy się bowiem na granicznej zaporze. Dalej działają kurierzy. Jednak żeby towar (czyli migrant) trafił do kuriera, najpierw musi umknąć polskim służbom na granicy. W tym pomagają tzw. aktywiści. Czują się na tyle bezkarni, że zamieszczają nawet zdjęcia z migrantami, których zabierają do własnych samochodów i wiozą dalej.

Klara Sołtan z polskiej placówki dyplomatycznej w Palestynie, która od lat śledzi szlaki migracyjne z Bliskiego Wschodu i monitoruje sposoby ich udoskonalania, napisała niedawno o konkursie, jaki urządzili przemytnicy na jednej z internetowych grup. „Yalla, otwieram quiz. Pierwszych 5 osób, które poda prawidłową odpowiedź, otrzyma 12,5 proc. zniżki. Podaj nazwę polskiej organizacji humanitarnej pomagającej uchodźcom w lasach”. Chodzi o zniżkę na nielegalną podróż z Białorusi przez

Polskę do Niemiec. Odpowiedź brzmi: „POHP – Podlaskie Ochotnicze Pogotowie Humanitarne”.

W ub. tygodniu w tych środowiskach zapanowało duże wzmożenie wraz z opowieścią o postrzelonej w oko Irakijce. Jak relacjonowali aktywiści, gdy znajdowała się po białoruskiej stronie granicy, miał do niej strzelać polski mundurowy. Straż Graniczna wydała jednak komunikat, z którego wynika, że kobiecie udzielono pomocy i zawieziono do szpitala, tyle że... w ostatnich dniach żaden z polskich funkcjonariuszy i żołnierzy nie strzelał.

Co ma w tej sprawie do powiedzenia minister obrony narodowej? Władysław Kosiniak-Kamysz w Polsce zwrócił się

Wicepremier i szef MON wie o skandalicznych działaniach aktywistów na naszej wschodniej granicy, grzmi, że ułatwiają oni popełnianie przestępstwa nielegalnego jej przekroczenia, ale jedyne, na co go w tej sytuacji stać, to grzeczne poproszenie, by tego więcej nie robili

do wspierających migrantów: „Pomoc dla drugiego człowieka – ja wszystko rozumiem, jestem lekarzem, mam dużą wrażliwość. Ale wskazywanie miejsca, gdzie nie ma polskich żołnierzy – idźcie w tamtą stronę – czy komunikowanie się wzajemne i udzielanie wskazówek, gdzie łatwiej będzie [...] bardzo proszę o zawrócenie z tej drogi. To jest po prostu niebezpieczne dla polskich żołnierzy i funkcjonariuszy”.

Wicepremier wie zatem o skandalicznych działaniach aktywistów godzących w bezpieczeństwo Polski i obrońców granic, grzmi, że ułatwiają oni popełnianie przestępstwa nielegal-

nego przekroczenia granicy, ale jedyne, na co go stać w tej sytuacji, to grzeczne poproszenie, by tego więcej nie robili.

Żołnierze mają naprawdę niewiele powodów, by myśleć, że szef MON należy troszczyć się o ich los. Władza nie wyciągnęła chyba należytych wniosków ze śmierci sierż. Mateusza Sitki i ranienia kolejnych kilkudziesięciu mundurowych (ponad 50 od początku roku). To jasno wynika też z listu, który do redakcji portalu wPolityce.pl nadesłał jeden z wojskowych. Opisał szkolenie prawne, jakie przeszedł przed wysłaniem na granicę.

Okazuje się, że polscy żołnierze na granicy „są jedynie pomocnikami Straży Granicznej, mobilnymi kamerami, którzy mają meldować o tym, co widzą”. Jest im doradzane, „by nie używali broni, jeżeli nie chcą mieć kłopotów”.

„Broni, owszem, można użyć bez całej litanii ostrzeżeń, ale wyłącznie kiedy np. napastnik zamierza uderzyć nożem, kiedy wymusza przekroczenie granicy z niebezpiecznym narzędziem, kiedy szarpie za broń, i to wyłącznie w momentach kiedy dokonuje tych czynności. Według prawa, kiedy np. żołnierz zostanie już ugodzony nożem, to nie może strzelać, bo nie ma już dla niego zagrożenia, co więcej, nawet jeżeli by strzelił do napastnika zamachującego się nożem, to w postępowaniu sądowym byłoby sprawdzane, czy miał on na sobie kamizelkę kuloodporną, która mogłaby ochronić go przed ciosem i czy w takim razie na pewno napastnik był dla niego zagrożeniem. Żołnierze pytali: »czy w świetle prawa będąc żołnierzem na służbie, strzegąc granicy polsko-białoruskiej, mam jakiegokolwiek większe uprawnienia niż każdy polski obywatel z pozwoleniem na broń (nawet kolekcjonerskim czy sportowym)«. Odpowiedź, którą usłyszeli, brzmi: »nie«”.

To wszystko na pewno nie podnosi morale obrońców granic.

I każe wnioskować, że prawdziwy był ten Tusk, który trzy lata temu drwił z budowanej zapory i troszczył się o „biednych ludzi szukających swojego miejsca na ziemi”, a nie ten, który dziś jeździ na granicę, by gasić PR-owe pożary i ogłasza puste projekty w stylu Tarczy Wschód.

Z nim u sterów Polska nie jest bezpieczna.

Cena, jaką zapłacimy



Wraz z unijnym paktem migracyjnym przyjęto dyrektywę, która ma zapewnić równe traktowanie azylantów w państwach członkowskich, tak by nie uciekli tam, gdzie świadczenia socjalne są wyższe. Polskę może to drogo kosztować, szczególnie biorąc pod uwagę doświadczenia naszych zachodnich sąsiadów, którzy wydają krocie na opiekę nad migrantami



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Wsparcie socjalne dla cudzoziemców czekających na azyl w Polsce kosztuje rocznie ponad 100 mln zł” – pisała w lipcu ub.r. „Rzeczpospolita”. W tę kwotę wliczone były, oprócz zakwaterowania, wyżywienie, opieka medyczna i psychologiczna oraz lekcje języka polskiego. Dziennik zwracał uwagę, że obcokrajowiec podczas tzw. procedury uchodźczej nie może pracować zarobkowo. „Formalnie jego wniosek o azyl musi zostać rozpatrzony do 9 miesięcy, jednak w praktyce na garnuszkę państwa może być przez wiele lat – znaczna część cudzoziemców wielokrotnie odwołuje się od decyzji negatywnej (a jest ona trzyinstancyjna z sądem ad-

ministracyjnym włącznie)” – czytamy. Państwo najwięcej płaci za zakwaterowanie cudzoziemców w ośrodkach – ponad 15 mln zł rocznie. Świadczenia pieniężne to koszt blisko 14 mln zł, a medyczne – niespełna 11 mln zł (ostatnie dostępne dane dotyczą marca 2020 r.). Według gazety Urząd ds. Cudzoziemców prowadzi 10 ośrodków, które mogą przyjąć blisko 2 tys. osób.

KATALOG PRAW IMIGRANTA

Tak jest teraz. Azylantów wciąż jest mało, jednak wraz z przyjęciem paktu migracyjnego to się zapewne zmieni. To kilka aktów prawnych przyjętych w maju br., które mają pomóc Unii Europejskiej rozwiązać palący problem nielegalnej migracji.

Największym zagrożeniem dla Polski są zawarte w nich przyspieszone procedury zawracania imigrantów do pierwszego kraju wejścia. Jeżeli jakiś imigrant zostanie złapany np. w Niemczech, to Niemcom będzie łatwiej wydalić go do kraju, do którego na początku wszedł, a takim krajem często będzie Polska, bo

wojna hybrydowa Putina i Łukaszenki na granicy z Białorusią trwa. Jak się wydaje po wydarzeniach z 14 czerwca w Osinowie Dolnym, już teraz Niemcy masowo odsyłają nam tych migrantów, a polski rząd nie potrafi wiarygodnie odpowiedzieć na pytanie, ilu niemiecka policja federalna wypchnęła z powrotem do Polski z przestrzeganiem procedur przewidzianych w systemie dublińskim lub z ich pominięciem.

Kolejnym niepokojącym zapisem paktu jest przyjęta wraz z nim dyrektywa o warunkach przyjmowania migrantów, która ma ograniczyć „wtórne” przepływy wnioskujących o azyl między państwami członkowskimi. Także w odniesieniu do tych, którzy w ramach paktu mieliby zostać relokowani do Polski. By tak się stało, dyrektywa wymaga od państw członkowskich, aby przyznały im prawo do darmowego kwatunku o wysokim standardzie, świadczeń socjalnych, pełnego i bezpłatnego dostępu do opieki medycznej, która „powinna być na odpowiednim poziomie” oraz dostępu do rynku pracy. Ma to zapewnić

„bardziej sprawiedliwe rozmieszczenie osób ubiegających się o ochronę międzynarodową w całej Unii”. Pomoc ma obejmować: „świadczenia na codzienne wydatki – jako świadczenie pieniężne, w talonach, w formie rzeczowej – np. w postaci produktów – lub jako ich połączenia, pod warunkiem, że takie wsparcie obejmuje świadczenie pieniężne”; zapewnienie „odpowiedniego poziomu życia” oraz dostęp do opieki prawnej i psychologicznej. Państwa członkowskie mają także chronić azylantów przed „przemocą, w tym przemocą seksualną, oraz ze względu na płeć, rasę lub religię”. Państwa nie mogą także traktować swoich własnych obywateli preferencyjnie w kwestii dostępu do rynku pracy. Na końcu dyrektywy jest zaznaczone, że „prawo Unii nie ogranicza uprawnień państw członkowskich do organizowania swoich systemów zabezpieczenia społecznego”. „W związku z brakiem harmonizacji na poziomie Unii każde państwo członkowskie określa warunki przyznawania świadczeń z tytułu zabezpieczenia społecznego, a także wysokość takich świadczeń i okres, na jaki są przyznawane” – czytamy. Tyle że następne zdanie brzmi: „Korzystając z tych uprawnień, państwa członkowskie muszą jednak przestrzegać prawa Unii”. Częścią tego prawa jest także wyżej wymieniona dyrektywa.

Czytając ją, trudno się oprzeć wrażeniu, że jej głównym celem jest zatrzymanie imigrantów w pierwszym kraju, do którego dotarli, czyli np. w Polsce. Nie będzie już „azyl shoppingu”. Jeśli imigrant się oddali, straci świadczenia i nigdzie indziej już ich nie otrzyma. Aby nie próbował uciekać, świadczenia w państwach członkowskich muszą być mniej więcej wyrównane.

TAK SIĘ DZIEJE W NIEMCZECH

Spójrzmy, jak to wygląda u naszych sąsiadów za Odrą. W ub.r. Niemcy wydały 48,2 mld euro na utrzymanie imigrantów oraz zwalczanie nielegalnej migracji. To prawie tyle samo, ile wynosi roczny budżet Bundeswehry (50 mld euro). Lawinowy wzrost liczby wniosków o azyl (w zeszłym roku taki wniosek złożyło 330 tys. osób, o 60 proc.

więcej niż rok wcześniej) przy jednocześniej opiece państwa nad ponad 800 tys. uchodźców z Ukrainy doprowadził do wielowymiarowego kryzysu. Trwają spory pomiędzy landami i rządem w Berlinie o finansowanie, a samorządy odpowiedzialne za zakwaterowanie azylantów i opiekę nad nimi nie dysponują wystarczającą liczbą miejsc, co potęguje wrazenie wśród obywateli, że koalicja rządząca straciła kontrolę nad całym procesem.

Migranci z co najmniej tymczasowym prawem pobytu otrzymują w Niemczech tzw. świadczenie obywatelskie wynoszące 563 euro miesięcznie w przypadku osoby samotnej oraz 502 euro w przypadku małżeństwa bądź pary. Jeśli jest to rodzina z trójką dzieci, zasiłek wynosi 2263 euro. Od dłuższego czasu rośnie odsetek imigrantów korzystających z pomocy społecznej. Według Federalnej Agencji Pracy 62,8 proc. wszystkich osób zdolnych do pracy uprawnionych do świadczenia obywatelskiego ma pochodzenie migracyjne. W wartościach bezwzględnych to prawie 2,5 mln osób.

W przypadku migrantów czekających na rozpatrzenie wniosków azylowych świadczenia w Niemczech wynoszą 460 euro miesięcznie dla osoby samotnej oraz 413 euro w przypadku pary, jeśli mieszkają w ośrodkach dla uchodźców. We Francji azylanci otrzymują 207 euro miesięcznie. Stawka jest wyższa w przypadku rodzin i może wynieść nawet 1138 euro dla rodziny dziesięcioosobowej. Jeśli migranci mają tymczasowe prawo pobytu, otrzymują zasiłek socjalny (RSA): 607,75 euro miesięcznie. Do tego dochodzi darmowa opieka medyczna, a jeśli migrant po pięciu latach wciąż tkwi w ośrodku dla uchodźców, nabywa prawo do mieszkania. Czynsz pokrywa państwo.

* * *

Jeśli więc Polska miałaby przyjąć choćby niemieckie stawki, by zapobiec „wtórnemu” przemieszczaniu się azylantów za Odrę, musiałaby przyznać im zasiłek w wysokości 1989 zł miesięcznie. To więcej, niż wynosi obecnie zasiłek dla bezrobotnych w Polsce (1660 zł), który jest zresztą wypłacany w tej wy-

sokości tylko przez pierwsze trzy miesiące. Jest to także więcej, niż wynosi minimalna emerytura.

„Kiedy dodamy do tego wyżywienie, mieszkanie i możliwość połączenia rodzin, to wychodzi, że u nas taka rodzina dwa plus dwa będzie miała dochód ok. 10 tys. zł” – powiedział portalowi wPolityce.pl Jacek Saryusz-Wolski, były europoseł PiS.

Same koszty mogą być jeszcze większe. W ramach paktu Polska będzie bowiem zmuszona zbudować kolejne ośrodki dla uchodźców, skoro wnioski o azyl osób podążających tzw. szlakiem wschodnim będą rozpatrywane właśnie na naszej granicy z Białorusią. W przypadku kilkudziesięciu tysięcy migrantów wydatki mogą pójść w miliardy i będą odczuwalne dla zwykłych obywateli. Trudno też oszacować, ile będzie kosztowała ochrona prawna dla azylantów ani ile wyniosą koszty ich ochrony przed przemocą seksualną i inną. Nie wspominając o rosnących kosztach ochrony granicy. Według danych Trybunału Obrachunkowego w 2023 r. Francja wydała ponad 2 mld euro na walkę z nielegalną imigracją. Pobyt azylantów w ośrodkach (średnio 27 dni) kosztował 16 tys. euro od osoby. Deportacja jednego migranta to koszt w wysokości 4,5 tys. euro. Koszt opieki medycznej Trybunał oszacował na 1,2 mld euro.

Jean-Paul Gourévitch z francuskiego Stowarzyszenia Podatników, którego celem jest piętnowanie nadmiernych wydatków publicznych, w ub.r. zbadał korzyści płynące z imigracji i zestawiał je z wydatkami budżetowymi na ten cel. Wyszło mu, że saldo jest ujemne i to na zatrważającą kwotę 53,9 mld euro, wliczając w to wydatki na bezpieczeństwo oraz walkę z niektórymi formami przestępczości.

Pozostaje mieć nadzieję, że Polska nie będzie musiała ponieść aż takich kosztów. Szczególnie że według koalicji 13 grudnia pieniędzy w budżecie nie ma, a Komisja Europejska właśnie objęła nasz kraj procedurą nadmiernego deficytu. Na domiar złego pakt migracyjny to tylko kolejny instrument zarządzania nielegalną imigracją, a nie sposób na jej zatrzymanie. Dlatego liczba migrantów będzie rosła.

*Zarzut rasizmu to
jedyna odpowiedź
obożu rządzącego na
narastający problem
z nielegalną imigracją
w Polsce. Rząd Tuska
najwyraźniej nie panuje
nad sytuacją i chce
zamknąć usta swoim
krytykom*



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Czy Polacy są rasistami? Historycznie rzecz biorąc, niewiele na to wskazuje. W przeciwieństwie bowiem do naszych postępowych sąsiadów z Europy Zachodniej nie mieliśmy doświadczeń kolonialnych i jak dotąd pozostawaliśmy społeczeństwem jednolitym rasowo. Nie było więc u nas konfliktów rasowych, apartheidu, niewolnictwa czy innych form eksploatacji typowych dla państw kolonialnych.

Z całą pewnością była u nas za to, być może niezdrowa i nachalna, ciekawość obcych ras i kultur. Ciemnoskórzy na polskiej ulicy przez wiele lat byli po-smakiem egzotyki i budzili duże zainteresowanie, zwykle zresztą połączone z sympatią. Rzecz jasna przyjezdni często czuli się z tego powodu niekomfortowo i odbierali owo zainteresowanie jako przejaw rasizmu – wydawało im się bowiem, że wytykający ich palcami Polacy widzą w nich dziwadła lub małpy z cyrku. Była to oczywiście nadinterpretacja, bo przecież ludzie na całym świecie tak samo reagują na coś lub kogoś niecodziennego. A czarnoskórzy na polskiej ulicy był wówczas zjawiskiem

niecodziennym, podobnie zresztą jak np. biała kobieta w środku równikowej dżungli. Trzeba dużej nadwrażliwości albo złej woli, aby w zdziwieniu tym faktem dostrzegać wyłącznie zbrodnicze instynkty. Zwykła ciekawość, nawet przybierająca formę sensacji, nie jest zbrodnią – może być co najwyżej formą pewnego nieokrzesania.

Dziś w Polsce ciemnoskórych jest tak wielu, że ich widok nie budzi już żadnej sensacji na ulicach. Wraz z przyjęciem przez rząd Tuska paktu migracyjnego i napiętą sytuacją na granicy z Białorusią pojawił się jednak strach. Nie ma on nic wspólnego z rasizmem. Ludzie boją się imigrantów nie z powodu koloru ich skóry, ale dlatego, że ich nagły napływ wynika z napiętej sytuacji międzynarodowej i jest elementem wojny hybrydowej rozpętanej przez Moskwę.

Trudno odczuwać empatię i przyjazne uczucia wobec ludzi, którzy próbują włamać się do naszego domu i aby dopiąć swego, nie wahają się zabijać. Co to ma wspólnego z rasizmem? Strach i niepokój to naturalna reakcja na zagrożenie. Kto tego nie odczuwa, ten ma albo poważne problemy z własną psychiką, albo źle życzy własnemu państwu i społeczeństwu.

ODKLEJENIE

Kryzysem imigracyjnym łapczywie żywi się lewica, która, po przygaszeniu społecznych emocji związanych z aborcją oraz z prawami LGBT+, najwyraźniej wyczuła potencjał do nowej ofensywy. To ona stoi w pierwszym szeregu obrońców imigracji, a rasizm stał się dziś drugim obok faszyzmu zarzutem stawianym przez nią własnemu społeczeństwu.

Lewica uważa, że wielu Polaków stosuje wobec imigrantów zasadę odpowiedzialności zbiorowej. „W Polsce mieszkają, pracują i płacą podatki ludzie o wielu kolorach skóry. Wszystkim im chcę dziś powiedzieć: jesteście tu u siebie i żaden rasistowski debil tego nie zmieni” – pisze Adrian Zandberg. A Jakub Majmurek z „Krytyki Politycznej” chce zapewnienia, że „w polskiej przestrzeni publicznej można spokojnie przebywać niezależnie od koloru skóry, że nikt nie ma prawa nikogo stygmatyzować, dehumanizować czy fotografować bez zgody tylko dlatego, że dana osoba jest czarna i że ludzie z Afryki czy Azji studiujący i pracujący w Polsce mogą liczyć na pełną ochronę państwa”.



Knebel ras



Trzeba przyznać, że oba te głosy zwalają z nóg. Przecież nikt w Polsce nie urządza pogromów ciemnoskórym studentom ani ludziom, którzy przyjechali tu legalnie pracować. Nikt też nie wyrzuca z Polski zasymilowanych grup takich np. jak Wietnamczycy, którzy osiedlili się u nas ćwierć wieku temu. Nie potrzebują więc oni słów otuchy od Zandberga, bo wiedzą, że nic im nie zagraża.

Źródłem społecznych obaw nie jest w Polsce kolor skóry, lecz szturm na granicę. Ktoś, kto mając inne możliwości wjazdu, nielegalnie wdzierają się do naszego kraju, budzi strach. Zwłaszcza gdy towarzyszy temu agresja. Nie trzeba być wybitnym psychologiem, aby to rozumieć, wie o tym – w przeciwieństwie do Zandberga i Majmurka – nawet małe dziecko. Gdyby obaj panowie wkładali tyle wysiłku w walkę z ubóstwem Polaków, ile wkładają go w obronę nielegalnych imigrantów, zapewne to lewica, a nie Tusk rozdawałaby dziś polityczne karty w Polsce. Są jednak zbyt odklejeni od rzeczywistości, aby to kiedykolwiek osiągnąć.

W ogóle gdyby lewica – w szerszym, europejskim wymiarze – zamiast uganiać się za postulatami coraz bardziej dziwacznych grup społecznych, trosz-

czyła się o zarobki i prawa pracowników, to zapewne nie mielibyśmy dziś problemu z masową imigracją, która była skutkiem cięcia kosztów i obniżki płac przez wielkie firmy. Lewica kompletnie tutaj zawiodła, a potem całkiem zmieniła front i dziś otwarcie występuje przeciwko interesom swojej dawnej bazy wyborczej.

RASIZM NA OPAK

Piszący pod pseudonimem Galopujący Major lewicowy bloger i publicysta Łukasz Hassliebe twierdzi z kolei, że prawica rozpoczęła już rasistowską nagonkę na przyjezdnych. „Pojedyncze akty przemocy przedstawiciele danej

Napływ imigrantów w ostatnich tygodniach to w dużej mierze „zasługa” obecnych rządów. Dla Tuska byłoby więc najlepiej, aby nikt tego nie pokazywał i o tym nie mówił

grupy wiążesz z całą grupą (generalizacja), grupa jest łatwa do zidentyfikowania (kolor skóry), wyolbrzymiasz liczebność grupy (oni są wszędzie). Na koniec może wejść przemoc na ulicach” – punktuje na platformie X (d. Twitter). A w innym miejscu dodaje: „Jedną z najbardziej beczelnych manipulacji przy temacie migrantów jest udawanie, że rasizm nie ma tu znaczenia i chodzi tylko o prawo. Setki tysięcy Polaków CODZIENNIE łamią prawo drogowe, prawo pracy i nikogo to nie obchodzi. Połączenie obawy o bezpieczeństwo plus inność rodzi rasistowskie pogromy”.

Trudno zrozumieć tę logikę. Czy z tego, że Polacy – to prawda – nagminnie łamią przepisy i często uchodzą im to na sucho, ma wynikać, że powinniśmy z podobnym przymrużeniem oka traktować szturmowanie granicy i dżganie nożami żołnierzy? I czy rzeczywiście

obrona przed takimi aktami przemocy ma charakter rasistowskiego pogromu? Przecież to niedorzeczne. Idąc tokiem rozumowania Galopującego Majora, sądzi on chyba, że gdyby naszą granicę szturmowali białoruscy pogranicznicy, Polacy przyjęliby to z radością albo przynajmniej z sympatią. Bo to biali, a w dodatku nasi – Słowianie. W końcu Major twierdzi, że jedyną przyczyną niechęci wobec napastników jest ich kolor skóry.

Galopujący Major ma jednak sporo racji w jednej kwestii. Dalsza eskalacja kryzysu imigracyjnego w Polsce rzeczywiście może doprowadzić do aktów przemocy. Ale stanie się tak dopiero wtedy, gdy państwo – podobnie jak na Zachodzie – nie będzie interweniować w obawie przed posądzeniem o rasizm. Problem w tym, że zarówno Major, jak i spora część lewicowych publicystów gorąco postuluje indolencję państwa. Sami swoją retoryką przybliżają nas zatem do spełnienia najgorszego scenariusza.

Postawa cytowanego wcześniej Zandberga i Majmurka jest zaś dowodem na to, że przebywanie w szczelnej, lewicowej bańce może być bardzo niebezpieczne.

Bo dzisiejsza lewica nie chce pochylać się nad ludźmi i słuchać ich obaw, lecz nieustannie „oświeca” kołtunów. Każdy, kto z pomocą Moskwy wdarł się do Polski przez zasieki na granicy, zasługuje na naszą pomoc. Dlaczego? Bo ma ciemny kolor skóry i już. To taki rasizm à rebours.

Rezultat będzie opłakany. I nie chodzi tu o obecną lewicę, która przy takiej polityce straci nawet te marne kilka procent poparcia, które jej pozostało, ale o nasze bezpieczeństwo. Bo ignorowanie społecznych obaw, wywieranie na ludzi presji oraz rzucanie obelg pod ich adresem rzeczywiście może się skończyć wybuchem.

CICHO, BO PÓJDZIESZ SIEDZIEĆ

Tydzień temu PiS wypuściło spot o nielegalnych imigrantach, który stał się przedmiotem ataków ze strony koalicji

rzządzającej. Konfrontuje on wypowiedzi Donalda Tuska o podpisanym przez jego rząd pakcie migracyjnym („nie będziemy musieli za nic płacić, nie będziemy musieli przyjmować żadnych imigrantów”) ze ściągniętymi z internetu obrazkami pokazującymi grupy imigrantów snujących się po polskich miastach.

Spot jak spot, ma działać na wyobraźnię wyborców i z pewnością działa, co pokazuje milion odsłon na platformie X. Odpowiedzią lewicy było zawiadomienie prokuratury. „Nie ma naszej zgody na szerzenie przez PiS nienawiści do osób o innym kolorze skóry i innej przynależności etnicznej. Te osoby tu mieszkają, studiują, pracują, płacą podatki i składki. Mają prawo do szacunku” – stwierdziła Magda Biejat, senator z ramienia partii Razem. „PiS musi odpowiedzieć za wpuszczanie do debaty publicznej tego rasistowskiego ścieku” – dodała.

Nie ma żadnej wątpliwości, że lewica chce nałożyć prawej stronie knebel. Najbardziej skorzysta na tym Donald Tusk, który jest współsprawcą całego zmiszania. Bo napływ imigrantów w ostatnich tygodniach to w dużej mierze „zasługa” jego rządów. Paktu migracyjnego, niemieckich cofek na polską stronę oraz chaosu na granicy z Białorusią. Dla Tuska byłoby więc najlepiej, aby nikt tego nie pokazywał i o tym nie mówił. Prokuratura i sądy mogą w tym pomóc. Trzeba tylko umiejętnie posłużyć się zarzutem rasizmu i rozciągnąć go na każdą krytykę polityki imigracyjnej oraz reakcję obronną społeczeństwa. Wtedy wszyscy – podobnie jak na Zachodzie – zamkną oczy i w obawie przed konsekwencjami będą udawać, że nic się nie dzieje. Różni eksperci od „mowy nienawiści” już nad tym pracują, zwłaszcza że na „walce z rasizmem” można trochę zarobić.

Przy tej okazji powróciły też rojenia o delegalizacji PiS, tym razem pod zarzutem rasizmu. Niezawodna prokurator Ewa Wrzosek przypomniała bowiem, że „zakazane jest istnienie partii politycznych, których działalność zakłada lub dopuszcza nienawiść rasową i narodowościową”.

KRÓTKA PAMIĘĆ

Tusk chce upiec jeszcze jedną pieczeń na tym samym ogniu. Twierdzi on bowiem, że nielegalni imigranci, którzy pojawili się ostatnio w Polsce, zostali ściągnięci przez PiS wskutek afery wizowej. „Sprowadzili SETKI TYSIĘCY migrantów z Azji i Afryki (zarabiając przy okazji na wizach) oraz rosyjskich i białoruskich »informatyków«, pomagając w budowie obcej agentury. Przykryć to chcą rasistowską propagandą. Liczą na krótką pamięć i siłę swojego wrzasku” – napisał Tusk. Tradycyjnie też, idąc w ślady nawiedzonego

Eskalacja kryzysu imigracyjnego w Polsce może doprowadzić do aktów przemocy. Ale stanie się tak wtedy, gdy państwo nie będzie interweniować w obawie przed posądzeniem o rasizm

Tomasza Piątka, powiązał wszystko z Putinem, sugerując w innym wpisie, że pisowska „kampania nienawiści i strachu” jest zestrojona ze strategią Moskwy.

„Napędzanie nieuprawnionej, antyimigranckiej histerii, w której każde zdjęcie osoby o innej karnacji ma być argumentem »bójmy się, oni już tu są«, jest dokładnie tym czego chce Putin. Europy emocjonalnie rozchwianej, przerażonej, rządzonej przez narodowych populistów” – wyłożył myśl wodza Konrad Piasecki z TVN24. W przypadku widzów tej stacji rzeczywiście mógł liczyć na ich krótką pamięć. Niewielu z nich bowiem sięga pamięcią dalej niż na kilka dni wstecz i przypomina sobie adresowany specjalnie do nich spot Platformy, wypuszczony przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi. Przedstawiał on kolumny ciemno-

skórych nadciągających rzekomo do Polski. „Zaprosili 250 tys. imigrantów z Azji i Afryki. Więcej niż Francja czy Niemcy” – straszył lektor. Wtedy ani Magda Biejat, ani nikt inny z lewicy nie zdecydował się zawiadomić prokuratury o „szerzeniu nienawiści” przez PO. Tyle jest warta wiarygodność lewej strony.

Gdyby bowiem zastosować kryteria rasizmu używane (czy raczej nadużywane) przez lewicę, to Tusk i jego wyborcy są takimi samymi „rasistami” jak Kaczyński i wyborcy PiS. Wystarczy bowiem sięgnąć do niedawnego sondażu Ipsos dla Tok FM i OKO.press, aby dowiedzieć się, że aż 61 proc. wyborców Koalicji Obywatelskiej sprzeciwia się wpuszczaniu nielegalnych imigrantów z Białorusi (w przypadku wyborców PiS – 86 proc.). Znaczący rasiści, prawda? Nawet w elektoracie lewicy jest 39 proc. takich „rasistów”.

UTRATA PAŃSTWA

Największymi ofiarami „antyrasistowskiej kampanii” rozpętanej przez lewicę i środowiska związane z Tuskiem będą jednak zwykli Polacy. I nie chodzi tu wyłącznie o wzrost przestępczości, zwłaszcza tej na tle seksualnym, lecz także o kwestie bytowe czy o przyszość naszej kultury narodowej.

To oczywiste, że nie każdy imigrant jest przestępcą, prawdopodobnie to niewielka mniejszość, jeśli jednak ktoś, poszukując gościnności, zaczyna od włamania do cudzego domu (bo tym jest próba nielegalnego przekroczenia granicy), to takich przyjezdnych powinniśmy trzymać jak najdalej od siebie. Większość Polaków tak by zrobiła. W dzisiejszej tzw. liberalnej demokracji nie ma jednak znaczenia, co myśli większość.

Knebel rasizmu ma zamknąć wszelką dyskusję. W konsekwencji Polacy nie tylko tracą prawo do współdecydowania o swojej przyszłości, lecz także zostaną uznani za wroga przez własne państwo. Ale być może właśnie o to chodzi – abyśmy w końcu przestali się z tym państwem identyfikować.

Relacje między Prawem i Sprawiedliwością a Konfederacją są trudne oraz powikłane, ale nie beznadziejne. Dzisiaj wizja ich koalicji to całkowita abstrakcja, ale w przyszłości obie partie będą musiały podjąć decyzję: bliska współpraca albo totalny konflikt

PiS i Konfederacja: między porozumieniem a wojną

Wynik Konfederacji w wyborach europejskich oszołomił jej liderów, zwolenników, a także wielu komentatorów. Wyliczana jest długa lista spektakularnych sukcesów: znakomity wynik w najmłodszym pokoleniu wyborców, więcej głosów kobiet na Konfederację niż Lewicę, pięciokrotne przebicie Lewicy wśród rolników, wynik w Warszawie lepszy od Lewicy i Trzeciej Drogi. Na tym tle wynik PiS – pierwsza przegrana po 10 latach i odpadnięcie kilku wieloletnich eurodeputowanych – zdawał się być klęską. Politycy Konfederacji mogli puszyć się w mediach i zapowiadać – jak zrobił to Krzysztof Bosak – że „trzeba rozbić kartel PO-PiS-Lewica-PSL”.

Kurz już jednak opadł i ukazały się właściwe proporcje: na PiS oddano 4,2 mln głosów, a na Konfederację 1,4 mln. Na dodatek wśród prawicowych internautów furorę zaczęły robić wyliczenia analityka Marcina Paladego, który przełożył wyniki z eurowyborów na hipotetyczne wybory do Sejmu. Z jego rachunku wynika, że jedynym wówczas układem zdolnym do stwo-



PIOTR GURSZTYN

żenia rządu byłoby porozumienie PiS z Konfederacją. Trzeba też dodać, że wizja koalicji „antyeuropejskich populistów” zmroziła serca zwolenników „uśmiechniętej Polski”. A ponieważ liberałowie i lewicowcy niewiele wiedzą na temat prawicy, a w ich stereotypowym mniemaniu PiS i Konfederacja stanowią niemal to samo, więc w ich optyce jest oczywiste, że siły zła muszą się sprzymierzyć przeciw demokracji, praworządności, dobrym relacjom z Unią Europejską i innym „zdobyczom” koalicji 13 grudnia.

Czym innym są jednak scenariusze internetowych strategów, a czym innym realne życie polityczne. Pytania o koalicję zaczęły się od razu, a odpowiedzi padły negatywne. Pierwszy był Krzysztof Bosak, który wykluczył

koalicję z PiS: „Jest drastyczna różnica wiarygodności, jeśli chodzi o politykę europejską między nami a PiS” – powiedział w rozmowie z Radiem ZET.

Następnie stanowisko w tej sprawie przedstawił lider Prawa i Sprawiedliwości. Jarosław Kaczyński w wypowiedzi dla portalu wPolityce.pl powiedział: „Konfederacja stawia sprawę tak, że my jesteśmy właściwie takim samym złem jak PO. Są tacy, którzy mają wiarę, że taka postawa w końcu się skończy. Ale póki ja jestem szefem PiS, to gaśnic do gaszenia chanuki używać nie będziemy. To jest, że tak ujmę sprawę, poza moimi możliwościami mentalnymi”.

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Wypowiedzi obu liderów należy uznać za wiążące. Przynajmniej w tej chwili. A trwać ona będzie długo, bo koalicja 13 grudnia – mimo wszystkich perturbacji – nie wykazuje symptomów rozpadu. Zatem i PiS, i Konfederacja nie mają potrzeby nawiązywania jakiegokolwiek współpracy. Czas jest zresztą potrzebny do zmiany nastrojów wśród polityków i wyborców obu ugrupowań.

A te są złe. Obie strony mają do siebie pretensje. Politycy PiS mówią, że przedstawiciele Konfederacji atakowali ich mocniej niż Platformę, Lewicę czy PSL. W Zjednoczonej Prawicy hasło Konfederacji „PiS-PO = jedno zło” jest odbierane jako wielka obraza, co podkreśla np. Jarosław Kaczyński. Prezes PiS ma też złe wspomnienia z czasów koalicji z Romanem Giertychem. Przypomina, że prawicowa LPR sprawiała mu więcej trudności niż Samoobrona Andrzeja Leppera. A przecież zauważalna część Konfederacji wywodzi się stamtąd.

Lista pretensji po drugiej stronie jest jeszcze dłuższa. Wypomina się nieobecność Konfederacji w mediach publicznych za rządów PiS. W nieoficjalnych rozmowach z tygodnikiem „Sieci” politycy Konfy domagają się „rozliczenia” takich postaci PiS, jak Mateusz Morawiecki, Jacek Sasin, Mariusz Kamiński, Mariusz Błaszczak. Rozliczenia – czyli całkowitego ich usunięcia. Powołują się tutaj na wolę swoich wyborców, wściekłych na Zielony Ład, Polski Ład czy działania PiS w spółkach skarbu państwa. Mówią, że będą rozmawiać o ewentualnym porozumieniu dopiero wtedy, gdy w Prawie i Sprawiedliwości dojdzie do zmiany pokoleniowej.

Widać, że to warunki zaporowe, a zarzuty są językową kalką z narracji dzisiejszej władzy i wspierających ją mediów. Tu akurat jest miejsce na ważną dygresję: rosnąca w siłę Konfederacja przeżywa coś w rodzaju miesiąca miodowego w swych relacjach z mediami liberalnymi. Te wyraźnie grają na jej wspieranie. Lepiej zaczęły ją przedstawiać i przemilczają ekscesy najbardziej ekstrawaganckich jej reprezentantów. Tuż przed wyborami Grzegorz Braun chlapnął o Auschwitz jako o mieście 15-minutowym, a wspomniane media w ogóle tym się nie oburzyły. Wręcz to wyciszyły, aby nie zaszkodzić wynikowi wyborczemu Konfederacji.

Dodajmy jeszcze ogromną nieufność poobustronach. Konfederaci boją się losu mniejszego koalicjanta poartanego przez większego partnera. W PiS słychać obawy przed tym, że niektórzy działacze Konfy nadal mają bliskie kontakty z Giertychem.

POLSKI JOBBIK?

Konfederaci uważają, że czas gra na ich korzyść. Bo są ugrupowaniem młodszym.

I są atrakcyjni dla obu stron politycznego sporu, w tym dla Donalda Tuska. Tak, tak, to nie pomyłka. – Jesteśmy gotowi współrządzić nawet w tej koalicji – słyszymy z ust jednego z prominentnych polityków Konfederacji. To możliwe, jeśli przypomnimy sobie wsparcie, którego dwa lata temu Tusk udzielił szowinistycznej węgierskiej partii Jobbik. Gdy ugrupowanie przez lata określane jako neofaszystowskie stanęło przeciw Fideszowi Viktora Orbána, wszystkie jego grzechy zostały

Konfederaci uważają, że czas gra na ich korzyść. Bo są ugrupowaniem młodszym. I są atrakcyjni dla obu stron politycznego sporu, w tym dla Donalda Tuska. Tak, tak, to nie pomyłka

ściowe. Może wynikać z powyborczego entuzjazmu i związanych z tym kolejnych korzystnych zdarzeń. Do Konfederacji jako względnego zwycięzcy Igna nowe środowiska. Tak przynajmniej twierdzą politycy tej partii. Wymieniają tu myśliwych, ponoć obrażonych na PiS z powodu wprowadzanych biurokratycznych szykan. Na pewno widać zainteresowanie Konfederacją wśród młodszego pokolenia rolników. – Podgryzają PiS na wsi i to może być trwale zjawisko – mówi nam jeden z lokalnych samorządowców Prawa i Sprawiedliwości. Choć inny polityk tej partii uspokaja, że młodzi liderzy rolników są grupą bardzo widoczną z powodu swej aktywności, ale o ograniczonych wpływach na wsi. Poszła jednak plotka o możliwym przeciągnięciu na stronę Konfederacji Jana Krzysztofa Ardanowskiego. Jeśli tak by się stało, rzeczywiście byłaby to klęska dla Prawa i Sprawiedliwości, a ogromny sukces Konfederacji.

ZAWRÓT GŁOWY OD SUKCESÓW

Ale może być też tak, że chudy – czyli Konfederacja – prędzej umrze niż gruby – czyli PiS – schudnie. Pogłoski o śmierci partii Kaczyńskiego to stały element polskiego folkloru politycznego. Poparcie dla Prawa i Sprawiedliwości jest bardziej niż stabilne.

Chwilę wcześniej odbyły się wybory samorządowe. I tu wynik Konfederacji był gorzej niż słaby. Na pierwszy rzut oka 7,23 proc. poparcia w wyborach sejmikowych nie wygląda źle. Ale przełożyło się to na ledwie 6 radnych sejmikowych, podczas gdy PiS ma ich 239. W powiatach ta proporcja wygląda jeszcze gorzej: 2080 mandatów PiS wobec 5 mandatów Konfederacji i Bezpartyjnych Samorządowców (bo pod takim szyldem startowało ugrupowanie). Na poziomie gmin wygląda tak samo źle: 3069 vs. 17.

Ludzie z Konfederacji tłumaczą wyniki tym, że są partią młodą, bez struktury, więc to dopiero początki. Ale to nie do końca prawda. Konfederacja jest ugrupowaniem młodym tylko formalnie. Składa się ze środowisk i ludzi od dawna aktywnych w polityce. Nie pociągnęli za sobą

lokalnych działaczy, samorządowców, burmistrzów i wójtów, którzy wcześniej funkcjonowali w innych ugrupowaniach. To niepokojący symptom, który może wskazywać, że bardzo wielu ludzi widzi w Konfederacji sezonową partię protestu, a nie systemowe remedium na rozwiązywanie ich problemów i realizowanie zgłaszanych przezeń postulatów.

W tym kontekście także młodość partii przestaje być postrzegana jako jej atut. A co, jeśli Konfederacja nie jest stabilnym ruchem politycznym, lecz jedynie happeningiem najmłodszego pokolenia? Takim, z którego się wyrasta i później głośnie na inne partie? To była stała przypadłość Unii Polityki Realnej, partii, którą można uznać za matkę dzisiejszej Konfederacji. Dodajmy jeszcze, że z powodów struktury demograficznej w polskiej polityce i tak o wszystkim decydują starsze pokolenia. Wtedy niewiele warte będą kalkulacje liderów Konfy oparte na przekonaniu, że czas gra na ich korzyść.

Wreszcie rzecz chyba najważniejsza: Konfederacja to porozumienie pięciu formalnie niezależnych podmiotów. Są to Nowa Nadzieja Sławomira Mentzena, Ruch Narodowy Krzysztofa Bosaka, Konfederacja Korony Polskiej Grzegorza Brauna, Ruch Prawdziwa Europa Mirosława Piotrowskiego. Do tego dołączyła partia prezydenta Siemianowic Śląskich Rafała Piecha o nazwie Polska Jest Jedna. W ostatnim czasie udało się wyciszyć napięcia między nimi, ale i tak pozostały spore

różnice programowe, co budzi rozbieżności polityków PiS. A to dlatego, że traktują je oni jako okoliczność, która w niespodziewanym momencie może doprowadzić do rozpadu całej formacji.

Testem spójności będą przyszłoroczne wybory prezydenckie. Ambicje mają Krzysztof Bosak, Sławomir Mentzen oraz Grzegorz Braun. Mechanizmem, który ma uchronić przed konfliktem o nominację na kandydata, mają być prawyborcy. Czy zadziałają, czy zostaną uznane przez wszystkich za przeprowadzone sprawiedliwie? Od tego zależy jedność politycznej federacji, jaką jest Konfa.

NIEZNANA PRZYSZŁOŚĆ

Świadomość własnych ograniczeń zawsze tonuje powyborczą euforię. A to ułatwia ewentualne porozumienie z PiS. Jednocześnie jest też presja zewnętrzna, czyli okoliczności takie jak pasywna postawa obecnego rządu wobec napływu imigrantów i brak oporu względem centralizacyjnych planów Brukseli. Trzeba też reagować na forsowaną przez ekipę Tuska rewolucję ideologiczną. To niewątpliwie zbliża do PiS.

Sejmowe wystąpienie Kariny Bosak w debacie na temat zmiany prawa aborcyjnego zostało bardzo pozytywnie przyjęte przez elektorat PiS. Ale nie w sensie chęci przerzucenia poparcia na Konfederację, lecz jako znak wspólnoty poglądów. Mąż pani posłanki, lider Konfederacji, też punktuje w oczach wybor-

ców Prawa i Sprawiedliwości. Jako jeden z najbardziej inteligentnych polityków nie mógł tego nie dostrzec i odpowiednio zinterpretować.

Ciekawe, że Krzysztof Bosak krytykuje PiS w zasadzie tylko wtedy, gdy jest pytany przez dziennikarzy o możliwą koalicję obu partii. Wygląda to trochę na rytualne zaklęcia. Tu trzeba wrócić do struktury elektoratu Konfederacji, gdzie obok konserwatywnych wyborców z Polski wschodniej jest sporo libertariańsko nastawionych młodych ludzi z wielkich miast. W drugiej turze wyborów prezydenckich w 2019 r. elektorat Konfy pęknął na pół – jedna połowa poparła Andrzeja Dudę, druga Rafała Trzaskowskiego. Tamto zdarzenie trudno uznać za przejaw siły tego nurtu, zatem Bosak musi to uwzględnić. Jednak w tej kadencji sam z siebie nie on atakuje PiS. Bywa nawet, że angażuje się po jego stronie, jak np. wtedy, gdy uznał za złe odwołanie ambasadora Tomasza Szatkowskiego z placówki dyplomatycznej przy NATO.

Wszystkie powyższe rozważania można zamknąć następującą konkluzją: dzisiaj liderzy obu partii nie wiedzą, jak ułożą się ich wzajemne stosunki. I nie łamią sobie tym głów. Oba warianty – porozumienie lub walka – są możliwe. I wynikną nie tyle z woli partyjnych działaczy, ile z okoliczności zewnętrznych. Wojna, imigracja, zachłanność Berlina i Brukseli – te wszystkie czynniki sprawiają, że polityka stała się maksymalnie nieprzewidywalna.

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA
saltus.pl

Ubezpiecz to,
co się liczy!



SALTUS - Mój DOM
UBEZPIECZENIE MIESZKAŃ
I DOMÓW JEDNORODZINNYCH

Typowe wydatki domowe w ciągu roku:
Rachunek za telefon – 1300 zł
Abonament za serwisy filmowe – 780 zł
Siłownia, joga – 1400 zł
Internet i kablówka – 1320 zł
Ubezpieczenie mieszkania – 557 zł

Od wszystkich ryzyk dla mieszkania wartego 410 000 zł
i ruchomości domowych wartych 30 000 zł, także od kradzieży.

Dostępne m.in. w placówkach Spółdzielczych Kas
oraz Banków Spółdzielczych.

eprasa.pl bca7112599

TOWARZYSTWO
UBEZPIECZONYCH



Ręka, noga, Trzecia Droga

Ideowo Trzecia Droga jest tworem sztucznym i pustym, bo poza deklaracjami miłości liderów prawie nic jej nie łączy, co wyszło na jaw zarówno w praktyce rządzenia, jak i w wyborach samorządowych oraz europejskich

Pierwszy zły wynik wyborczy Trzeciej Drogi i już widać, że ten projekt kompletnie nie jest odporny na kryzys i był w gruncie rzeczy jednorazowy (konkretnie przygotowany na podwójne wybory w odstępie ośmiu miesięcy: parlamentarne i samorządowe). W europejskiej elekcji Trzecia Droga straciła 7,49 pp. poparcia w stosunku do wyborów do Sejmu z 15 października 2023 r. Jako koalicja w tym głosowaniu liberalno-ludowa hybryda nie przekroczyłaby progu, a gdyby występowała pod szyldem jednej partii, straciłaby 44 mandaty, czyli jej sejmowa reprezentacja zmniejszyłaby się z 65 do 21 osób.

Wobec tego politycznego projektu można by zmodyfikować znane powiedzonko: „Ręka, noga, mózg na ścianie” na „Ręka, noga, Trzecia Droga”. Co wskazywałoby na potencjał rozpadu, a nie na siłę jednoczenia. I to potencjał trudny do kontrolowania, tak jak w przypadku każdej rozróby. Kryzys w Trzeciej Drodze ma bowiem pod wieloma względami taki właśnie charakter.

O potrzebie rozstania się Polskiego Stronnictwa Ludowego i Polski 2050 jeszcze przed wyborami prezydenckimi (w maju 2025 r.) otwarcie mówią Joanna Mucha i Róża Thun z Polski 2050 czy Marek Sawicki z PSL. A poseł PSL Jarosław Rzepa nie ukrywa pretensji do koalicjanta, że „jedzie na plecach” Polskiego Stronnictwa Ludowego, czyli pasożytuje.



STANISŁAW JANECKI

Ideowo Trzecia Droga jest tworem sztucznym i pustym, bo poza deklaracjami miłości liderów prawie nic jej nie łączy, co wyszło na jaw zarówno w praktyce rządzenia, jak i w wyborach samorządowych oraz europejskich. Szybko skończył się przedłużony miesiąc miodowy, a po powrocie do normalnego politycznego życia awantury i kłótnie zaczęły brać górę nad zgodą i pozytywnymi emocjami.

KORZYŚCI TYLKO DLA TUSKA

Dość szybko wyczerpała się atrakcyjność telewizyjnych chwytów marszałka Sejmu Szymona Hołowni. Zmęczyło to chyba nawet jego samego, bo przestało mu się chcieć wymyślać nowe gagi i sztuczki na kolejne prowadzone przez siebie posiedzenia, nie mówiąc już o zaniechaniu zapowiadanych przez niego zmian w funkcjonowaniu tej izby. Bufonada marszałka szkodziła całemu projektowi, a konserwatywna część posłów PSL uznała jego funkcjonowanie za niszczenie kapitału zdobytego przez

Trzecią Drogę przed wyborami parlamentarnymi.

Rozpad tej koalicji byłby czymś zrozumiałym wobec różnic ideowych i po uświadomieniu sobie, że ten projekt napompuwał Donalda Tuska. Szymonowi Hołowni dał tylko więcej możliwości kreowania widowisk, co wzmocniło jego narcyzm, ale politycznie ten kapitał łatwo się wyczerpuje. Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi projekt zapewnił przerastającą go odpowiedzialność za Ministerstwo Obrony Narodowej, choć również kłopoty związane z niepanowaniem nad resortem. Drastycznie ujawnił to kryzys związany ze śmiercią zaatakowanego na granicy z Białorusią żołnierza 1. Warszawskiej Brygady Pancernej, a także z zatrzymaniem i zakuciem w kajdanki żołnierzy, którzy w samoobronie oddali strzały ostrzegawcze w kierunku atakujących imigrantów – w powietrze i w ziemię.

W dodatku politycy PSL podejrzewają, że kryzys celowo wywołał Donald Tusk, żeby utrzymać nosa swemu wicepremierowi, upokorzyć go i dla korzyści Koalicji Obywatelskiej maksymalnie zmniejszyć szanse wyborcze Trzeciej Drogi w wyborach europejskich, co się zresztą udało. Wrogie działanie premiera wywołało wiele złych emocji, które w PSL rozładowywano uwagami, że jeśli Tusk chce tak grać, to długo może nie utrzymać posady i rządu, bo PSL ma wybór i alternatywę, a Koalicja Obywatelska żadnej.

Fuzja Polski 2050 i PSL przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r. była rodzajem iluzji mającej zmanipulować Polaków, że jeśli nowe połączy się ze starym (doświadczonym i mającym rozbudowane struktury), to powstanie nowa jakość. I ta manipulacja się udała. Tyle że nowa jakość szybko okazała się starą rutyną, czyli PSL pokazało swoje dawne wady jako partia rządząca, zaś Polska 2050 typową dla arystów bezczelność i tupet oraz rażącą niekompetencję jej polityków.

Fuzja partii Szymona Hołowni i Władysława Kosiniaka-Kamysza była też działaniem obronnym przeciwko Donaldowi Tuskiemu, który chciał podporządkować sobie oba ugrupowania, proponując na wybory parlamentarne jedną listę całej ówczesnej opozycji. Wtedy Polska 2050 i PSL wystraszyły się, że zostaną zjedzone, ale premier nie zapomniał im upokorzenia i odmowy, więc we wspólnym rządzie zaczął niszczyć partnerów, przede wszystkim celowymi przeciekami do mediów. Szef rządu zaatakował nawet swego zastępcę Kosiniaka-Kamysza, do którego było mu bliżej niż do Hołowni, najprawdopodobniej inspirując ujawnienie przez Onet incydentu z zatrzymanymi żołnierzami na granicy z Białorusią. Szybko dała o sobie znać udoskonalana przez lata metoda działania Tuska, by „partnera” niszczyć, a nie wzmacniać.

CZAS NA ODBUDOWĘ

Premierowi i przewodniczącemu Platformy Obywatelskiej rozgrywanie oraz rozwalanie Trzeciej Drogi ułatwili sami liderzy Polski 2050 i PSL w roli prymusów wpisujących się w budowanie „kultu” Tuska jako zwycięskiego wodza. Tego, bez którego żaden sukces nie byłby możliwy. Zapomnieli tylko, że obecny premier nie zna czegoś takiego jak wdzięczność. A szef rządu manipulował koalicjantami, np. kolportując legendy o tym, jak pożyczył im wyborców 15 października 2023 r., choć nie ma na to potwierdzenia w danych. PSL uzyskało mniej więcej tyle głosów, ile w 2019 r., a Polska 2050 dostała typową premię dla nowości, jaką wcześniej otrzymała Ruch Palikota,

Kukiz'15 i Nowoczesna. Przy tym Tusk konsekwentnie przekonywał wielu wyborców, że porażka Trzeciej Drogi w wyborach europejskich wynikała z tego, iż nie „pożyczył” jej głosów, czyli że bez jego opieki i wsparcia jest ona słaba, skazana na klęskę. Nie chodziło jednak o żadne pożyczanie. Tusk dążył do maksymalnej polaryzacji, w której dla mniejszych partii koalicyjnych nie było miejsca i w efekcie wzmocnił się ich kosztem.

Można postawić tezę, że projekt Trzeciej Drogi okazał się zbawienny dla Tuska, bo zapewnił mu zdobycie władzy, czego raczej by nie osiągnął, gdyby zrealizowano pomysł jednej listy. Koalicja Obywatelska nawet z Lewicą nie zyskałaby większości bez Trzeciej Drogi, bo nie miała takiego potencjału, szczególnie wśród nowych wyborców. A kiedy już swoje zdobyła, zaczęła rozwalać i skłócać koalicjantów. Polska 2050 i PSL dały się wykorzystać jako wehikuł władzy dla Tuska, szybko płacąc za to wysoką cenę.

Rozpad Trzeciej Drogi mógłby uchronić PSL przed negatywnymi skutkami poparcia Hołowni w wyborach prezydenckich, bo partia niewystawiająca własnego pretendenta, a popierająca „obcego” tylko traci. Władysław Kosiniak-Kamysz poparł Szymona Hołownię jako wspólnego kandydata na prezydenta RP lekkomyślnie, bezwarunkowo i właściwie, mogąc liczyć wyłącznie na koszty, a nie zyski. Gdyby lider PSL przestał popierać Hołownię, początkowo może na tym stracić, podobnie zresztą jak Polska 2050, ale to nie jest zła wiadomość dla ludowców, tym bardziej że ich partia zyska czas na odbudowanie własnej pozycji. Choć rozpad Trzeciej Drogi wydaje się coraz bliższy, dają jednak szansę PSL, by nie zostało trwale zmarginalizowane. A Szymon Hołownia będzie mógł wreszcie udowodnić, ile znaczy samodzielnie, gdyż dotychczas wciąż nie przeszedł żadnej próby ognia (czyli startując samodzielnie w jakichkolwiek wyborach). Wszystkie opowieści o domniemanej sile Polski 2050 są więc nieweryfiko-



walne. I to było dotychczas na rękę Hołowni, bowiem mógł się puszyć, że jest potęgą, choć realnie wcale tak nie musi być.

NOWE ROZDANIE

Jeśli doszłoby do rozpadu Trzeciej Drogi, szukano by oczywiście winnych, a za głównych wcale nie muszą być uznani politycy obu rozwodzących się ugrupowań. Byłby to dobry czas na wyciągnięcie „zasług” Donalda Tuska i jego działań miesiącami podkopującymi zaufanie do obu liderów. Można by się spodziewać również rozliczenia z „kolegami” z Lewicy, którzy raczej działali na zlecenie Donalda Tuska, a nie Włodzimierza Czarzastego i Roberta Biedronia.

Możemy zatem oczekiwać widowiskowej nawałki niedawnych przyjaciół, a – jak wiadomo – najostrzej oraz najbardziej brutalnie walczyć z sobą przyjaciele i bliscy. Można wręcz mówić o swego rodzaju dinozaurze, gdzie rządzi zasada: „Ręka, noga, mózg na ścianie”. I wtedy cała destrukcyjna siła ujawniających się konfliktów uderzyłaby w koalicję 13 grudnia.

Rozpad Trzeciej Drogi w krótkim czasie mógłby się przerodzić w destrukcję i rozpad rządzącej koalicji. Nie musiałoby to konieczności oznaczać rozwiązania czy samorozwiązania Sejmu, tylko zawiązanie nowej koalicji. Na razie wydaje się to nierealne, ale kiedy kryzys przyspiesza, nie takie scenariusze mogą być realizowane.

Uśmiechnięci wiceministrowie



Anna Radwan-Röhrenscheff



Krzysztof Bolesta



Izabela Ziętka

Ponad 120 ministrów i wiceministrów w rządzie RP nie byłoby problemem, gdyby wszyscy ci sekretarze i podsekretarze stanu zajmowali się poważnymi zadaniami. Ale ich niektóre działania przypominają role kabaretowe, a nie służbę państwu

Surowość wobec całej tej armii wysokich urzędników jest uzasadniona zwłaszcza w momencie, gdy na horyzoncie pojawia się już wiele konkretnych kryzysów. Od lipca podwyżki cen energii, Bruksela objęła Polskę procedurą nadmiernego deficytu, Niemcy podrzucają imigrantów przez zachodnią, a Rosjanie przez wschodnią granicę, tymczasem po stronie rządowej nie widać poważnej mobilizacji w tych sprawach. Jednak oprócz ganienia ministrów z pierwszego planu – zboląłego Władysława Kosiniaka-Kamysza czy nieobecnego Radosława Sikorskiego – warto przyrzeć się wiceministrom i ulubieńcom ministrów, którzy doprawdy wyglądają



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

jak beztroszy spacerowicze w Pompejach, gdy eksplodował wulkan.

ODKRYWANIE KONSTYTUCJI

11 czerwca minister sprawiedliwości Adam Bodnar powołał „pełnomocniczkę ds. edukacji konstytucyjnej”, na którą wyznaczył Aleksandrę Chudaś. Młoda prawniczka z dumą oświadczyła, że jej zadaniem

będzie „budowanie w społeczeństwie wspólnego rozumienia, czym są wartości konstytucyjne, czyli najważniejsze zasady, które gwarantują ustrój demokratyczny w Polsce”. Można postawić dolary przeciwko orzechom, że o lekceważeniu przez jej szefa wyroków Trybunału Konstytucyjnego i łamaniu konstytucji pani Chudaś nie będzie edukować Polaków.

Kiedy minister sprawiedliwości, który łamie konstytucję choćby rozporządzeniem z 14 grudnia 2023 r., instruując sędziów w sprawie uznawania i nieuznawania niektórych sędziów, powoływanie przez niego urzędniczki ds. edukacji konstytucyjnej brzmi jak kiepski kabaret. Czy nowa ekspertka nie wie, że w jej resorcie gwałci się ustawę zasadniczą, czy

raczej jej to nie przeszkadza? Wkrótce zobaczymy, jak wywiązuje się ze swoich zadań. Jej funkcję trudno nazwać inaczej jak bycie maskotką ministra – wszak były Rzecznik Praw Obywatelskich zasłynął ze swoich czułych wystąpień w TVN na temat konstytucji, teraz ma więc pełnomocnika ds. pieśszczot z konstytucją. Ale takich uśmiechniętych postaci, za którymi nie idzie walka o polskie sprawy, jest w tym rządzie cała masa.

WESOŁE FILMIKI

Inną maskotką jest Arkadiusz Marchewka, sekretarz stanu w Ministerstwie Infrastruktury, związany z Platformą Obywatelską od czasów własnej edukacji. Wieloletni poseł, doktor ekonomii, w resorcie teoretycznie zajmuje się gospodarką wodną i żegluga śródlądową. W praktyce nagrywa w mediach społecznościowych wesołe filmiki o statkach i rzekach. „Słowo na dzisiaj to poler” – zaczyna jedno z wiosennych nagrań, stojąc w porcie rzecznym. „Poler to taki element, który pełni rolę uchwyty” – tłumaczy z powagą urzędnik. „A co trzyma? No statek trzyma” – cieszy się urzędnik. Tymczasem w Świnoujściu pod znakiem zapytania stała rządowa inwestycja w Głębokowodny Terminal Kontenerowy. Przeciwko projektowi występuje prezydent miasta, pochodząca z koalicyjnej Nowej Lewicy, a bez zgody samorządu projekt nie może być zaakceptowany. Gospodarza Świnoujścia raczej nie da się przekonać do tego projektu oglądaniem filmików Marchewki na Instagramie.

Szczeciński dziennikarz Tomasz Duklanowski ostro podsumował zaniebdania sekretarza stanu w tej sprawie: „Od pół roku nie przedstawił żadnego pomysłu dotyczącego branży morskiej. Nie jest nawet w stanie doprowadzić do podpisania umowy w sprawie budowy terminala kontenerowego w Świnoujściu – jednego z wielkich projektów jego poprzedników”. Im mniej się dzieje w polskiej gospodarce wodnej, tym więcej Marchewka nagrywa filmików, na których a to pozuje w kasku na tle kontenerów, opowiadając o pojemności statków, a to przechadza się wzdłuż rzeki. 4 kwietnia wiceminister (!) pokazał na nagraniu pęk marchewek i nawiązując do swojego nazwiska, opowiedział z sa-

tysfakcją, że „dzisiaj jest międzynarodowy dzień marchewki”. Zawsze wymuskany i elegancki, dobrze wypada przed kamerą, aczkolwiek chyba nie za to chciał mu płacić uśmiechnięci wyborcy.

POD SŁOŃCEM ITALII

Na przemęczoną swoją pracą nie wygląda Anna Radwan-Röhrenschef, od stycznia wiceminister spraw zagranicznych. W październikowych wyborach nie dostała się do Sejmu, ale na pocieszenie dostała pracę jako podsekretarz stanu w dyplomacji. Czym zasłynęła pani wiceminister? Można by powiedzieć, że niczym, a jednak zasłynęła owym „niczym” w sytuacji, gdy była potrzebna jej interwencja. To bowiem Radwan-Röhrenschef reprezentowała rząd RP na majowych uroczystościach rocznicy polskiego zwycięstwa na Monte Cassino. Jak zauważyła reporterka telewizji wPolsce.pl Żaklina Skowrońska, była to zastanawiająco niska ranga rządowej reprezentacji, skoro z Wielkiej Brytanii przyjechała księżna Edynburga, z Rzymu sam prezydent Włoch, nawet Nowa Zelandia wysłała swoją minister obrony. Ale to nie koniec wpadek – choć polskie Ministerstwo Obrony Narodowej wysłało list od swojego szefa Władysława Kosiniaka-Kamysza, to jednak nie został on odczytany na uroczystości. Resort publicznie przyznał się do bezradności: „Nie znamy powodów, dlaczego nie został odczytany”. Na miejscu była wspomniana dyplomatką z MSZ, ale z jej obecności nic dla tej sprawy nie wynikło. Gdyby nie prezydent Andrzej Duda, który był na Monte Cassino, można by pomyśleć, że Polska mniej czci swoich bohaterów niż Włosi, Anglicy czy Nowozelandczycy.

DYLETANCI Z POLSKI 2050

Radwan-Röhrenschef nie jest jedyną amatorką w randze podsekretarza stanu. Brak doświadczenia politycznego uderza szczególnie u wiceministrów z ruchu Szymona Hołowni. Izabela Ziętka z Polski 2050 jest wiceministrem edukacji od stycznia, dużo mówi o zdrowiu psychicznym młodzieży, ale forsuje unijny projekt edukacji włączającej, który na Zachodzie już pokazał, że polega głównie na promowaniu LGBT+ i zaniżaniu

poziomu nauczania pod dziećmi nielegalnych imigrantów, o czym pisał tygodnik „Sieci” (nr 9/2024). Ziętka wcześniej była nauczycielką, została też szefową struktur Polski 2050 na Ziemi Lubuskiej, od niedawna zasiada u boku Barbary Nowackiej, która demoluje listę lektur i zakazuje prac domowych, w zamian za to obiecując dużo uśmiechu.

Krzysztof Bolesta (także Polska 2050) pracuje w Ministerstwie Klimatu. Ostatnio sam przyznał, że Zielony Ład jest już tak niechcianym w Polsce projektem, że trzeba zrobić mu rebranding, czyli zmienić nazwę, by lepiej się kojarzył.

Partia Szymona Hołowni ma aż 20 ministrów i wiceministrów w rządzie, jednak pytanie o zasadność ich pracy nie polega na liczbie podsekretarzy stanu w tym rządzie, ale na ich jakości – czy Polska naprawdę potrzebuje urzędnika opowiadającego o dniu marchewki, dziewczyny chcącej Polakom tłumaczyć konstytucję czy dyplomatkę, która pojedzie na uroczystości do słonecznej Italii, korzystając przede wszystkim z pięknej pogody, nie zaś angażując się w rangę wydarzenia?

RZĄDY PARTACZY

Na prawicy bardzo często zwracamy uwagę na polityków i ministrów koalicji 13 grudnia, którzy zwijają państwo świadomie i z uśmiechem na ustach. Przecież słynny Maciej Lasek, człowiek ds. zatrzymania budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego, jest sekretarzem stanu w Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej, a więc słusznie skupia krytykę tych Polaków, którzy mają aspiracje rozwojowe dla swojego kraju. Jednak opisywanie rządu Donalda Tuska jedynie jako panteonu zdrajców i sprzedawczyków jest głęboko niesłuszne – większość jego członków to nie są wasale Niemiec czy tani karierowicze, tylko po prostu dyletanci, którym porozdawano funkcje niczym dzieciom zabawki, by polepszyć samopoczucie koalicjantom i politykom o minimalnych kompetencjach.

Nie zapominajmy o tym aspekcie – to są przede wszystkim nieudacznicy, a nie tuzy intrzyg, którzy mają nam rozebrać Polskę wyrafinowanymi grammi politycznymi. Choć niestety efekt zapowiada się taki sam. Tylko zdziwienie winnych będzie większe.



OBRONA CYWILNA JEST
ZBIOROWYM OBOWIAZKIEM

Potrzebna nam nowoczesna obrona cywilna



MAREK BUDZISZ

Tym, co wydaje się być największym problemem, jeśli myśli się o ochronie ludności i przygotowaniu państwa na sytuacje kryzysowe, jest konsumpcyjne podejście obywateli, którzy uważają, że płacą podatki i w zamian to państwo winno zapewnić im bezpieczeństwo

Gints Reinsons, kierujący obroną cywilną w stolicy Łotwy, zapowiedział pod koniec kwietnia, że podległe mu służby każdego miesiąca przygotowują co najmniej 100 schronów dla ludności. „Dokonywać inspekcji piwnic budynków użyteczności publicznej, szkół, domów spokojnej starości, szpitali, nawet ratusza” – powiedział mediom i zadeklarował, że zostaną one przygotowane do pełnienia funkcji kryjówek na wypadek ataku.

Wtórował mu Vilnis Ķirsis, mer Rygi, który wystosował nawet spe-

cialny apel do mieszkańców, aby ci „przy okazji wiosennych porządków w piwnicach” upewnili się, czy mogą one spełniać funkcje schronów. O potrzebie ich budowania mówi się nie tylko w graniczącej z Federacją Rosyjską Łotwie.

André Berghegger kierujący pracami niemieckiego zrzeszenia burmistrzów zaapelował do władz federalnych, aby te wyasygnowały więcej pieniędzy na budowę bunkrów i miejsc schronienia dla ludności cywilnej. Chodzi o przeznaczenie na ten cel co najmniej 1 mld euro

rocznie, bo, jak zaznaczył, z ponad 2 tys. schronów zbudowanych w Niemczech w czasie zimnej wojny dziś nadaje się do użytku jedynie 600, które mogą pomieścić maksymalnie 500 tys. ludzi.

Wzorem w tym wypadku jest Finlandia – w ub.r. jej władze przeprowadziły dokładny spis schronów, który wykazał, że w całym kraju jest ich ponad 50 tys. Dadzą one schronienie 4,8 mln obywateli tego 5,5-mln kraju, a ponadto, jak informował Reuters, 83 proc. z nich jest wyposażone na wypadek ataku nuklearnego.



MIEJSCA DORAŻNEGO SCHRONIENIA

A jak jest ze schronami jest w Polsce? Sytuacja przypomina bardziej „model niemiecki”, choć na pierwszy rzut oka oficjalne statystyki wyglądają optymistycznie. W ub.r. gen. Andrzej Bartkowiak, komendant Straży Pożarnej, która przeprowadziła ewidencję schronów, uspokajał, że mamy ich w Polsce tyle, że mogą one łącznie przyjąć ponad 49 mln ludzi. Jednak już nie tak głośno mówił, iż w 97 proc. są to tzw. miejsca doraźnego schronienia, w praktyce nie spełniające żadnych norm przetrwania ewentualnego ataku.

Jeśli macie państwo piwnicę i zejście do niej, to już znaleźliście się w „miejscu doraźnego schronienia”, ale czy w nim przetrwacie, skąd weźmiecie wodę i żywność, jak się wydostaniecie, jeśli zawali się wyjście – to już wasza sprawa.

Rzeczywisty obraz przygotowania Polski tylko w tym segmencie obrony cywilnej ujawnia tegoroczny raport Najwyższej Izby Kontroli. Skontrolowano 32 gminy i oskarżono Państwową Straż Pożarną o podawanie „nierzetelnych danych” w kwestii schronów, które „mogą stwarzać fałszywe poczucie bezpieczeństwa” wśród obywateli.

Co z tego, że mamy specjalną apkę, którą każdy może ściągnąć na telefon komórkowy i odszukać przy jej użyciu najbliższy schron, skoro sześć ze sprawdzonych przez inspektorów gmin w ogóle nie przygotowało nawet jednego miejsca schronienia, a 68 proc. poddanych oględzinom schronów i ponad połowa ukryć nie spełniała wymogów technicznych.

Władze Warszawy nadal nie mają pojęcia, które stacje metra mogą spełniać funkcje schronów, a które należałoby zamknąć, bo szukanie w nich azylu może oznaczać dla mieszkańców śmiertelne niebezpieczeństwo.

BEZUŻYTECZNA APLIKACJA

Nawiasem mówiąc, w tej sytuacji podatność aplikacji na telefon komórkowy też jest wątpliwa, bo specjaliści wojskowi są przekonani, że jednym z pierwszych celów ataku wroga będzie sieć łączności. Stacje telefonii komórkowej mogą być albo niszczone, albo zagłuszone, bo Rosja ma dziś jeden z najbardziej rozwiniętych na świecie potencjałów walki radioelektronicznej.

W ub.r. w głośnym wywiadzie dla „The Economist” gen. Walerij Żaluźny, ówczesny dowódca ukraińskich sił zbrojnych, powiedział, że jego zdaniem największym zagrożeniem „są rosyjskie zdolności zagłuszania sygnałów”, a ostatnio wśród ekspertów pojawiły się opinie, że Putin postawił na rozbudowę tego rodzaju zdolności.

To oznacza, że jako pewnik należy uznać, iż w czasie wojny, a także jej następującego ryzyka, Rosjanie będą się starali zakłócić nasze systemy łączności, zarówno wojskowej, jak i cywilnej. Zresztą już to robią, zniekształcając sygnały GPS.

Należy zatem założyć, że łączność komórkowa będzie albo zablokowana, albo będzie działać z przerwami. Jak w takiej sytuacji centra zarządzania kryzysowego chcą zawiadomić Polaków o zagrożeniach i położeniu miejsc ukrycia? Będą oczy-

wiście wyły syreny, używane dziś chyba wyłącznie tylko w rocznicę wybuchu powstania warszawskiego, ale kto z Polaków wie, jak interpretować ich sygnały? Czy mamy wystarczającą liczbę syren? W latach 60. XX w., kiedy Niemcy budowali swój system obrony cywilnej, założyli, że w każdym liczącym ponad 5 tys. mieszkańców miasteczku muszą mieć 50 tys. instalacji tego rodzaju, bo zakładali, że już skupiska tej wielkości będą atakowane.

Wracając do kwestii schronów – w kwietniu br. resort spraw wewnętrznych i administracji ocenił, że ich remonty będą kosztowały 2,7 mld zł, a sama ewidencja istniejących obiektów zajmie 1,5 roku. Trochę późno jak na trzeci rok wielkiej wojny u naszych granic. Tym bardziej że w czasie szczytu NATO w Warszawie w 2016 r. zwrócono uwagę na siedem podstawowych obszarów „przygotowania cywilnego” państw członkowskich do ry-
sujących się zagrożeń.

WIELOLETNIE ZANIEDBANIA

To przede wszystkim gwarancja ciągłości rządów, zdolność do zapewnienia energii, kontrolowanie procesów i przeciwdziałanie zagrożeniom związanym z niekontrolowanym przemieszczaniem się ludzi, zabezpieczenie dostatecznych zapasów wody i żywności, zdolność do radzenia sobie z dużą liczbą ofiar i w czasie kryzysów zdrowotnych, zapewnienie odpornych cywilnych systemów łączności (sieci telekomunikacyjne i cybernetyczne), a także uczynienie odpornymi istniejących systemów transportu.

Już choćby w pierwszym obszarze musimy nadrobić wieloletnie zaniedbania. W sierpniu ub.r. prezydent Andrzej Duda złożył w Sejmie przygotowaną w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego ustawę, która regulowała kwestie związane z ciągłością rządów na wypadek wojny. Była w niej mowa o tak elementarnych działaniach, jak włączenie marszałków Sejmu i Senatu, w świetle zapisów konstytucji osób nr 2 i 3 w hierarchii władzy w Polsce, w system wymiany informacji i dyktowania na wypadek wojny. Wówczas nie podjęto prac na tymi propozycjami, bo przecież parlamentarzyści mieli na głowie ważniejsze sprawy, czyli wybory. Ustawa ponownie wróciła do Sejmu, ale prace nad nią nie są szybkie.

Mamy też projekt „ustawy o ochronie ludności i obronie cywilnej” zaprezentowany w ub. tygodniu przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji, ale budowa całego systemu musi zająć lata i pochłonie gigantyczne środki, bo rząd przewiduje, iż w każdym roku przeznaczy na ten cel 0,25 proc. polskiego PKB, czyli nawet 10 mld zł.

ZADANIA DLA OBYWATELA

Jeśli jednak myślimy o budowie nowoczesnej obrony cywilnej, to przede wszystkim trzeba wziąć pod uwagę gotowość społeczeństwa, które musi chcieć przygotować się na nowe, mniej bezpieczne czasy. Kajsa Ollongren, holenderska minister obrony, której matka pochodzi ze Szwecji, powiedziała dziennikowi „The Wall Street Journal”, że różnica między podejściem Holendrów i Szwedów do kwestii bezpieczeństwa polega na tym, że „u nas ludzie myślą, iż jego zagwarantowanie jest obowiązkiem wojskowych”, a w Szwecji wszyscy są włączeni do systemu obrony powszechnej.

To konsumpcyjne podejście, kiedy obywatele uważają, że płacą podatki i w zamian państwo winno zapewnić im bezpieczeństwo, wydaje się być największym problemem, jeśli myśli się o ochronie ludności i przygotowaniu kraju na sytuacje kryzysowe. Jak to trafnie ujął w rozmowie z dziennikarzami „Frankfurter Allgemeine Zeitung” gen. André Bodemann, który opracowywał przyjęty niedawno przez rząd federalny plan obrony Niemiec, „Bundeswehra absolutnie nie jest w stanie samodzielnie” chronić infrastruktury krytycznej i dlatego potrzebuje zaangażowania ludności cywilnej. To z tego powodu szwedzkie siły zbrojne już dwa lata temu zainicjowały kampanię adresowaną do obywateli pod nazwą „Zobacz, oceń, poinformuj”, której celem jest przede wszystkim wzrost świadomości sytuacyjnej, obserwowanie tego, co się dzieje w naszym otoczeniu i reagowanie na nietypowe, dziwne, niecodzienne zjawiska.

Osobnym wyzwaniem jest logistyka, która w przypadku NATO, jak wynika z szacunków Kwatery Głównej,

w 90 proc. opiera się na potencjale i zaangażowaniu firm prywatnych, a to oznacza konieczność stałego szkolenia, utrzymywania zdolności i współpracy z sektorem pozarządowym. Jeśli prywatne firmy transportowe mają mieć odpowiedni sprzęt, np. do transportu ciężkich pojazdów, to muszą liczyć na finansowe wsparcie państwa w ich zakupie, bo w czasie pokoju zapotrzebowanie na tego rodzaju przewozy jest ograniczone.

Brytyjczycy, którzy zbudowali system obrony cywilnej jeszcze przed II wojną światową, wychodzili z założenia, jak wspominał sir John Anderson, wojenny minister spraw wewnętrznych, że jest to „zasadniczo służba obywatelska oparta

Władze Warszawy nadal nie mają pojęcia, które stacje metra mogą spełniać funkcje schronów, a które należałoby zamknąć, bo szukanie w nich azylu może oznaczać dla mieszkańców śmiertelne niebezpieczeństwo

na zasadzie samopomocy”. W efekcie już przed wojną w ochotniczych formacjach samopomocowych, które później przekształciły się w obronę cywilną, w Wielkiej Brytanii zaangażowanych było 1,14 mln osób, głównie kobiet. W czasie wojny władze wyszły z założenia, że chcąc przeciwdziałać wybuchom paniki wśród ludności cywilnej, należy przede wszystkim realizować politykę „pozostań w domu” (stay at home), co jest mniej ryzykowne i łatwiejsze w realizacji od ewakuacji na masową skalę ludności cywilnej.

W styczniu br. Carl-Oskar Bohlin, szwedzki minister odpowiadający za obronę cywilną, zaapelował do wszystkich obywateli, aby ci „nie traktowali pokoju jako czegoś pewnego” i rozpoczęli przygotowania, każdy na własną

rękę, do ewentualnego konfliktu. Polityk odwołał się do doświadczeń szwedzkiego systemu obrony powszechnej, w którym w czasie zimnej wojny w rozmaitych organizacjach było zaangażowanych ponad 10 proc. społeczeństwa, a 11 tys. działających firm prywatnych zobowiązano do posiadania niezbędnych rezerw.

Ostatnio rząd Danii poprosił obywateli, aby ci zgromadzili w domach podstawowy zapas wody, żywności lekarstw i tabletek zawierających jodynę. „Realia są takie, że Danii i naszym sojusznikom grozi wojna hybrydowa” – powiedział minister obrony Troels Lund Poulsen, a to oznacza, w jego opinii, iż „każdy

z nas powinien przygotować się na to, że przez krótki czas możemy zostać pozbawieni dostępu do prądu, wody lub możliwości zakupu podstawowych artykułów pierwszej potrzeby”. Władze zaleciły obywatelom, aby ci zgromadzili przynajmniej po dziewięć butelek wody pitnej na osobę, żywność niezbędną co najmniej na trzy dni i świece oraz baterie, bo energii też może zabraknąć. Te przygotowania, jak powiedziała agencji Bloomberg Laila Reenberg, odpowiadająca w Danii za obszar reagowania kryzysowego, nie są związane z ryzykiem wielkiej wojny, ale należy je traktować w kategorii niezbędnych środków przygotowania się do ataków hybrydowych, w tym „destrukcyjnego cyberuderzenia”.

Zaznaczyła przy tym, iż głównym celem władz jest informowanie i przeszkolenie możliwie dużej grupy obywateli, bo wówczas można uniknąć wybuchów paniki.

W tym przypadku mamy do czynienia z kwintesencją nordyckiego podejścia do zadań obrony cywilnej – to świadomi sytuacji, informowani przez władze i przeszkoleni obywatele decydują o systemie odpornościowym państwa. Władze mają im w tym pomóc, ale to każdy winien samodzielnie przygotowywać się na to, jak sobie radzić w sytuacjach kryzysowych. Musi wiedzieć, jak oceniać sytuację, reagować, komunikować się i na czyją pomoc może liczyć. Nowoczesnej obrony cywilnej nie zbuduje się bez zaangażowania społecznego.



Nigdy tego nie próbujcie!

Pracuję z osobami uzależnionymi od 2006 r., ale nie podejmę się pracy z uzależnionym od fentanylu. To, co kiedyś zobaczyłem, przekraczało moje możliwości, wiedzę i kompetencje. A proszę mi wierzyć, że jestem bardzo odważnym człowiekiem

Z Mariuszem Jędrzejko,
profesorem Akademii
Piotrkowskiej, logoterapeutą
i dyrektorem naukowym
Centrum Profilaktyki
Społecznej, rozmawia Dorota
Łosiewicz

Fentanyl zaczął zabijać także w Polsce. Mamy już kilka ofiar śmiertelnych, choć nieoficjalnie słyszymy, że w ostatnich latach nawet kilkadziesiąt. Co to za substancja?

Mariusz Jędrzejko: Fentanyl jest dziś najsilniejszym znanym lekiem przeciwbólowym. Jest on 50-krotnie mocniejszy od heroiny, a heroina jest 50-krotnie mocniejsza od morfiny, czyli mamy substancję 100 razy silniejszą od morfiny. Działa przy podaniu śluzowym, domięśniowym i do krwiobiegu. Lek wydawany jest wyłącznie na receptę. Stosuje się go przede wszystkim w anestezjologii, a także jako lek na przewlekły i ostry ból, np. w przypadku pacjentów z chorobą nowotworową. Fentanyl należy do opioidów, co oznacza, że jest bardzo silnym lekiem narkotycznym o naprawdę potężnym

Fot. Julia Szewczyk

potencjale uzależniającym. Jego substancja czynna łączy się z receptorami opioidowymi w organizmie człowieka, pobudzając je. Warto pamiętać, że fentanyl działa dużo silniej niż np. morfina, ponieważ rozpuszcza się w tłuszczach i dużo łatwiej przenika do mózgu. Ma niską dawkę progową, działa przy podaniu już dwóch nanogramów. Trzeba pamiętać, że jest to obecnie najmocniejszy lek przeciwbólowy znajdujący się na szczycie ustanowionej przez WHO tzw. drabiny analgetycznej. To wyraźny sygnał dla lekarzy o jego sile działania.

Czyli współczesna nauka dostarcza nam rzetelnej wiedzy, a jednak problem jego niemedycznego używania narasta. Dlaczego?

Historia tego leku sięga lat 60. XX w., gdy wprowadzono go na rynek jako pełnoprawny lek przeciwbólowy. Z punktu widzenia celów medycznych jego zastosowanie miało głęboki sens. Jednak tak to już jest z ludzką naturą, że jak pojawia się coś dobrego, w tym przypadku dobrze przebadany lek przeciwbólowy, który miał służyć całkowitemu znieczuleniu, a jednocześnie był przydatny w procesach operacyjnych, to zaczyna się rozpowszechniać na rynku narkotycznym. Brak wystarczającego nadzoru nad receptami i pojawienie się jego nielegalnych analogów zachęciło świat dealerski do oferowania go jako kolejny narkotyk. Działo się to w sytuacji upowszechniania przez media ostrzeżeń, że jest niewielka różnica między dawką skuteczną medycznie a śmiertelną. Problem zaczął się w USA, gdzie rynek opioidów był już silnie rozwinięty, a zapotrzebowanie na silne narkotyki ogromne. Wdzieliśmy to od kilku lat, zatem było oczywiste, że fentanyl jako narkotyk dotrze także do Polski. Niestety, tak jak w wielu realnie widocznych zagrożeniach, instytucje państw okazują się być spóźnione. Nie mieliśmy profilaktyki prewencyjnej, zaczynamy reagować, gdy umierają ludzie. Podobnie jak z dopalaczami.

Nie ma wątpliwości, że musimy zapanować nad kontrolą fentanylu oraz uświadamiać młodych ludzi o jego straszliwym potencjale uzależniającym. W Polsce substancja ta nie jest produkowana przez świat przestępczy, tylko odzyskiwana z leków. Ale na rynku amerykańskim dostępne są analogi powstające głównie z półproduktów pozyskiwanych z Chin, których system kontrolny jest dziurawy jak przysłowiowe sito. Ogromna podaż leków na receptę i analogów doprowadziła do tego, że fentanyl jest

Ryzyko rozpowszechnienia fentanylu w Polsce jest bardzo wysokie. Wiąże się to także z jego postaciami, które wyglądają niewinnie – tabletki, plastry, kolorowe ampułki

główną przyczyną zgonu Amerykanów między 18. a 45. rokiem życia. O ile w Europie w 2022 r. zmarło po jego zażyciu nieco ponad 160 osób, o tyle w USA ponad 70 tys. Chcę mocno podkreślić, że ten opioid nie stanowi silnego zagrożenia w Polsce, ale ryzyko jego rozpowszechnienia jest bardzo wysokie. Wiąże się to także z jego postaciami, które wyglądają niewinnie – tabletki, plastry, kolorowe ampułki. W tej chwili zagrożenie jest zdecydowanie mniejsze niż np. mefedronem lub syntetycznie wzmacnianą marihuaną.

Jak działa fentanyl?

Fentanyl bardzo silnie działa na ośrodkowy układ nerwowy, dużo szybciej niż morfina, i stosowany niemedycznie „wylacza” receptory, które umożliwiają nam postrzeganie świata: widzenie, słyszenie, rozumienie. Ludzie po zażyciu tego leku nie odbierają bodźców zewnętrznych, dlatego o narkomanach fen-

tanylowych mówi się „zombie”. Gdy zwracamy się do takiej osoby, ona nie rozumie, co się do niej mówi i prawdopodobnie nie słyszy, ponieważ jest „odcięta” od świata. Ci ludzie nie są zdolni do funkcjonowania społecznego. Najgroźniejsza jest depresja układu oddechowego i ośrodkowego układu nerwowego. Po przedawkowaniu fentanylu następują zaburzenia układu naczyniowo-sercowego i oddechowego. Ludzie umierają, bo prostu przestają oddychać albo zatrzymuje się praca serca. Ten lek ma także ogromny potencjał „wiązania” receptorów opioidowych, na skutek czego użytkownik pożąda coraz większych i częstszych dawek.

Dlaczego mówi się o tych ludziach „zombie”?

Zachęcam czytelników do obejrzenia w internecie filmów, np. z Bostonu lub z Zachodniego Wybrzeża USA, by zobaczyć jak ci ludzie wyglądają: pochyleni, snujący się bez celu, spowolnieni, bez kontaktu. Często koczując pod sklepami, uniemożliwiając wejście do nich właścicielom i klientom. Stanowią zagrożenie nie tylko dla siebie, lecz także normalnego funkcjonowania społeczeństwa. To kolejny zły sen w amerykańskiej polityce narkotykowej. Przypomnijmy, że nie tak dawno Kalifornia, zafascynowana marihuaną, zalegalizowała ją. To był stan, do którego ludzie migrowali, bo był niezwykle przyjazny, zarówno klimatycznie, jak i kulturowo oraz ekonomicznie. Dziś ludzie stamtąd uciekają. W dużych miastach jest tak wielki problem z fentanylem, że ludzie zaczynają tracić swoje biznesy i będą je tracić dalej, co za tym idzie, pojawiają się problemy z płaceniem podatków, na które trzeba zarobić. Problem z fentanylem zaczyna być problemem ekonomicznym. Nie bez powodu prezydent USA kilkakrotnie mówił o problemie narkotykowym w tym kraju, co jest istotnym *novum*, bo od czasu tzw. rewolucji kwiatów, czasów hipisowskich, żaden z przywódców Ameryki tak często publicznie nie odnosił się do zagrożeń

narkotykowych, nawet bardzo konserwatywni Regan i Bush senior. Równie nieprzypadkowo podczas niedawnego szczytu Biden–Jinping kwestia produkcji w Chinach prekursorów do narkotyków opioidowych znalazła się na szczycie agendy. To nie jest jedwabny szlak, ale droga śmierci z chińskich laboratoriów przez meksykańskie kartele na amerykańską ulicę.

Kiedy wybuchło to zjawisko? W ciągu ostatnich 2–3 lat, kiedy media zalewają informacje o śmiertelnych żniwach fentanylu?

Jako zjawisko masowe, które wymknęło się spod kontroli, możemy przyjąć pojawienie się nielegalnych zamienników fentanylu na przełomie 2013 i 2014 r. Był to sygnał, że świat przestępczy widzi w nowych syntetycznych opioidach wielki biznes. Pierwszym, który zyskał ogromną popularność, był U-47700. Ponieważ wizualnie nowe opioidy wyglądały podobnie jak popularne benzodiazepiny oraz słabsze narkotyki opioidowe, pierwsi klienci nie znali ich ogromnego potencjału uzależniającego. Pojawiły się też zaskakujące formy zażywania, np. spray. Równolegle do rynku nielegalnego rozwijał się handel lekiem pozyskiwanym z oficjalnych recept, a także lekami podrabianymi, podobnie jak to miało miejsce wcześniej w przypadku Xanaxu. W analizach substancji stwierdzano również obecność fentanylu w amfetaminie, heroinie i kokainie. Bomba wybuchła cztery lata temu, a liczba konfiskowanych nielegalnych narkotyków sięgała 60 mln rocznie. Jak informuje amerykańska agencja DEA, 70 proc. narkotyków przejmowanych przez służby jest zanieczyszczonych fentanylem. Nie sposób pominąć w tym wszystkim bandyckiej roli meksykańskich karteli Jalisco i Sinaloa, które – i to nie pomyłka – co roku przetrzucają do USA narkotyki warte ponad 50 mld dol. Potężny biznes, ogromny potencjał uzależniający, rosnąca

liczba ludzi niedających sobie rady w życiu stworzyły śmiercionośną mieszkankę wybuchową.

Podobno terapia odwykowa jest skuteczna w przypadku zaledwie 4 proc. przypadków.

Pracuję z osobami uzależnionymi od 2006 r., ale nie podejmę się pracy z uzależnionym od fentanylu. Do mojego ośrodka w Józefowie trafił mężczyzna, który przyznał się do czterokrotnego zażycia substancji w postaci aerozolu do nosa oraz tabletki podjęzykowej. Kupił to przez internet. Przyjechał ze swoją part-

Po przedawkowaniu fentanylu następują zaburzenia układu naczyniowo-sercowego i oddechowego. Ludzie umierają, bo prostu przestają oddychać albo zatrzymuje się praca serca

nerką, nie był w stanie samodzielnie wyjść z samochodu, wskazać stron świata, nie zrozumiał zdania „Proszę, zostawcie kurtki na wieszaku”. Wystarczyło 10 min rozmowy, abym powiedział im, że muszą szybko jechać do szpitala uniwersyteckiego w Łodzi. To, co zobaczyłem, przekraczało moje możliwości, wiedzę i kompetencje. A proszę mi wierzyć, że jestem bardzo odważnym człowiekiem. Nawet pani sobie nie wyobraża, w jakim stanie są dzieci, które przyjmują do ośrodka. Także takie, które biegają z siekierą po podwórku, gdy dowiadują się, że to koniec ich codziennej kariery z marihuaną lub wciąganego każdego ranka mefedronu. Ten przypadek 23-letniego studenta, chłopaka mającego dziewczynę w szóstym miesiącu ciąży, człowieka, który jeszcze pół roku wcześniej grał w drużynie

akademickiej, przekraczał wszelkie moje wyobrażenia. Jedyne co mówił: „Dajcie mi coś; muszę coś wziąć; nie wytrzymam; błagam, rozważa mi leń”. Na ścianie naszego ośrodka jest mural namalowany przez pacjentkę, z dwoma motykami i serduszkami, jako podziękowanie za to jak jej pomogliśmy. Ten młody mężczyzna nie potrafił odczytać obrazu, jego umysł był za kolejną porcją fentanylu, a przecież twierdził, że ma za sobą tylko cztery zażycia. Pojechali do Łodzi, ale kilka dni później dowiedziałem się od zapłakanej dziewczyny, że nie dojechali. Wysiadł na światłach i uciekł między kamienice. Młodzi ludzie są skłonni do ryzyka, co samo w sobie nie jest złe, ale chodzi o ryzyko rozwijające, a nie zwiżające. U niektórych z nich pojawia się myślenie: „Jestem nieśmiertelny”, „Trzeba próbować teraz”. Czytają o tym narkotyku, większość wie o ryzyku, a mimo to idzie na całość. Ludzie nie rozumieją jednak przekazu, że fentanyl jest 100 razy silniejszy od morfiny i uzależnia według modelu 1:1 – spróbowałeś i twój mózg już to zapamiętał. Proszę zwrócić uwagę, że zanim lekarze zdecydują się przepisać fentanyl, rozważają i stosują inne silne leki przeciwbólowe.

Ministerstwo Zdrowia zapowiada dodatkowy monitoring recept na opioidy i przekazywanie informacji policji. Czy to wystarczy?

Zadaję publicznie pytanie: dlaczego instytucja państwowa odpowiedzialna za profilaktykę uzależnień nie zaproponowała polskim władzom tego rozwiązania kilka lat temu? Dlaczego o zagrożeniach zaczynamy myśleć i mówić dopiero wówczas, gdy umierają ludzie, choć na całe szczęście nie mamy problemu na poziomie USA? Mamy jednak lekarzy, którzy udzielają kilkuset e-porad dziennie, a my nie potrafimy tej procedury ukrócić, to znaczy, że polski państwo jest w tej sferze g...no warte. Bo od państwa mamy prawo oczekiwać skuteczności, zwłaszcza że płacił tym

urzędnikom ogromne pieniądze. Dobrze, że pani minister Leszczyna próbuje coś zrobić, pytanie jednak, dlaczego jej podwładni nie zaproponowali takiego działania w styczniu, a nawet w grudniu? Odpowiem, jak to widzę jako zewnętrzny obserwator. Urzędnik często kończy pracę o godz. 15.30 i jego nie interesuje polskie państwo, ma swoje wykładziki, jedzie na konferencję, ma superwizje, dodatkowe dochody, których skrzętnie pilnuje. Część kadr urzędniczych ma dramatycznie niski poziom moralnego związku ze swoją ojczyzną. Dam pani taki przykład. Poinformowałem dowódcę znaczącej jednostki wojskowej o problemie narkotykowym w jednostce. Kilku żołnierzy, którzy do mnie przyjechali, mających problem z marihuaną, mówiło o problemie szerszym – modzie używania sterydów do „wyrzeźbienia ciała”. Jeden z nich się przestraszył, gdy dwukrotnie zaatakował dziewczynę i rozwalil drzwi w kuchni. W efekcie pojawiła się u mnie przedstawicielka owej jednostki wojskowej, która oznajmiła, że stygmatyzuję ich jednostkę i ona się nie zgadza z moją oceną. Kilka dni później ta sama osoba, tym razem skruszona, pojawiła się u mnie ze swoją córką uzależnioną od narkotyków. Nie zrobiła tego z własnej woli, zmusił ją do tego ojciec dziewczyny. Pytam więc: dlaczego teraz mam pani pomóc, a w przypadku jednostki bardziej bała się pani utraty jej dobrego imienia niż otwartej pomocy dla swoich kolegów, podwładnych? Mamy skłonność do życia mitami – jak jest mundur, to przecież nie ma tam patologii. Jak się jest znanym bankowcem lub celebrytą, to jest się ideałem. Naprawdę? Powiedziałem znanemu dziennikarzowi telewizji porannej i jego ojcu, również dziennikarzowi, że z narkotyków nie wychodzi się, udzielając wywiadów i opowiadając w brukowcach bajki o swoim pięknym ojcostwie, lecz przez twardą szkołę leczenia i terapii, ciężką pracę nad sobą. I szuka-

nie odpowiedzi na pytanie, czemu uciekłeś w amfetaminę, marihuanę, ecstasy i kokainę. Narkotykami nie wolno straszyć, ale trzeba się zastanowić, dlaczego w kraju, który ma dziesiątki tysięcy psychologów, setki tysięcy pedagogów, specjalistyczne służby i krajowe biura, wydaje 3–4 mld zł na profilaktykę, jest coraz gorzej. Dlaczego mamimy się teraz: „Problem narkotykowy jest

Gdy mówimy o fentanylu, nie jest to problem czerwca 2024 r. i Żuromina, gdyż filmy z USA „zombie na fentanylu” są w sieci od lat, mają setki milionów wyświetleń. Co zrobiliśmy u nas, aby młodzi ludzie z wyprzedzeniem usłyszeli: „Bądźcie ostrożni, to naprawdę zabija”?

ustabilizowany”, „Nie narasta zagrożenie narkotykowe”. A dlaczego przy takich nakładach sił i środków nie maleje?

Jak rozwiązać problem fentanylu?

Żeby zlikwidować problem fentanylu, trzeba go przestać produkować, a to na razie nie wydaje się możliwe. Odpowiedzmy sobie na pytanie: dlaczego w ogóle jest stosowany? Musimy wiedzieć, że wprowadzenie na rynek nowego, przebadanego, bezpiecznego leku jest bardzo drogie. Kiedyś mówiło się o 70–80 mln dol., dziś opracowanie i wprowadzenie nowego leku np. w onkologii kosztuje 1 mld dol. Na taki wydatek stać tylko kilkanaście firm na świecie, ale żadną z Polski. My robimy naprawdę dobre leki generyczne, które naśladują inne, te już sprawdzone. Być może ktoś mógłby opracować lep-

szy, ale musiałby mieć pewność, że ten 1 mld dol. się zwróci. To błędne koło. Na dodatek systemy sprzedaży są nieszczerne. Można zakazać produkcji leku, zlikwidować zapasy, ale światu medycznemu trzeba dostarczyć zamiennik. Tymczasem dziś najbardziej potrzebujemy, szczególnie w Polsce, świadomości, jakie są konsekwencje naszych nienormalnych zachowań. Mamy krajowe biuro zajmujące się uzależnieniami, a na jego czele od ponad 20 lat jest ten sam człowiek – zmieniła się tylko nazwa instytucji. Mamy świetne raporty analityczne, przejrzyste konkursy na pozyskiwanie środków publicznych, ogólnopolskie kampanie, konferencje. I co z tego wynika, co się zmieniło, gdzie okazaliśmy się społecznie kompetentni i odpowiedzialni za własny naród? Czy państwo polskie przewidziało i wyprzedziło problem tzw. dopalaczy, napojów energetyzujących, e-papierosów, skandalicznej co do skali podaży leków OTC? Co zrobiło, aby nie reklamować piwa w telewizji, wstrzymać sprzedaż alkoholu na stacjach benzynowych i teraz z wyprzedzeniem podejść do nowych opioidów? Chciałbym zapytać panią minister, dlaczego nie możemy kształcić terapeutów na uczelniach publicznych, a robimy to w „systemie prywatnym”? Jej intencje i działania wydają się być bardzo kompetentne, ale stary system pilnuje, aby nie widziała „czarnej materii”. Choć myślę coraz bardziej optymistycznie w coraz bardziej pesymistycznych czasach, trudno nie zauważyć nowych problemów – wielka praca zespołu prof. Witolda Zatońskiego w obszarze profilaktyki nikotynowej została niemal sprzeniewierzona przez masową podaż nowych form przyjmowania nikotyny, po które sięgają już 13–14-latkowie. To nie biuro powołane przez państwo, a dziennikarze wyprzedzają problemy, to od was płyną sygnały do władzy i społeczeństwa. Gdy mówimy o fentanylu, to nie jest problem czerwca 2024 r. i Żuromina, gdyż filmy z USA „zombie na fentanylu”

są w sieci od lat, mają setki milionów wyświetleń. Co zrobiliśmy u nas, aby młodzi ludzie z wyprzedzeniem usłyszeli: „Bądźcie ostrożni, to naprawdę zabija”? Niewiele. Media tylko straszą Żurominem, stygmatyzując to miejsce, a tam po prostu pojawili się bandyci, którzy powinni siedzieć, mieć wyroki po 25 lat, a zarabiają na ludzkiej śmierci. Wyroki na przestępców narkotykowych powinny być nieodwracalne, nieskracalne i bardzo wysokie. Tymczasem dawni i obecni przestępcy narkotykowi są właścicielami firm deweloperskich, budują osiedla, prowadzą autokomisy, mają firmy transportowe, śmieją się państwu w oczy z zasłony biegłych prawników. Nawet jeśli ograniczymy pozyskiwanie fentanylu z e-recept, to mamy internet, darknet. Czy np. Google z nami współpracuje, aby w ciągu jednego dnia zamknąć każdy sklep operujący narkotykami? Może to zrobić natychmiast. Dlaczego nie robi, nie współpracuje? Może mówiący o wielkich ideach pan Musk powie: „Życie jest największą wartością, zaczynam blokować e-handel narkotykami”. Jak chce się być wielkim, to trzeba zacząć od własnej konstrukcji moralnej. Świat rządzi się komercją, a komercja odrzuca normy, kategorie aksjologiczne, gdyż nie pasują do tabelki „zyski”.

Ze względu na właściwości fizyczne fentanyl jest przydatny w medycynie, pomaga pokonać bardzo silny ból, ale wymknął się spod kontroli i stał substancją nakręcającą najcięższą formę narkomanii opiodowej. Co nam zostaje: profilaktyka rozsądku, a nie straszenie Żurominem i „zombie”. Trzeba wytłumaczyć ludziom, żeby nigdy tego nie próbowali, trzeba uświadamiać siłę uzależnienia. Ludzie ciągle szukają nowych podniet i tworzą mity, jak ten o medycznej marihuanie. A przecież leczy nie marihuana, tylko pojedyncze kannabinoidy. Gdy pytam młodych ludzi, dlaczego palą jointy, mówią, że marihuana jest medyczna, a przecież oni żyją w świecie bzdur. O ile jednak z marihuaną może jeszcze sobie poradzimy, o tyle wielkim

wyzwaniem stały się syntetyczne katynony z mefedronem na czele, który jest powszechnie dostępny. To przerażające, jak wielu młodych Polaków zaczyna eksperymenty narkotykowe właśnie od tej substancji, a jest ona 10 razy silniejsza od amfetaminy.

Jest pan rygorystyczny w niepopularnych ocenach.

Ludzi uciekają w narkotyki, bo regulując swoje emocje, napięcia, szukając rozwiązań, wpadają w pułapkę „błyskawicznego lekarstwa”, w tym tego ultrabłyskawicznego, którym jest fentanyl. W logoterapii, którą reprezentuję, kluczem jest poczucie sensu – po co żyjesz, dla kogo, kto jest

Żeby zlikwidować problem fentanylu, trzeba go przestać produkować, a to na razie nie wydaje się możliwe

twoim mistrzem, dokąd i po co zmierzasz, czy potrafisz to wyjaśnić na płaszczyźnie sensu? Uzależnienia zabrały mi siostrę i brata. Ich nagrobki nie mówią, nie gestykulują, nawet nie chcą usiąść ze mną przy stole i posprzeczać się. Nie wolno straszyć, ale rzeczy trzeba nazywać po imieniu, tak jak Platon, jak św. Franciszek, Karol Wojtyła w „Osobie i czynie”, Viktor Frankl, Czesław Ciekiera czy Roman Ingarden. Trafiają do mnie młodzi, świetnie zarabiający ludzie, robiący niezwykle kariery, ale oni są już po wielokrotnym zażyciu kokainy, dla nich to po prostu substancja, bez której nie ma dobrego weekendu, wyjazdu w góry czy do spa. Dziewczyny palące marihuanę, bo wszyscy wokół palą. Spotkałem młodego mężczyznę, który musi wciągnąć dwa razy dziennie, bo nie może bez tego żyć. To nie są ludzie społecznie niebezpieczni, jak ci po fentanylu – są lekarzami, prawnikami, dzien-

nikarzami, informatykami, żołnierzami, ale używają narkotyków, bo nie wytrzymują tempa i presji życia. Żyją nie po to, aby egzystować z sensem, tylko dla wyznaczonych kulturowo sukcesów. Jadą do naszego małego Józefowa, gdzie jest 19 domów i zauważają inną stronę tempa życia, wyznaczoną nie przez prezesów i normy, ale poczucie sensu. Fakty o fentanylu w Polsce to nic innego jak syrena ostrzegawcza, która woła, by zbudować model edukacji społecznej, by za 8–10 lat nastąpiła pozytywna zmiana. Tymczasem od 20 lat na tym polu niewiele się dzieje w sensie strategii, choć tysiące ludzi wykonuje ogromną pozytywistyczną pracę. Nie chcę słyszeć, że nie jest gorzej, chcę usłyszeć, że mamy pozytywny progres.

Co dziś możemy zrobić, by problem z fentanylem, a może szerzej – z uzależnieniami – nie skończył się w Polsce jak w USA?

Zajmuję się edukacją i profilaktyką. Potrzebujemy „konstytucji odpowiedzialności zdrowotnej”, która da władzy jasne delegacje i przesłanki do decyzji. Podam cztery pierwsze kroki. Codziennie rano kilkaset tysięcy Polaków, nawet do miliona, kupuje tzw. małpki. Nie ma wątpliwości, że podaż alkoholu w opakowaniach do 200 ml powinna być wstrzymana. Tylko przez system apteczny sprzedajemy leki OTC za 8–10 mld zł rocznie – jesteśmy społeczeństwem lekomanów, żremy leki przeciwbólowe na potęgę, z DXM, kodeiną, pseudoefedryną. Ta polityka powinna ulec głębokiej zmianie w kierunku radykalnego zmniejszenia ich sprzedaży. Ponadto nikotyna jest substancją o błyskawicznej przenikalności do mózgu i bardzo dużej sile uzależnienia. Jeśli odpowiedzialnie myślimy o młodym pokoleniu, wprowadzamy całkowity zakaz sprzedaży tzw. elektronicznych papierosów. I wreszcie kończymy reklamę alkoholu w mediach oraz sprzedaż alkoholu na stacjach benzynowych. Nie patrzmy, co powiedzą tzw. wyborcy, lecz zwiększamy szanse na dłuższe życie. Amen.



Hit Netflixu kręcony na grobach polskich bohaterów

Kolejna granica została przekroczona. Warszawską „Łączkę”, miejsce uświęcone krwią Polaków zamordowanych za umiłowanie ojczyzny, wykorzystano do nakręcenia fabularnego filmu. I nic nie wskazuje na to, żeby był to ostatni raz



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Film „Kolory zła: czerwień” opowiada o śledztwie związanym ze znalezieniem ciała młodej kobiety na jednej z trójmiejskich plaż. Jak czytamy na portalu Netflix: „Ten mroczny thriller o morderstwie młodej dziewczyny i poszukiwaniu prawdy przez jej matkę oparty jest na powieści Małgorzaty Oliwii Sobczak z 2019 roku”.

Film osiągnął sukces, utrzymuje się w czołówce najchętniej oglądanych na platformie streamingowej Netflix. W obsadzie znaleźli się tacy aktorzy, jak Jakub Gierszał, Maja Ostaszewska czy Przemysław Bluszczyk, a reżyserem jest Adrian Panek.

Film można określić jako brutalny, chociaż nie to było przyczyną powstania niniejszego tekstu. Sprzeciw budzi po-

zornie niewinna scena pogrzebu jednej z głównych bohaterek (Moniki Boguckiej, granej przez Zofię Jastrzębską). Sekwencję nakręcono w kwaterze „Ł” Cmentarzu Wojskowego na Powązkach w Warszawie, a prochy kobiety włożono do jednej z nisz urnowych znajdujących się w Panteonie – Mauzoleum Wyklętych-Niezlomnych.

– Wykorzystanie tego wyjątkowego miejsca w scenie filmu sensacyjnego emitowanego na jednej z komercyjnych platform internetowych świadczy o całkowitym braku wyczucia i wrażliwości. Powązkowska „Łączka” to miejsce uświęcone krwią polskich bohaterów. Miejsce, w którym komuniści potajemnie chowali bestialsko zamordowanych patriotów. W Panteonie pochowane są szczątki odnalezionych i zidentyfikowanych przez IPN ofiar systemu zła. I w tym miejscu, miejscu świętym, twórcy komercyjnego filmu aranżują scenę pogrzebu. Bo za pewne uznali, że będzie atrakcyjnie wyglądało w ujęciu kamery. W mojej opinii to skandal, policzek wymierzony pochowanym w tym miejscu bohaterom – mówi tygodnikowi „Sieci” dr Rafał Leśkiewicz, rzecznik prasowy IPN.

ILE PIENIĘDZY ZA WYNAJĘCIE „ŁĄCZKI”?

Aurum Film, producent filmu, nie chciał ujawnić nam szczegółów zarówno kręconej sceny, jak i tego, w jaki sposób uzyskał zgodę na użycie Panteonu Żołnierzy Wyklętych jako scenografii. W korespondencji mailowej poinformował, że zdjęcia zrealizowano za zgodą zarządu cmentarza „z pełnym poszanowaniem miejsca, w wyznaczonym dniu i godzinach”. Też o okazaniu należącego szacunku spoczywającym tam bohaterom uzasadnił w taki kuriozalny sposób: „Jeśli widział Pan film, to na pewno zauważył Pan, że w obrazku, na tablicach nie widać żadnych imion i nazwisk”. Do większości pozostałych pytań producent w ogóle się nie odniósł, zasłaniając się klauzulą poufności, podobno zawartą w umowie. A skąd pomysł wykorzystania kwatery „Ł” jako planu filmowego? – pytałem. „Obiekt spełniał warunki lokacji scenariuszowej” – brzmiała odpowiedź. A zatem każde, nawet tak ważne dla polskiej historii miejsce można wykorzystać w dowolny sposób, jeśli ma to służyć „wizji artystycznej”.



mowano rodziny pochowanych tam osób. Jedynie producent po ponawianych pytaniach w tej sprawie przyznał, że wszelkie formalności uzgadniał wyłącznie z zarządem cmentarza. A zatem rodzin polskich bohaterów nie tylko nie zapytano o zgodę, lecz także nie poinformowano o tym przedsięwzięciu.

– Takich miejsc jak „Łączka” nie można wykorzystywać do celów komercyjnych – mówi Tadeusz Płużański, prezes Fundacji Łączka, sprawującej opiekę nad kwaterą „Ł”

Więcej informacji udzielił nam właściciel terenu, czyli Zarząd Cmentarza Komunalnych (ZCK) w Warszawie, podległy stołecznemu magistratowi. Nie tylko potwierdził wydanie zgody na realizację filmu w tym miejscu, lecz także podkreślił, że wyraził zgodę dopiero po przedstawieniu przez producenta filmu fragmentu scenopisu ze sceną, która miała być realizowana na cmentarzu.

Ile to kosztowało? Opłata za wykorzystanie mienia komunalnego, związana z organizacją planu filmowego i wjazd pojazdów ekipy filmowej na cmentarz, miała wynieść 3160 zł. Zaznaczono przy tym, że nie wykorzystano grobów pochowanych tam ludzi, a jedynie specjalnie przygotowaną makietę. „Producent filmu został poinformowany, że groby i nisze urnowe, w których pochowane są osoby zmarłe, nie mogą być wykorzystane (w żadnym zakresie) w charakterze rekwizytu filmowego. Dlatego na potrzeby filmu została wykonana makietą fragmentu Panteonu w kwaterze »Ł«, z niszą użytą w kręconej scenie”.

Producent filmu nie odniósł się do tego punktu. Jednak oglądając „Kolory zła: czerwień”, trudno jest ocenić, czy faktycznie użyto specjalnie przygotowanej repliki części mauzoleum. Ale nawet, jeżeli tak się stało, nie zmienia to faktu, że „Łączkę” wykorzystano do nakręcenia filmu.

NIKT NAS NIE ZAPYTAŁ

Zarówno ZCK, jak i Aurum Film nie chcieli odpowiedzieć, czy o zamiarze kręcenia scen na „Łączce” poinformo-

Krzysztof Bukowski (syn Edmunda Bukowskiego „Zbyszka”, żołnierza i wywiadowcy wileńskiej Armii Krajowej, zamordowanego w więzieniu przy ul. Rakowieckiej 13 kwietnia 1950 r. i zakopanego na „Łączce”, a następnie odnalezionego i pochowanego w Mauzoleum w 2015 r.) jest oburzony całą sytuacją. – To nie powinno mieć miejsca. „Łączka” nie jest przecież zbiorem anonimowych mogił. Wiąże się z bardzo ponurymi wydarzeniami dla wielu osób. Myślę o tych, którzy mają tam pochowanych bliskich, a jeszcze bardziej o tych, którzy wciąż czekają na ich odnalezienie i identyfikację. Wiemy, że tragedia dotyczy nawet 300 osób! – mówi w rozmowie ze mną. – Nie widzę powodu, żeby kręcić sceny akurat w tym miejscu, na pewno jest dużo lokalizacji o podobnym wyglądzie. Wtedy nie byłoby niesmaku u osób, dla których „Łączka” jest czymś więcej niż tylko dekoracją dla filmu fabularnego. Dobry obyczaj nakazywał zapytać o zgodę rodzin pochowanych. Dotyczy to zarówno producentów filmu, jak i zarządu cmentarza, który powinien dbać o przyzwoite obchodzenie się z grobami.

CZY TO MOŻLIWE NA ARLINGTON?

Zarząd Cmentarza Komunalnych w Warszawie jest instytucją podlegającą prezydentowi miasta. Czy należy się zatem dziwić, że ekipa filmowa dostała zielone światło na kręcenie sceny pogrzebu w takim miejscu? Władze Warszawy wielokrotnie pokazywały, jak traktują upamiętnianie polskich bohaterów, godząc się na pochówek na Powązkach Wojskowych, nawet z honorami, kolejnych komunistycznych funkcjonariuszy.

Opisywana historia bulwersuje tym bardziej, że to miasto stołeczne przez wiele lat utrudniało wydobycie ofiar komunistycznego reżimu z dołów śmierci na Powązkach Wojskowych. – Takich miejsc jak „Łączka” nie można wykorzystywać do celów komercyjnych – mówi Tadeusz Płużański, prezes Fundacji Łączka sprawującej opiekę nad kwaterą „Ł”. – Pamiętamy jednak, ile było przeszkód z prowadzeniem na Powązkach ekshumacji szczątków naszych bohaterów i przeniesieniem grobów, często komunistycznych notabli, a nawet zbrodniarzy, które uniemożliwiały dostęp do bezimiennych dołów poniżej. Wątpię, żeby zgodę na kręcenie podobnego filmu producenci dostali np. na Cmentarzu Narodowym w Arlington w USA, żeby na tej szczególnej nekropolii mogły powstawać sceny zupełnie niezwiązane z pochowanymi tam osobami.

STRACH POMYŚLEĆ

Nasi bohaterowie, którzy zostali bestialsko zamordowani przez komunistów, a następnie zakopani w bezimiennych dołach, posłużyli jako sceneria, a ich groby jako rekwizyty do fabularnego filmu dla platformy streamingowej. Stało się to za zgodą instytucji, której obowiązkiem jest pilnowanie porządku, ale jeszcze bardziej godnego spoczynku pochowanych na cmentarzu osób. Aż strach pomyśleć, jaki film powstanie jutro lub pojutrze, skoro wszystko można. Szczególnie w miejscach świętych, takich jak warszawska „Łączka”.

Moskwa po wielkim zwrocie

Zjeżdżający właśnie nad szwajcarskie Jezioro Czterech Kantonów politycy z najróżniejszych części świata mogli usłyszeć słowa Putina, iż żadnych rosyjskich aktów dobrej woli w stronę Zachodu i Kijowa już więcej nie będzie



JAN ROKITA

Od poprzedniej programowej mowy prezydenta Rosji na temat rosyjskiej polityki zagranicznej minęły trzy lata. Wedle jeszcze starej sowieckiej tradycji władca tego kraju wygłasza co jakiś czas taki programowy manifest w gmachu moskiewskiego MSZ, a publicznością są rosyjscy dyplomaci i wyżsi urzędnicy ministerstwa.

KONFERENCJA W BÜRGENSTOCK

W piątek, 14 czerwca br., zgromadzili się oni po raz pierwszy od listopada 2021 r., aby wysłuchać instrukcji i zadań, które stawia przed rosyjską dyplomacją Wła-

dimir Putin. Przeczytałem uważnie tekst tej długiej, dość skomplikowanej mowy i odniosłem wrażenie, że nazbyt pochopnie została ona zlekceważona przez zachodnie media.

W zasadzie jedyna informacja, którą otrzymał zachodni czytelnik gazet, dotyczyła tego, iż władca Rosji sformułował warunki zakończenia wojny niemożliwe do przyjęcia ani przez Ukrainę, ani przez demokratyczny Zachód. Kilkoro europejskich polityków powtórzyło tezę, iż Putin w gruncie rzeczy nadal domaga się kapitulacji Ukrainy, a to nie jest – przynajmniej na razie – ani realne, ani tym bardziej jakkolwiek uzasadnione. Tak mówili

w ostatnich dniach m.in. kanclerz Scholz i stara/nowa szefowa Komisji Europejskiej von der Leyen.

Termin mowy Putina został oczywiście skorelowany z międzynarodową konferencją w Bürgenstock, poświęconą sposobom zakończenia wojny rosyjsko-ukraińskiej. Zaczynała się ona w sobotę 15 czerwca, więc wygłoszona dzień wcześniej w Moskwie mowa Putina była w pewnym sensie zaplanowanym głosem tej strony toczącej się wojny, która nie otrzymała zaproszenia do urokliwego szwajcarskiego kurortu nad Jezioro Czterech Kantonów.

To, że w ogóle doszło tam do spotkania reprezentantów blisko 100 rzą-



od początku było jasne, że w Szwajcarii nie urodzi się nie tylko żaden wspólny plan pokojowy, lecz także nawet ogólnikowa deklaracja uczestników konferencji może się okazać niewykonalna. Tak się właśnie stało. Najprostsza, a zarazem najbardziej podstawowa rzecz dla Ukrainy, czyli integralność jej terytorium, okazała się przeszkodą niemożliwą do przejścia.

Nie zgodziły się pod nią podpisać akurat te państwa, które w mowie Putina wystąpiły w roli jasnych (z kremlowskiej perspektywy) punktów współczesnego świata. Czyli głównie członkowie rosnącej w siłę grupy BRICS, którym władca Rosji poświęcił sporo ciepłych słów: Brazylia, Indie, Południowa Afryka, Arabia Saudyjska czy Emiraty Arabskie. Grupy, której Moskwa przewodzi rotacyjnie w tym roku i w związku z tym w październiku organizuje jej szczyt w stolicy rosyjskiego Tatarstanu – Kazaniu.

SOJUSZ WYMIERZONY W ZACHÓD

Putin nakazuje teraz swoim dyplomatom, aby cały swój wysiłek nakierowali na rozszerzanie BRICS, tak aby grupa stała się kompletną reprezentacją tej części świata, która w mylącym języku współczesnej polityki została nazwana Globalnym Południem. Używając wielokrotnie tego terminu, władca Rosji nie kryje, że owo Południe ma być swego rodzaju sojuszem dawnego komunistycznego Wschodu z tym, co w tamtych latach nazywano Trzecim Światem. Czyli skonsolidowanym światowym sojuszem skierowanym przeciw amerykańskiej hegemonii politycznej. Nawiasem mówiąc, w tych polityczno-geograficznych kierunkach sojuszów łatwo się pogubić, bo ostrze Południa ma być wymierzone w Amerykę Północną (co niby jest logiczne), ale zarazem w cały Zachód (co już logiczne nie jest).

W każdym razie w planach Putina Moskwa ma odegrać kluczową rolę w poszerzaniu i politycznej integracji Południa, zaś październikowy szczyt w Kazaniu ma być popisem rosyjskich wpływów w świecie. Ponoć ok. 30 kolejnych państw jest gotowych przystąpić do grupy BRICS, a rosyjska dyploma-

cja ma zabiegać o to, aby jak najwięcej z nich móc przyjąć właśnie w Kazaniu, gdzie Putin będzie gospodarzem i organizatorem imprezy.

Warto zdawać sobie sprawę, iż BRICS już dziś obejmuje niemal połowę światowej populacji (na co składa się oczywiście w przeważającej mierze ludność Indii i Chin), a także niemal 40 proc. światowego PKB i jedną czwartą globalnego eksportu. A tym, co najbardziej uderza w mowie Putina, jest wielokrotnie powtarzana z naciskiem przestroga i żądanie wobec rosyjskiej dyplomacji, aby pełniła ona w całym Globalnym Południu rolę dostarczyciela dobrych usług. A więc zachowywała się uprzejmie i mediacyjnie, uwzględniała różnorodne interesy, przyciągała jak najwięcej państw i rządów oraz szukała jak najszerszego wspólnego politycznego mianownika dla krajów Południa.

Cel tego wszystkiego jest jasny: Putin instruuje swoich dyptomatów, iż ich strategicznym celem ma być ukształtowanie BRICS jako „najważniejszej instytucji regulacyjnej rodzącego się teraz nowego świata”.

Charakterystyczne jest to, że rosyjski przywódca odwołuje się w mowie do politycznego dziedzictwa sowieckiego, wspominając, iż to właśnie ZSRS (chyba najbardziej w czasach Breżniewa) ukie-runkował liczne państwa Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej, a zwłaszcza tamtejsze „ruchy narodowo-wyzwoleńcze”, jako polityczną awangardę walki z „imperializmem amerykańskim”. Putinowi chodzi o to, aby tamta epoka wróciła, ale w realistycznie skorygowanej wersji. Kreml nie ma dziś sowieckich ambicji, aby samodzielnie przeprowadzić walce całego Południa z Ameryką Północną i jej demokratycznymi sojusznikami. Chce tylko przebić się jako jeden z członków zbiorowego przywództwa „południowców”, zapewne świadom nieporównanie większych wpływów Chin, a być może nawet Indii. Stąd język Putina przesycony jest takimi słowami kluczami, jak: „wielostronny”, „konsensualny”, „wielobiegunowy”, „poszerzający”. Jeśli rozumie się tę polityczną intencję, można też pojąć, co znaczy jego stwierdzenie, iż na Globalnym Południu „wszystkie narody muszą poczuć się bezpiecznie”.

dów, było wynikiem długotrwałych i uporczywych zabiegów prezydenta Zelenskigo, dyskretnie wspieranych zwłaszcza przez dyplomację Unii Europejskiej. Szwajcarski rząd nigdy nie zdecydowałby się na zorganizowanie tego rodzaju imprezy, nie bez racji odczytywanej na Kremlu jako lekceważenie Moskwy, bez dyskretnego nacisku ze strony głównych europejskich stolic, przede wszystkim Paryża i Berlina.

Teoretycznie celem konferencji w Bürgenstock miało być wypracowanie jak najszerszego międzynarodowego poparcia dla planu pokojowego, dla którego punktem wyjścia miał być 10-punktowy projekt Zelenskigo. Ale

Mimo iż to zdanie brzmi paradoksalnie w świetle tego, jak Moskwa postępuje dziś wobec narodu ukraińskiego.

TWARDO Z UKRAINĄ

Rzecz jasna trwająca wojna absorbuje Putina, więc dotyczące jej różne objaśnienia zajmują sporą część jego wystąpień. Ale prawdę mówiąc, jest to drugi i o wiele mniej interesujący wątek kremłowskiego programu działania, komunikowanego teraz rosyjskiej dyplomacji. Powtarza się tu znana teoria, wedle której to kijowski Majdan, czyli „pucz zorganizowany przez Waszyngton”, był faktycznym początkiem wojny Zachodu z Rosją, podczas gdy Moskwa aż do wiosny 2022 r. wykonywała kolejne akty dobrej woli, bezskutecznie wzywając Amerykę do opamiętania. Ostatnim z nich było wycofanie wojsk rosyjskich spod Kijowa w marcu 2022 r., co miało być skutkiem militarnej porażki Moskali, ale wynegocjowanej w Mińsku i Sтамбуle umowy z Ukraińcami, którą Zelenski, głównie za poduszczeniem Anglików, bezczelnie złamał. Wiadomo, że w świetle znanych faktów ta samousprawiedliwiająca wojnę kremłowska teoria jest raczej mało wiarygodna, a jej powtarzanie może się wydać nużące.

Jednak ta poświęcona wojnie część mowy rosyjskiego przywódcy jest mimo wszystko ciekawa, gdyż zarówno siedzący na sali rosyjscy dyplomaci, jak i zjeżdżający się właśnie nad Jezioro Czterech Kantonów politycy z najróżniejszych części świata mogli usłyszeć, iż żadnych rosyjskich aktów dobrej woli w stronę Zachodu i Kijowa już więcej nie będzie. Putin kilkakrotnie powtarza, że nie ma powrotu do różnych jego ofert z przeszłości, w tym tych z negocjacji mińsko-stambulskich z 2022 r. A to oznacza w praktyce, iż nie ma już mowy o zachowaniu suwerenności Ukrainy nad jakąkolwiek częścią regionów Doniecka, Ługańska, Chersonia i Zaporoża, choć wiosną 2022 r. takiego żądania ze strony Kremla ponoć nie było.

Południe i wschód państwa ukraińskiego zostaną zatem definitywnie

zaanektowane, choćby to wymagało nie wiedzieć jakiego czasu i wojennego wysiłku. Zaś Zelenski, który według Putina co najmniej od 21 maja 2024 r. jest uzurpatorem przywłaszczającym sobie władzę wbrew ukraińskiej konstytucji, musi zostać obalony. Ten termin to moment końca pierwszej kadencji prezydenckiej Zelenskiego, na którą został wybrany, a której samowolne przedłużenie jest właśnie aktem uzurpacji.

Co prawda tego rodzaju zarzut brzmi groteskowo w ustach przywódcy słynącego z manipulacji konstytucyjnych pozwalających mu rządzić Rosją już piątą kadencję, ale przecież aktualna władza na Kremlu nie jest otwarcie kontesto-

Rosja podjęła już strategiczną decyzję o czymś, co można by określić mianem „wielkiego zwrotu na Południe”.

Czyli że odtąd Ameryka Północna jest dla niej trwałym wrogiem, zaś amerykańska hegemonia nad światem musi zostać złamana

wana przez żaden kraj świata. Putin jasno wykląda rosyjskim dyplomatom, że zgoda na pozostanie u władzy Zelenskiego w Kijowie nie wchodzi w grę, zaś wojna skończy się dopiero z usunięciem prezydenta Ukrainy. Mówca obszernie tłumaczy przy tym tekst ukraińskiej konstytucji, dochodząc do wniosku, że legalną władzą wykonawczą w Kijowie jest tylko przewodniczący Rady Najwyższej, gdyż jedynie ten organ może działać w stanie wojny bez odnawiania swojej kadencji.

NOWY PORZĄDEK ŚWIATA

W ten właśnie sposób władca Kremla informuje zarówno świat, jak i swoich dyptomatów, iż Rosja podjęła już stra-

tegiczną decyzję o czymś, co można by określić mianem „wielkiego zwrotu na Południe”. Czyli że odtąd Ameryka Północna jest dla niej trwałym wrogiem, zaś amerykańska hegemonia nad światem wcześniej czy później musi zostać złamana. Ba, Putin mówi, że wali się ona właśnie teraz, na naszych oczach, a co roztropniejsze kraje Europy będące dziś sojusznikami USA z czasem zmienią swoją orientację. I Globalne Południe nie będzie ich karać za przeszłe błędy, choć będą zapewne zmuszone przyjąć do wiadomości swą marginalną rolę w nowym światowym porządku.

Mowa Putina w moskiewskim MSZ chyba po raz pierwszy tak wyraziście określa nową globalną misję państwa rosyjskiego. Ma nią być pełne oddanie się wielkiej sprawie budowy zjednoczonego Globalnego Południa, które zepchnie Amerykę i jej demokratycznych sojuszników z pozycji hegemonu współczesnego świata. Pod hasłami wielostronności i wielobiegowości Moskwa chce wszelkimi siłami zabiegać o nowy podział polityczny świata na dwie zwalczające się strony. Jej kłopot zdaje się polegać tylko na tym, że musi jeszcze sprawić, aby owo ogromne i tak różnorodne Południe istotnie chciało się zjednoczyć we wspólnym froncie walki z Ameryką i jej sojusznikami. A to wcale nie będzie łatwe.

Dość zauważyć, że jeden ze świeżych członków BRICS – Arabia Saudyjska – właśnie ponoć po cichu negocjuje z Waszyngtonem traktat, wedle którego kraj miałby dostać pełne gwarancje bezpieczeństwa na równi z członkami NATO w zamian za zgodę na stałe bazy amerykańskie na swoim terytorium. Putin nie stawia zatem przed Rosją misji łatwej do wykonania. Ale w każdym razie nie jest dziełem przypadku, iż zaledwie kilka dni po mowie wygłoszonej w moskiewskim MSZ władca Rosji był fetowany w Korei Północnej jako jedyny prawdziwy wojownik, który miał odwagę rzucić na Ukrainie zbrojne wyzwanie potędze Ameryki Północnej i całemu światu zachodniemu zależnemu od tej potęgi.

Tęczowy terror

Wszyscy przechodzimy przyspieszony kurs nauki o tym, co oznacza bycie queer, niebinarnym, panseksualnym, bo mniejszości seksualne stały się totemem, przy którym gromadzą się „elity”, aby tropić i prześladować tych, którzy mają niechętny stosunek do żądań kolektywu LGBT+. Jak płynna okazuje się granica między zapowiadaną tolerancją, otwarciem na nowe trendy a terrorem ze strony rzekomych „ofiar” patriarchalnego świata, codziennie przekonują się Hiszpanie, a wkrótce też zapewne Polacy

Zdaje się, że wszyscy pochodzimy z epoki jakiegoś plejstocenu, w której Kmicic uganiał się za Oleńką, Travolta za Olivią Newton-John, a Kaczor Donald za kaczką Daisy. Kajko i Kokosz byli po prostu parą zbrojów, a nie parą gejów, z kolei pancernych z czołgu Rudy 102 nie łączyła żadna poliamoria z panseksualnymi sanitariuszkami. Jednym słowem – świat był normalny, nikt nie przedstawiał się podług swoich preferencji łóżkowych, nikt nie posądzał innych o „fobie” ani nie drżał na myśl, że towarzystwo może go wykpić za niedostateczny entuzjazm wobec związku dwóch chłopów. Nie wie-



MAŁGORZATA WOŁCZYK

dzieć kiedy wylądowaliśmy w epoce, w której wszystkie konfiguracje seksualne są nie tylko mile widziane, lecz także wręcz oklaskiwane.

Liberalno-lewicowy salon z miejsca poczuł się odpowiedzialny za „mniejszości seksualne” i ich promowanie, dlatego bacznie i karnie przygląda się tym, którzy nie dość szybko okażą swój euforyczny stosunek do

wszystkiego, co burzy tradycyjną obyczajowość i moralność. Oczywiście nigdy się nie przyznają do tego, że w dużej mierze motywuje ich strach przed etykietką „homofoba” i dlatego sami jeszcze bardziej napędzają to błędne koło rewolucji.

Fot. Shutterstock



MNIEJSZOŚĆ CHCE BYĆ WIĘKSZOŚCIĄ

W sobotę, 15 czerwca, mogliśmy oglądać śmieszno-straszne obrazki z parady równości w Warszawie. Poseł KO Marcin Józefaciuk, uczestnik tego zlotu, ogłosił nawet z ekspercką pewnością w głosie, że osoby LGBT+ mogą sięgać 20 proc. naszego społeczeństwa, choć pewniejsze jest 10 proc. To oczywiście manipulacja, bo wiadomo, że według badań to Hiszpania jest drugim krajem na świecie z najwyższym odsetkiem osób LGBT+ – 14 proc. i plasuje się tuż po Brazylii, w której 15 proc. obywateli deklaruje nieheteronormatywność.

Dlatego to właśnie w Madrycie ma miejsce największy festiwal kolektywu LGBT+, który co roku zamienia miasto w centrum ludzi pyszniących się swoimi seksualnymi skłonnościami i fetyszami. Dzień Dumy Gejowskiej niepostrzeżenie zmienił się w cały tydzień, a w tym roku obchody potrwać mają 10 dni, bo od 28 czerwca do 7 lipca. Cały Madryt znów pokryje się tęczyowymi flagami, nie wyłączając instytucji publicznych typu gmach ratusza czy budynek poczty głównej. Festiwal MADO 2024 obejmie ponad 50 wydarzeń, w których, jak zapowiadają organizatorzy, „celebrowana będzie miłość bez ograniczeń i skrywań”. Niżej podpisana tylko raz niechęć znalazła się w centrum Madrytu podczas festiwalu i nikomu nie życzy oglądania scen, których nie da się odzobaczyć. „Gwałcenie” zasłużonych postaci na pomnikach czy przetwarzanie się przebierańców epatujących swoimi drugorzędowymi cechami płciowymi należą w sumie do repertuaru typowych zachowań. Nic dziwnego, że mieszkańcy z odrobiną poczucia przyzwoitości starają się wtedy ewakuować z tej nowszej wersji Sodomy i Gomory.

Oczywiście program tej imprezy, wspieranej przez państwo oraz lokalne władze z Partii Ludowej, niewiele ma wspólnego z tolerancją. Ta bowiem zakładałaby jakiś margines szacunku wobec osób, które nie mają życzenia oglądania zalotów i stosunków seksualnych pod oknami domu lub na ulicach stolicy. Oczywiście kolektyw LGBT+ ma swoją ulubioną dzielnicę Chueca położoną w centrum, ale to nie znaczy, że nie wędruje po całym mieście.

KASA PUBLICZNA NA LUBRYKANTY

Wiadomo już też, że w br. „Madryt zakontraktował zakup łącznie 3,95 mln sztuk prezerwatyw dla mężczyzn, 15 tys. sztuk prezerwatyw dla kobiet i 700 tys. jednostek lubrykantów”. W sumie miasto wydało 220 480 euro na antykoncepcję, choć, mówiąc wprost, dzieci z tego i tak by nie było, a tylko choroby weneryczne. Zabawne, że przy obecnej fiksacji na temat zdrowego powietrza, jedzenia czy środowiska nikt nie podnosi kwestii, jak chorobo-

twórcze jest utrzymywanie mnogich relacji homoseksualnych. Owszem, w br. jednym z haseł jest: „Zawsze bądź ostrożny”, bo prawdziwą plagą stał się chemseks, czyli rozmaite praktyki intymne pod wpływem substancji psychotropowych i narkotyków. Nikt nie będzie jednak prawil kazań rozgrzanemu do czerwoności kolektywowi LGBT+, bo przecież zdaniem mainstreamu jedynym zagrożeniem dla ludzi jest tzw. skrajna prawica.

Jednak tym, co powinno nas zaalarmować w postulatach tegorocznej polskiej parady równości, jest nie tylko żądanie małżeństw homoseksualnych, lecz także karania „mowy nienawiści”, nad którą pracuje wiceszef resortu sprawiedliwości i partner Roberta Biedronia Krzysztof Śmiszek. W Hiszpanii ściganie tzw. mowy nienawiści już dawno wymknęło się spod kontroli i zamiast postulowanej równości rozpoczęło się już nie tylko natrętne promowanie homoseksualizmu i zboczeń, lecz także karne prześladowanie osób niepopierających agendy tęczyowych.

PRZEŚLADOWANIA ZA „MOWĘ NIENAWIŚCI”

Już osiem lat temu parlament wspólnoty autonomicznej Madrytu zatwierdził tzw. ustawę przeciw LGBT-fobii, która m.in.

nakładała na szkolnictwo publiczne i prywatne obowiązek „edukowania o różnorodności seksualnej”, co oznaczało w praktyce indoktrynację według tez lobby LGBT+. Przede wszystkim ustawa złamała mnóstwo artykułów konstytucji Hiszpanii, bo naruszyła wolność wypowiedzi, opinii i prawo domniemania niewinności. Każde posądzenie osoby lub instytucji o wykroczenie z paragrafu o LGBT-fobii nie wymaga przedstawienia żadnego dowodu od skarżącego, trzeba za to przedstawić dowód niewinności oskarżonego. Jest to więc wyzwanie z gatunku „udowodnij, że nie jesteś wielbłądem”, bo jak katolik może przedstawić dowód swojej niewinności, czyli brak fobii wobec przedstawiciela LGBT+?

Do tej pory funkcjonuje ten mechanizm oskarżycielski, typowy dla reżimu totalitarnego, choć sądy

zwykły też oddawać wnioski oskarżycielskie z powodu wielu absurdalnych roszczeń. Litera prawa zadziałała jednak jak straszak i kaganiec, tym bardziej że znane są liczne przypadki ciągania po sądach biskupów czy księży za wypowiedź krytyczną wobec małżeństw homoseksualnych. Poza tym ustawa przewiduje kary w wysokości do 45 tys. euro dla każdego, kto oferuje pomoc osobie chcącej porzucić homoseksualizm („karana będzie jakakolwiek interwencja medyczna, psychologiczna lub religijna mająca na celu modyfikację orientacji seksualnej danej osoby”). Oczywiście nie wolno nawet próbować wpływać na zmianę orientacji homoseksualnej, ale odwrotnie już nie. Namawiać heteryków na zmianę orientacji można, wykorzystując cały arsenał środków dostępnych w kulturze, mediach i edukacji.

Drastyczny system kar za „mowę nienawiści” obowiązuje w Hiszpanii od dwóch lat. Kary pieniężne w wysokości od 10 tys. do 150 tys. euro grożą m.in. za odmowę wpuszczenia mężczyzny do damskiej szatni, jeśli ten zmienił płeć na podstawie swego swobodnego poświadczenia

Finalnie okazało się, że już wcale nie chodzi o równość dla gejów, ale fakt, że oni są „równiejsi” od innych i mogą liczyć na przywileje. Zachęty, aby wyjść z tej jakoby banalnej społeczności heteryków i ośmielić się być kimś bardziej kolorowym, a więc którąś literką kolektywu, stały się nagminne. Zamordyzm poszedł jednak dalej, ponieważ środowiska LGBT+ mają imperialny apetyt, aby skolonizować wszystkie zakątki i umysły, a już zwłaszcza dusze dzieci.

WULGARNĄ SEKSUALIZACJĄ DZIECI

Przynajmniej raz do roku w Hiszpanii wybucha jakaś afera związana z wydaniem podręcznika o treściach wołających już nawet nie o reakcję trybunału, ale o pomstę do nieba. Miesiąc temu w wielu mediach pojawiły się informacje o książce pt. „Dzieciątko Jezus nie nienawidzi homosiów”, która ukazała się nakładem wydawnictwa Fandogamia. Książka była polecana dla dzieci od lat 6 i wydana w estetyce wczesnoszkolnej, przeznaczonej do kolorowania i rozwiązywania rebusów.

Mimo że Hiszpanie są już oswojeni z najbardziej wulgarnymi obrazkami, jakie kultura popularna podsyła ich dzieciom, ta książka wywołała jednak skandal. Obrazki do kolorowania przedstawiały różne sprośności, np. dwie zakonnice masturbujące się wzajemnie. Obrzydliwe jest też ćwiczenie nr 6. Polecenie nad rysunkiem brzmi (choć uprzedzam lojalnie, że dla higieny psychicznej lepiej pominąć je wzrokiem): „Płatanina kutasów! Ktoś uprawia stosunek analny z Bartusiem za obopólną zgodą. Ale – o nie! Kutasy spletały się ze sobą. Czy pomożesz Bartkowi dowiedzieć się, kto posiadzie go cielesnie od tyłu?”. Oburzenie treściami było tak wielkie, że Fundacja Prawników Chrześcijańskich (odpowiednik Ordo Iuris) złożyła skargę do sądu w Walencji przeciwko autorowi i wydawcy. Wydawnictwo broniło się, że to książka satyryczna dla dorosłych, a tylko przez nieuwagę została w księgarniach wysyłkowych wystawiona z adnotacją „dla dzieci od lat 6”. Tylko dzięki odpowiedniej reakcji księgarza i katolickich prawników społeczeństwo zostało ostrzeżone przed tymi demoralizującymi treściami. Jednak akcja seksualizacji dzieci trwa nieustannie i to różnymi metodami. A wszystko to pod hasłami walki z homofobią.

SYSTEM REPRESJI

Dwa lata temu jeszcze bardziej drastyczny system kar za „mowę nienawiści” już dla całej Hiszpanii wywalczyła ministra równości Irene Montero, odpowiednik Katarzyny Kotuli. Kary pieniężne w wysokości od 10 tys. do 150 tys. euro grożą za bliżej niesprecyzowane wykroczenia. Wśród nich znajduje się np. odmowa wpuszczenia mężczyzny do damskiej szatni, jeśli ten zmienił płeć na podstawie swego swobodnego poświadczenia. Poważnym naruszeniem z paragrafu o „transfobii” jest także głoszenie, że istnieją tylko dwie biologiczne płcie. Kary grzywny obejmują „wypowiadanie poniżających wyrażen” wobec osób LGBT+ lub „nieułatwianie pracy lub częściową odmowę współpracy z osobą transseksualną”, także „zniszczenie mienia należącego do osób LGBT+”. A wszystko to przy całkowitym unieważnieniu zasady domniemania niewinności. Znow to pozwany musi udowadniać swoją niewinność przed sądem, a oskarżyciel tylko zaciera ręce i czeka na wyrok. Dlatego należy pilnie obserwować, co wyjdzie spod kserokopiarki koalicji 13 grudnia, która powieli te modele.



A co do gejowskiego festiwalu, który czeka Madryt, cóż, cytujemy jedynie nagłówki artykułów z dziennika „ABC” (odpowiednik „Rzeczpospolitej”) z ostatnich lat: „Policja informuje, że podczas Dnia Dumy co 3 minuty wydarza się bójka lub kradzież”, „Po obchodach Dnia Dumy zebrano 400 ton śmieci”, „270 osób hospitalizowanych po obchodach Pride Gay”, „Kac po obchodach: śmieci, alkohol i moc”, „Przed obchodami Dnia Dumy inspekcja policyjna i sanitarna w saunach gejowskich z powodu małej ospy”.

Można zapytać, skąd w niegdyś katolickiej Hiszpanii tak potężna zmiana obyczajowa? Odpowiedź jest dość prosta. To liberalowie i lewica przejęli agendę mniejszości seksualnych. Jest też sprawa powszechnie znaną, że premier Pedro Sanchez z racji swego małżeństwa z córką Sabiniano Gómeza Serrano, czyli byłego właściciela i zarządcy kilku saun gejowskich i domów publicznych dla gejów w Madrycie, może mieć inne spojrzenie na kwestię promowania „kultury gejowskiej”.

Pozostaje nam mieć nadzieję, że jednak Polacy w przeciwieństwie do Hiszpanów nie tak łatwo odrzucają dziedzictwo wiary (i zdrowego rozsądku!) w starciu z machiną propagandową kolektywu LGBT+.

Tego, czego się boją jaśnie oświecone elity, normalni obywatele powinni wyczekiwać z wytęsknieniem. Ameryka może być ostatnią i największą redutą zdrowego rozsądku i konserwatywnych wartości

Kto się boi Donalda Trumpa



DARIUSZ MATUSZAK

Kupujcie pieluchy” – taką radę dał niemieckim politykom głównego nurtu działacz AfD Oliver Kirchner. Ostrzegając, że ze strachu przed jego partią narobią w majty. Czy Kirchnera powinni posłuchać także ci, którzy boją się zwycięstwa Donalda Trumpa?

Wydaje się ono zbliżać nieuchronnie i widać to z każdym przedziwnym zachowaniem Joe Bidena, z czymś, co media nazywają „zamrożeniem”, czyli stanem zastygnięcia, jakby nie wiedział, gdzie i kim jest, co się wokół dzieje. Tak jak ostatnio na spotkaniu ze sponsorami demokratów w Hollywood, gdy stał na scenie jak woskowa figura, a wszyscy z niej schodzili. Wyprowadził go dopiero Barack Obama,

co symbolicznie potwierdziło podejrzania Amerykanów, że tak naprawdę to on rządzi, a jego były wiceprezydent Biden jest tylko kukłą.

Po tym, jak świat obiegły plotki komentujące zachowanie Bidena w Normandii w czasie obchodów 80. rocznicy lądowania aliantów we Francji, przenosiła z pieluchami zyskała jeszcze jedną okrutną wymowę. Zostawmy lekki wątek, wspominając tylko na jego koniec, że wedle badań JL Partners ledwie 38 proc. wyborców wierzy, że Biden dotrwałby do końca drugiej kadencji. Widmo prezydentury Trumpa krąży więc nie tylko nad Ameryką, lecz także światem. Czy powinniśmy się bać?

My, czyli kto? Bać się powinni władcy i właściciele świata, projektujący ludom życie i kontrolujący je. Jego zwycięstwo oznacza zagrożenie dla ich władztwa. Zakwestionowanie dogmatów, np. sekty klimatycznej albo ideologii LGBT+, totalitarnej agendy prowadzącej do ograniczania naszych praw i wolności. Tego, czego się boją jaśnie oświecone elity,

normalni obywatele powinni wyczekiwać z wytęsknieniem. Ameryka może być ostatnią i największą redutą zdrowego rozsądku i konserwatywnych wartości.

Ludzie, którzy nie kierują się uprzedzeniami, nie przyjmują ślepo dogmatów „postępu”, mogą mieć jeden powód do obaw i stawiać pytanie: czy Ameryka Trumpa będzie wspierać Ukrainę? Kto twierdzi, że zna odpowiedź, ten zmyśla, coś tam sobie myśli, bo pewne jest tylko jedno: Trump to polityk nieobliczalny. Ci, którzy wierzą, że będzie stał po stronie Kijowa, a ja do nich należę, muszą się uodpornić na kłamstwa, które zaleją media i popłyną z ust lewicowych polityków. Im bliżej wyborów, tym więcej pojawi się insynuacji i oskarżeń o sprzyjanie Putinowi. To będzie powtórka z kampanii z 2016 r., kiedy FBI i były brytyjski agent Christopher Steele niby odkryli współpracę Trumpa z Kremlm, a zwycięstwo mieli mu zapewnić ruscy internetowi trolle z wioski w Macedonii. Wszystko to było kłamstwem, by obrzucić błotem i podłożyć podsłuchy w jego sztabie wyborczym.

RACJONALNE SZALENSTWA TRUMPA

W tej kampanii jednym z wątków jest rozmowa Trumpa z pewnym przywódcą europejskim – prawdopodobnie Angelą Merkel – w której mówił, że Ameryka nie będzie chronić kraju, który nie dotrzymuje zobowiązań sojuszniczych i nie przeznacza 2 proc. swego PKB na obronę. W lutym były prezydent na wiecu w Montanie opowiadał: „Jeden z prezydentów dużego kraju zapytał mnie: »No cóż... jeśli nie zapłacimy i zostaniemy zaatakowani przez Rosję, czy będzie pan nas chronił?« Odpowiedziałem: »Nie, nie będę was chronił. Właściwie zachęcałbym ich [Rosjan], żeby zrobili z wami, co chcą. Musicie płacić».

Podniósł się okropny wrzask. Mówił o tym prezydent Biden w orędziu o stanie państwa, a „The New York Times” pisał: „Jeśli Trump wygra, może pójść jeszcze dalej. Może porzucić zaangażowanie USA w NATO – sojusz, który istnieje, aby powstrzymać Rosję, i którego Putin nienawidzi. Niedawno zaprosił Rosję, aby »zrobiła, co do cholery chce« z krajami NATO, które nie wydają wystarczających pieniędzy na własną obronę”. Posypały się komentarze, że zdradzi Zachód i dogada się z Kremlm. Waszyngtońskie bagno wybiło, ruszyło z ofensywą. Rozpisano ją na wiele wątków, a wyobrażenie o tym, jak wygląda, może dać nam oglądanie, jak Donald Tusk z ekipą od resetu z Putinem oskarża PiS o prorosyjską postawę.

Nie szkodzi, że Obama z Merkel rozbrajali Ukrainę, na co ta godziła się za pieniądze i wierząc w zachodnie gwarancje. Nie szkodzi, że gdy została napadnięta w 2014 r., to Obama z Bidenem, który odpowiadał za relacje z Kijowem, posłali jedynie koce i apteczki. To nic, że sekretarz stanu Hillary Clinton ogłaszała reset i fotografowała się z Siergiejem Ławrowem, gdy wciskali wielki czerwony guzik, symbol nowych przyjaznych stosunków. To Trump jest prorosyjski i porzucił Ukrainę, choć w 2017 r. posłał jej broń, w tym Javeliny. On knuje z Putinem choć, oprócz Woodrowa Wilsona jest jedynym prezydentem, który dał zgodę na to, by zaatakować siły rosyjskie. W lutym 2018 r. w bitwie pod Dajr az-Zaur w Syrii Amerykanie prawie całkowicie zmiotli kolumny wojsk Assada i Grupy Wagnera, które ruszyły na chronione przez Kurdów pole

naftowe. Zginęło kilkaset putinowskich psów wojny i nawet Kreml nie mógł ukryć upokarzającej klęski, ale nie zdecydował się na żadne kroki odwetowe. To Trump znacząco zwiększył obecność amerykańskich żołnierzy w Polsce i na wschodniej flance NATO oraz ostrzegł Europę, że staje się energetycznym wasalem Rosji.

BIDEN – STARZEC ZACHODNIEGO ŚWIATA

Nieobliczalność Trumpa to jeden z jego atutów. Większość Amerykanów – 62 proc. – uważa, że gdyby był prezydentem, to Putin nie rozpętałby wojny. Kto więc się boi Trumpa? Nie tylko światowe elity, lecz także władca Rosji. Z tych samych badań Centrum Studiów Politycznych Harvard wynika, że 59 proc. Amerykanów sądzi też, że Putin ośmielił się wszcząć wojnę, bo prezydentem jest Biden. Można spekulować, czy katastrofalna ewakuacja Amerykanów z Afganistanu, wręcz bezładna ucieczka i zdjęcie przez Bidena sankcji z Nord Stream 2, które nałożył Trump (wróciły po wybuchu wojny), pobudziły Kreml do działania. Wiemy za to, że Putin, podobnie jak cały świat, widzi obrazy z bezradnym starcem, którego prowadzi za rękę żona, a to, jak na spotkaniu G7, Giorgia Meloni, a to jego były szef Obama.

Bez wątpienia mamy do czynienia z jednym z najnikczemniejszych oszustw politycznych ostatnich dekad. Gigantycznym kłamstwem, w którym uczestniczą też polskie media głównego nurtu, wmawiające, iż stary schorowany człowiek powinien przez kolejne pięć lat być przywódcą wolnego świata. Tu nie chodzi o rozgrywki polityczne: demokraci kontra republikanie, jasnie oświeceni kontra ciemna, rasistowska hołota, jak my. To sprawa światowego bezpieczeństwa. Więc jeśli mamy się bać, to nie jeźdźca bez głowy, jakim poniekąd jest Trump, ale odwiecznych, do szpiku kości zepsutych elit. Ludzi takich, jak Biden, Macron, Scholz, von der Leyen.

ARMATNIE MIĘSO Z MONTANY

Obawy związane z postawą Trumpa wobec Ukrainy mają racjonalne podstawy. Przy wszystkich słabościach administracja Bidena konsekwentnie przekonuje republikanów i pomaga Ukrainie. Tymczasem retoryka Trumpa jest nie-

jednoznaczna. Nie ma deklaracji, tylko rzucane przechwałki, że w 24 godziny doprowadziłby do pokoju. Jednak zanim się zaczniemy bać, musimy sobie przypomnieć, że te czasami groteskowe komunikaty nie są kierowane do nas, a do Amerykanów, bo to oni mogą go wprowadzić do Białego Domu.

Wróćmy do rozmowy z Merkel i wiecu w Montanie. Niby co miał przekazać wyborcom, którzy widzą narastający kryzys społeczny, upadek klasy średniej przy bogaceniu się korporacji, ruinę miast, rosnącą przestępczość i uważają, że rząd bardziej dba o porządek światowy niż o Amerykanów? Że będzie gwarantował Niemcom bezpieczeństwo? Miał mówić: „Nie szkodzi, że nasze granice są dziurawe i codziennie 10 tys. nielegalnych imigrantów wbija się do Ameryki. Nie szkodzi, że miasta zmieniają się w zombieland y półmartwych ludzi zniszczonych zalewającymi kraj narkotykami. Nie szkodzi, że mosty się sypią, a zadłużenie sięga 35 bln dol. Drodzy wieśniacy z Montany, zapłacicie jeszcze więcej podatków na obronę Niemiec i Francji, a w razie czego pošlemy waszych chłopaków do położonej 13 tys. km stąd Europy, by tam ginęli, walcząc z Roskimi”.

Perspektywa demokratów jest też odmienna od republikanów. To nie białe kolnierzyki – pieszczoszki z kancelarii Waszyngtonu, tabuny oszalałych lewackich studentów i wiecznych odbiorców zasiłków pójdą walczyć, tylko czerwone karki, czyli lud pracujący. Demokraci mają też spojrzenie wielkich korporacji. To one zarabiają na dostawach sprzętu, który jest slany na Ukrainę i rywalizują z Chinami, więc chcą pilnować światowego ładu. Te różnice potwierdzają badania opinii. Z przeprowadzonych przez YouGov wynika, że tylko 39 proc. republikanów popiera wysyłanie broni i pomocy na Ukrainę. Tymczasem wśród demokratów wsparcie sięga 74 proc. W takich warunkach Trump walczy o prezydenturę.

Ale są też dane, które napawają optymizmem. Aż 79 proc. republikanów całkowicie ufa Trumpowi, jeśli chodzi o ocenę wojny na Ukrainie. To poziom wyższy, niż ma w tej sprawie Pentagon – 60 proc., czy Departament Stanu – ledwie 27 proc. A więc jeśli prezydent Trump zdecyduje się pomagać Ukrainie, to republikanie go poprą i nie będzie paraliżu w Kongresie, jak to miało miejsce w tej kadencji. ➤

Lewicy droga donikąd

Lewica za długo grała na elektorat liberalny, ostry anti-PiS jako wyznacznik swojej postawy. Moim zdaniem gdyby teraz wyszła z koalicji i zaczęła bardziej akcentować kwestie socjalne zamiast popierania liberałów, straciłaby nawet resztki tego elektoratu, który ma

Z Remigiuszem Okraską,
redaktorem naczelnym kwartalnika
„Nowy Obywatel”, socjologiem i publicystą,
rozmawia Goran Andrijanić

Największym przegranym w wyborach do Parlamentu Europejskiego oprócz Trzeciej Drogi jest z pewnością Lewica. Zgadza się pan z tym?

Remigiusz Okraska: Niewątpliwie nie da się dyskutować z matematyką. Lewica została przeskoczona przez Konfederację, ledwo balansuje nad progiem wyborczym. Moim zdaniem ma pełną świadomość porażki, natomiast nie przyznaje się do tego publicznie – przynajmniej jej liderzy. Robią dobrą minę do złej gry, bo cóż im więcej pozostało? Widzę natomiast, że po tych wyborach sporo sympatyków Lewicy czuje rozczarowanie i przekonanie, że obecna polityka tej formacji jest drogą donikąd.

Czy tutaj chodzi o to, że Lewica jest częścią rządu, który w swojej istocie jest neoliberalny?

Kryzys Lewicy trwa już dłuższy czas. Myślę, że sytuacja tej formacji z wyborów na wybory była coraz gorsza. W parlamentarnych osiągnęła fatalny wynik, w samorządowych też.

Mimo to weszła do rządu po wielu latach.

Tak, ale z wynikiem naprawdę mizernym i jako przystawka w tym gabinecie. Sytuacja lewicy w Polsce była kiepska wcześniej, natomiast udział w neoliberalnym i chaotycznym rządzie, który *de facto* nie robi nic poza rozwalaniem zastanej sytuacji, na pewno jej nie pomaga. Lewica musi brać niepopularne decyzje na swoje konto, nawet jeśli to Donald Tusk jest decydującym w tych sprawach. Jednocześnie dla zwolenn-



ników obozu władzy ta Lewica nie ma żadnej sprawczości. Tacy ludzie myślą: po co mam głosować na Lewicę, kiedy to, co jest dla mnie ważne, zapewnia mi Tusk? Nawet liberalno-lewicowy wyborca nie widzi wielkiego sensu w popieraniu Lewicy, którą jest błędą kopią Platformy Obywatelskiej, jakąś przystawką bez znaczenia w parlamencie i rządzie.

Na poziomie taktyki lewica przestała już dawno odróżniać się od liberalów. Moim zdaniem przełomowym momentem było wchłonięcie partii Razem przez Nową Lewicę, dawny SLD, który z kolei niczym nie różnił się od Platformy. W głównym nurcie Lewicy dominuje przekaz antypisowski, a brakuje wątków socjalnych lub ledwo się je wspomina.

Jeśli popatrzymy na wyniki badań dotyczących kilku ostatnich wyborów, widać, że duża część elektoratu Lewicy odplynęła do PO.

Co Lewica może z tym zrobić?

Moim zdaniem nie się nie da z tym zrobić. Lewica za długo grała na elektorat liberalny, ostry anti-PiS jako wyznacznik swojej postawy. Moim zdaniem gdyby Lewica teraz wyszła z koalicji i zaczęła bardziej akcentować kwestie socjalne zamiast popierania liberalów, straciłaby nawet resztki tego elektoratu, który ma.

Czy to znaczy, że politycy tacy jak posłanka Paulina Matysiak, która w ostatnich czasach wyróżnia się swoimi wystąpieniami w kontrze do głównego nurtu Lewicy, nie będą mogli znaleźć swojego miejsca na scenie politycznej? Może pójść nawet w kierunku współpracy z PiS?

Będzie im bardzo trudno. Między tą sensowniejszą częścią Lewicy (którą ograniczyłbym głównie do partii Razem) a PiS jest ogromna przepaść, większa niż między Razem a PO. Nie tylko na poziomie głoszonych poglądów, lecz także pochodzenia społecznego elektoratu. Moim zdaniem te światy się nie stykają. Gdyby jakiś polityk czy polityczka Lewicy zdecydowali się na taki ruch, to straciliby całe swoje zaplecze wyborcze i byłiby przedmiotem ogromnej nagonki.

Różnice w kwestiach światopoglądowych są ważniejsze od rozwoju Polski i walki z biedą?

Tak, dla obecnego elektoratu Lewicy te kwestie są ważniejsze niż kwestie socjalne i rozwój Polski. Uważam, że wyborcy nie wybacziliby politykom Lewicy takiej decyzji. Ci, którzy zdecydowaliby się na taki krok, zostaliby w politycznej próżni.

Co powodowało, że elektorat Lewicy jest zabetonowany w tych światopoglądowych kwestiach?

Lewica w Polsce od dawna była bardzo mocno liberalna i taki elektorat sobie, że tak powiem, wyhodowała. Była proaborcyjna, antyklerykalna, a jednocześnie bardzo liberalna w sprawach socjalnych. Zdradzała świat pracy, ideały lewicowe. Drugi rząd Leszka Millera był jednym z najbardziej neoliberalnych rządów w Polsce. Doprowadził do tragedii 20-proc. bezrobocia i podejmował decyzje antysocjalne. Druga sprawa jest taka, że lewica była bardzo nowoczesna światopoglądowo. Tymczasem okazało się, że w Polsce

elektorat socjalny jest bardziej konserwatywny w tego typu kwestiach. Skorzystał z tego PiS i przejął od lewicy bardzo dużą część wyborców ludowych o poglądach socjalnych.

Jarosław Kaczyński powiedział niedawno, że PiS będzie trwał w koncepcji, która za granicą została określona jako „polski model rozwojowy”. Jego główne elementy, jak zaznaczył, to „wsparcie zagrożonych grup społecznych i wyraźny udział firm państwowych w modernizacji i rozwoju”. Brzmi jak postulaty lewicy?

To są też postulaty sporej części prawicy sprzed czasów zwrotu neokonserwatywnego. Jeśli weźmiemy niemiecką chadecję z lat 60. i 70., to właśnie jej polityka. Gaulliści we Francji też mieli politykę etatystyczną i socjalną. Prawica stała się neoliberalna po epoce Reagana i Thatcher. Uważam, że trwanie przy polityce socjalnej jest dla PiS jedynym ratunkiem, bo jeśli będzie się licytował na liberalizm gospodarczy z innymi partiami, to zostanie przelicytowany. W Polsce zwolennikami liberalizmu gospodarczego są głównie ludzie z wielkich miast oraz z klas średniej i wyższej. Nawet gdyby PiS zaniósł im postulaty liberalne na tacy, to i tak na niego nie zagłosują.

Wspomniał mi pan wcześniej, że nowy numer „Nowego Obywatela” poświęcony tematu CPK i transportu zbiorowego już ma rekordową sprzedaż. To naprawdę ważny temat.

Sprawa CPK pokazała, że mamy ambicje rozwojowe, które są ponad podziałami partyjnymi. Jako Polacy mamy poczucie, że coś nam się należy i nie możemy być ciągle drugim czy trzecim światem. Nie możemy ciągle słyszeć, że nas nie stać.

Nie wydaje się panu, że na zmianę tej mentalności miało również wpłynąć osiem lat rządu PiS?

Oczywiście, że tak. Wyrwanie ludzi z biedy i beznadziei zwiększyło ich aspiracje. Wprostowali kark.

Jednak zmiana mentalności nie pomogła PiS, aby utrzymało się przy władzy.

Na głosowanie przeciwko PiS składa się wiele czynników. Myślę, że gdyby położyło ono większy nacisk na kwestie rozwojowe, miałyby szansę wygrać wybory. Tak czy owak ta zmiana dokonała się i Polacy nie są takim stłamszonym narodem jak wcześniej. Mamy poczucie, że rozwiązania nowoczesne, rozwojowe już nam się należą, że to nie jest żadna łaska.

Co to znaczy dla rządu Donalda Tuska, który jak się okazuje jest antyrozwojowy? Istnieje nawet teza, że premier ma zadanie zablokować rozwój Polski.

Myślę, że Platforma Obywatelska jest przede wszystkim partią ludzi, którzy nigdy nie mieli ambicji rozwojowych. To partia drobnych cwaniaków, spryciarzy, którzy chcą rządzić, żeby załatwić jakieś swoje prymitywne interesiki, posady, szwindle. Hasło z poprzednich ich rządów o „cieplej wodzie w kranie” wyznacza ich horyzont. To perspektywa drobniomieszczanina, który chce mieć święty spokój w najbliższym otoczeniu, nie porywać się na żadne wielkie rzeczy. Bo się ich boi i nie potrafi sobie wyobrazić, po co one są.

Więc myślę, że to nie jest tak, iż Tusk dostał polecenie od Merkel czy z Brukseli, jak uważa prawica, żeby zablokować rozwój Polski. On po prostu nie myśli w kategoriach rozwoju kraju, to nie są rzeczy dla niego ważne. Już nie mówiąc o tym, że PO w ogóle nie potrafi realizować takich wyzwań, co pokazała w swojej poprzedniej kadencji.

Potrafi jednak zachować się kompletnie bezprawnie. W tym samym czasie opinia światowa, która krytykowała PiS z powodu „braku praworządności”, teraz milczy na temat bezprawia w mediach publicznych i resorcie sprawiedliwości.

Liberałom zawsze można było więcej, bo mieli więcej władzy, więcej wpływów, więcej mediów po swojej stronie i zawsze uchodziło im na sucho mnóstwo rzeczy, za które nie tylko PiS, lecz także ktokolwiek spoza liberalnego establishmentu byłby zajadłe krytykowany. To tendencja światowa, nie tylko polska. W wielu innych krajach jest tak, że gdy rządzią tzw. populiści, mają przeciwko sobie wszystkie media, Brukselę, światową „opinię publiczną”.

Jak na to odpowiedzieć?

Nie wiem. Po drugiej stronie jest gigantyczny, silny przeciwnik, to widać wszędzie, nie tylko w Polsce. Popatrzmy na to, jak jest traktowane zwycięstwo populistów np. na Słowacji. To znowu są te same historie, mobilizacje uliczne czy tzw. wolne media przeciwko demokratycznemu rządowi. Przeciwnik jest potężny i nie jest łatwo poruszać się w takich realiach. Po prostu trzeba mieć tego świadomość, nie ma się co obrażać. To jest niesprawiedliwe, ale w polityce nie chodzi tylko o sprawiedliwość, lecz także o skuteczność. Trzeba się liczyć z tym, że tak było i jest i pod tym kątem planować potencjalne działania.

Dzisiaj jest aktualna kwestia nielegalnej migracji. Media liberalne już głoszą, że każdy, kto zadaje pytania o nielegalną migrację, jest rasistą.

Myślę, że w tej narracji również widać pęknięcie. Narracja liberałów zmieniła się z tzw. humanitarnej na realistyczną. Za tym też podąża część mediów sprzyjających liberałom, więc to już nie jest takie czarno-białe. Do obozu liberalnego dociera, że społeczeństwa wielu krajów odrzucają nielimitowaną imigrację i trzeba się już z tym liczyć.

Ponadto zdają sobie sprawę z tego, że to jest niewykonalne. Nie da się otworzyć granic. Nawet gdybyśmy chcieli być niesamowicie humanitarni, wspaniali i mieć liberalne, dobre serce i nie zważać na nic innego. To są setki milionów ludzi, którzy siłą rzeczy chcieliby z krajów biednych

przybyć do bogatszych, szukać swojej szansy. Oni się po prostu nie pomieszczą. To nie jest kwestia humanitaryzmu, dobrego czy złego serca, tylko tego, że to się po prostu zawali. Najbogatszy kraj nie jest w stanie poradzić sobie z takim napływem ludzi. Wali się np. system ochrony zdrowia. Albo system mieszkalnictwa, bo nagle jest ogromny popyt, więc siłą rzeczy niesamowicie idą w górę ceny mieszkań, wynajmu czy kupna. Żaden kraj nie da sobie z tym rady.

Uświadomiła to sobie choćby Dania, rządzona przez socjaldemokratów – premier tego kraju zaczęła podejmować decyzje na rzecz powstrzymania migracji. Migracji jako takiej, nie tylko nielegalnej, ale ukrócenia jej skali w ogóle. Zrozumiała, że to się negatywnie odbija na duńskim społeczeństwie, przede wszystkim na najsłabszych warstwach – robotnikach, pracownikach, ludziach uboższych, bo to oni są zmuszeni do konkutowania z ludnością napływową o te deficytowe dobra, jakimi są dostęp do

ochrony zdrowia, mieszkań czy dobrych miejsc pracy. I nieważne, czy ta ludność napływowa będzie z takiego kręgu kulturowego, czy z innego. Po prostu sama skala migracji jest problemem dla lokalnych społeczności.

Nazywanie kogoś rasistą przestało działać. Wcześniej przez 20–30 lat każdy, kto nie zgadzał się z liberalnym establishmentem, był nazywany faszystą, albo, od mniej więcej 10 lat, populistą. Liberalnym elitom to nic nie dało. Te potępiane formacje z roku na rok, z wyborów na wybory, rosły w siłę. 20 lat temu ludzie wstydzieli się głosować na kogoś, kto jest nazywany faszystą. Teraz już się nie wstydzą i głosują, bo chcą najlepiej dla siebie. Ten straszak, szantaż moralny po prostu już nie działa.

Rozumiem, że w opozycji mówi się trochę inaczej niż wtedy, kiedy się rządzi. Natomiast skala tego, co robi Tusk i czemu nagle przytakuje jego elektorat, jest szokująca. Za mojego dorosłego życia czegoś takiego, takiej ogromnej zmiany niemal z dnia na dzień, po prostu nie widziałem

Mamy tutaj dziwną sytuację. Środowisko Donalda Tuska przez trzy lata prowadziło kampanię nienawiści wobec Straży Granicznej i polityki PiS. Teraz to samo środowisko zmienia narrację. Ta hipokryzja jest niebywała.

Dla mnie to też jest szokujące. Oczywiście rozumiem, że w opozycji zawsze mówi się trochę inaczej niż wtedy, kiedy się rządzi. Natomiast skala tego, co robi Tusk i czemu nagle przytakuje jego elektorat, jest szokująca. Za mojego dorosłego życia, które trwa już kilka dekad, czegoś takiego, takiej ogromnej zmiany niemal z dnia na dzień, po prostu nie widziałem. To nie była stopniowa ewolucja, to nie było rozłożone na przykład na pięć lat, w czasie których Tusk stopniowo zmieniał zdanie w tej sprawie. To dokonało się w ciągu kilku miesięcy, nastąpił zwrot o 180 stopni. Nie wiem, czy w światowej polityce ostatnich dekad mogliśmy obserwować coś takiego w takiej skali.



Wincenty Witos na polu w gospodarstwie Cihlałów, Źherce (zbiory Muzeum Okręgowego w Tarnowie – Oddziału Muzeum Wincentego Witosa w Wierchosławicach)



JEGO PARTIĄ BYŁA POLSKA

Dobro ojczyzny zawsze stawiał ponad własne ambicje i partyjny interes. W Roku Wincentego Witosa oddajemy hołd temu wybitnemu mężowi stanu i przywódcy ruchu ludowego

Wincenty Witos pracował akurat w polu, gdy nadjechał samochód z Warszawy. Auto przysłał naczelnik państwa Józef Piłsudski, proszący o natychmiastowe przybycie do stolicy. Oficer wiozący Witosa był mało mówny. W końcu jednak przyznał, że chodzi o utworzenie nowego rządu, „bo na froncie jest bardzo źle”.

Rzeczywiście, w drugiej połowie lipca 1920 r. nastąpił krytyczny moment wojny z bolszewikami. Dywizje Armii Czerwonej szybko posuwały się w kierunku Warszawy i Lwowa. „Ponad martwym ciałem białej Polski jaśnieje droga ku ogólnoświatowej połodzie” – pisał w rozkazie do swoich żołnierzy Michaił Tuchaczewski, dowódca kluczowego Frontu Zachodniego.

W tym niezmiernie trudnym czasie Witos zgodził się stanąć na czele Rządu Obrony Narodowej, jednoczącego stronnictwa niepodległościowe najróżniejszych opcji – od socjalistów po endecję. Wspominał później, że jego gabinet „za główne zadanie postawił sobie [...] skonsolidowanie wszystkich sił narodu dla przeprowadzenia obrony i zawarcia pokoju”. Cel został osiągnięty. Bolszewików udało się pobić, a świeżo odrodzona Polska zyskała prawie dwie dekady pokojowego rozwoju.

Witos znakomicie wyczuwał, kiedy interes kraju wymaga od niego wzięcia odpowiedzialności za państwo, kiedy zaś usta-



pienia. 14 maja 1926 r., w trzecim dniu zamachu stanu Piłsudskiego, podał swój rząd do dymisji. „Rada Ministrów [...] uznała, że przedłużanie walki w tych warunkach może doprowadzić do wojny pomiędzy poszczególnymi dzielnicami Rzeczypospolitej, że konieczne jest użycie całości wojska do obrony granic państwa, że wreszcie konieczne jest w interesie państwa usunięcie rozdziału dzielącego naród oraz wojsko na dwa wrogie obozy” – zanotował potem.

Za ten idealizm zapłacił wysoką cenę. W 1930 r. został aresztowany, a później skazany na 1,5 roku więzienia w głośnym procesie brzeskim i zmuszony do emigracji.

Potrafił odłożyć na bok osobiste urazy, gdy zagrożona była niepodległość Polski. Wiosną i latem 1939 r., w obliczu zagrożenia wojennego ze strony Niemiec, próbował studzić ówczesne konflikty wewnętrzne i mobilizować naród przeciwko zewnętrznemu zagrożeniu. Po klęsce wrześniowej odmówił współpracy Niemcom, a w 1945 r. Sowietaom – choć jedni i drudzy chcieli wykorzystać jego popularność do własnych celów.

Przez komunistów długo był wymazywany ze zbiorowej pamięci. Dziś przywracamy mu należne miejsce w polskiej historii.

dr Karol Nawrocki – prezes Instytutu Pamięci Narodowej



WINCENTY WITOS. PREMIER NA TRUDNE CZASY

*Z dr. Mateuszem Szpytmą, zastępcą prezesa Instytutu Pamięci Narodowej,
rozmawia Maciej Foks*

*W 2024 r. świętujemy 150. rocznicę urodzin Wincentego Witosa. Dzięki Instytutowi Pamięci Narodowej i Towarzystwu Przyjaciół Muzeum W. Witosa ukazało się pięć imponujących – nie tylko rozmiarem – tomów *Dzieł wybranych*. Publikację przygotowali do druku Eugeniusz Karczewski i Józef Ryszard Szaflik. Dzięki tej edycji możemy przeczytać wspomnienia oraz wybór przemówień i publicystyki Witosa.*

Mateusz Szpytma: Jest to reedycja, więc zawartość tych tomów jest znana od dłuższego czasu. Oczywiście zawsze warto do nich wracać. Za każdym razem, gdy otwiera się te książki, czytelnika zaskakuje wielki talent autora – człowieka przecież niewykształconego, gdyż Witos skończył tylko kilka klas szkoły powszechnej. A jednak napisał wspomnienia, po które sięgają nie tylko historycy, lecz także socjologowie, etnografowie. Są tam bowiem opisy wsi w czasie zaborów, jej mentalności, a także procesu formowania się świadomości narodowej chłopów, zwłaszcza w okresie odzyskiwania przez Polskę niepodległości, a następnie cieszenia się wolnością, która okazała się niezwykle trudna. Ten czas jest opisany najbarwniej i najbardziej szczegółowo. Są też nieliczne zapiski dotyczące okresu bezpośrednio po zakończeniu okupacji niemieckiej. Wincenty Witos żył w różnych epokach.

Wspomnił pan, że Witos miał talent i żył w ciekawych czasach. Czy to tylko talent? Może też upór, charyzma?

Talent nie wystarczy, by osiągać w życiu sukcesy. Potrzebna jest jeszcze pracowitość. Witos łączył jedno i drugie. Jego sytuacja była dość trudna, gdyż urodził się w ubogiej rodzinie mającej kilka mórg,

czyli parę hektarów ziemi. Żeby dojść do wielkich godności czy stanowisk, musiał wykazać się talentem, pracowitością i mieć szczęście, które z pewnością sprzyjało mu w pierwszym okresie życia. Witos najpierw pracował jako korespondent prasowy. Raczej nie był dziennikarzem, ale osobą, która zachwyciła się prasą ludową. Interesował się tym, co się dzieje na wsi, widział pewne problemy, które chciał rozwiązywać. Uznał, że dobrą drogą jest informowanie chłopów, społeczeństwa. Rzeczywiście, jego korespondencja była czytana, reagowano na nią. Później zaangażował się w życie polityczne. Przeszedł wszystkie szczeble kariery: był radnym gminnym, wójtem gminy, radnym powiatowym, posłem do sejmiku galicyjskiego, później posłem Rady Państwa w Wiedniu, następnie posłem do Sejmu Rzeczypospolitej, trzykrotnym premierem RP. Nie został tylko prezydentem.

Jak jeden z ojców niepodległości wyobrażał sobie granice i ustrój niepodległego państwa polskiego?

Wincenty Witos był demokratą, człowiekiem skłonny do współpracy z większością stronnictw, które funkcjonowały w czasach jego działalności politycznej. Niektórzy nawet krytykują to, że mógł być koalicjantem wszystkich. Nie wynikało to jednak z chęci zajmowania kolejnych stanowisk. Witos reprezentował poglądy centrowe – jak stronnictwo, na którego czele stanął w 1914 r. Umiał znaleźć nie porozumienia i z lewicą, i z prawicą. Chciał Polski scalonej z trzech zaborów. Podpisał się pod traktatem ryskim, którego negocjatorzy często są krytykowani także współcześnie – za to, że nie do końca wykorzystali możliwości, jakie się wówczas nadarzyły, by w granicach Rzeczypos-

politej znalazły się wszystkie skupiska polskie na wschodzie – Mińszczyzna czy środkowa Ukraina. Witos nie wyobrażał sobie Polski bez całej dawnej Galicji, z którą długo był związany. Angażował się także w działania w celu zintegrowania dawnej dzielnicy pruskiej, czyli Wielkopolski, której odmienność była widoczna. W II Rzeczypospolitej poznaniacy bardzo długo podkreślali swoją odmienność. Za czasów Wincentego Witosa została uchwalona konstytucja marcowa, którą pochwalał, chociaż w jego opinii nie był to ideał, ponieważ dokument stanowił wyraz pewnego kompromisu nie tylko z lewicą, lecz także z prawicą. Po kilku latach wzywał do jej zmiany przez wzmocnienie urzędu prezydenta. Witos był wielkim przeciwnikiem senatu, a jednak ta izba pojawiła się w ustawie zasadniczej. Dopuszczał wolną grę różnych sił wyborczych, był znakomitym parlamentarzystą, dobrze sprawdzał się w tej działalności, wchodził w różne alianse. Trudno było mu się pogodzić z tym, co się stało w 1926 r. Był to okres, z którym nie chciał mieć zbyt wiele wspólnego.

Cofnijmy się jeszcze do procesu odzyskiwania niepodległości. Nie wszyscy może wiedzą, że Witos użył określenia „czwarty rozbiór Polski” w tytule tekstu opublikowanego w lutym 1918 r. w tygodniku „Piast”. Którego traktatu dotyczył?

Chodziło o traktat brzeski z Ukrainą, której przyznano wielkie terytoria, włącznie z częścią Królestwa Kongresowego. To było nie do przyjęcia. Zszokowało nie tylko Wincentego Witosa i jego stronnictwo, lecz także polskie społeczeństwo. To moment, w którym zauważono dwulicowość austriacko-niemieckich opieku-

nów polskości, a na takich się kreowali od 1915, a zwłaszcza od 1916 r. Przypomnę, że na początku I wojny światowej Wincenty Witos wiązał przyszłość Polski z Austro-Węgrami, natomiast bardzo szybko się zorientował, że to się nie ziści. Był zresztą ścigany za domniemane szpiegostwo na rzecz Rosji, co było ewidentnym pomówieniem. Ostatecznie to Witos, który tyle lat zasiadał w Sejmie Krajowym i był członkiem Rady Państwa, przyczynił się do zniesienia zaboru, stając na czele Polskiej Komisji Likwidacyjnej. To może zbyt enigmatyczna nazwa, łatwiej by było mówić o polskim rządzie dzielnicowym, który dążył do zjednoczenia z innymi zabranymi regionami, miał chronić dobra państwowe, np. parowozy, wagony kolejowe, aby nie zostały utracone czy przetransportowane do innych krajów, winien zadbać o to, żeby nie ucierpiały gmachy użyteczności publicznej, by ocalały urzędy. Witos bardzo dobrze sobie z tym poradził, dlatego później został zauważony przez inne środowiska polityczne – nie tylko jako przywódca jednego z największych ruchów politycznych w Galicji, ruchu ludowego, lecz także jako sprawny polityk łączący różne środowiska, osoba, która może obejmować ważne stanowiska publiczne, w tym tekę premiera.

Witos był premierem Rządu Obrony Narodowej powołanego w lipcu 1920 r. W piątym tomie Dziel wybranych można przeczytać jego przemowę sejmową z 24 lipca. Dlaczego akurat on został wybrany na stanowisko premiera w okresie ataku bolszewickiego?

Z kilku powodów. Był liderem środowiska centrowego, które pozostawało otwarte na współpracę z lewą i prawą stroną sceny politycznej, a intencją Piłsudskiego, zresztą bardzo słuszną, było zjednoczenie państwa w tym dramatycznym czasie, kiedy mogło upaść. Niewiele bowiem brakowało, żeby w 1920 r. Polska stała się kolejną republiką bolszewicką, a jej tereny zachodnie przypadły Niemcom. Trzeba więc zauważyć zdolność akceptacji ze strony całej sceny politycznej, gdyż w pierwszym okresie bolszewickiej nawały był to rząd wszystkich sił politycznych. Drugi powód to niekwestionowany autorytet Witos w środowisku chłopskim. Państwo bolszewickie przedstawiało się jako

kraj robotników i chłopów. Miało przejąć majątek wielkich właścicieli, fabrykantów, magnatów oraz ziemian i rozdać to wszystko włościanom. Dzisiaj wiemy, że na wschodzie był kraj kolchozów i sowchozów, reżim mordujący miliony ludzi. Mówimy jednak o 1920 r. To było niecałe trzy lata od przejścia władzy przez bolszewików i społeczeństwo, także polskie, nie zdawało sobie sprawy z ich prawdziwych intencji, mogło więc ulec propagandzie rządu rzekomo robotniczo-chłopskiego, zwłaszcza że prowadzono bardzo sprawną agitację w tym zakresie. Aby pozyskać rzesze ludowe, do przygotowania plakatów bolszewicy zaangażowali wybitnych artystów. Wincenty Wi-

nnym generałom, choćby Tadeuszowi Rozwadowskiemu. To wszystko trzeba wziąć pod uwagę. Ani Piłsudski ze swoim wojskiem, ani Wincenty Witos ze swoim chłopstwem oddzielnie nic by nie zdziałali. Wspólnie udało się uratować Polskę. To był cud jedności, który poprzedził zwycięstwo nad bolszewikami.

Zamach majowy jest opisany w drugim tomie wspomnień. W 1930 r. w życiu Witosy znów pojawia się nazwa „Brześć”.

Był to szczególnie tragiczny okres w II RP. Nawet zwolennicy Józefa Piłsudskiego, sanacji, przyznają, że nie powinno się tak czynić, gdyż był to właściwie kolejny etap zamachu na demokrację. Aresztowano



tos wiedział, co to jest bolszewia, jakie są jej rzeczywiste cele. Jednocześnie miał autorytet wśród mieszkańców wsi i mógł wszystko powiedzieć, a chłopci to przyjmowali. Gdy jeden z nich stanął na czele rządu, zobaczyli, że prawdziwym, autentycznym rządem robotniczo-chłopskim jest rząd polski. Przypomnę, że wicepremierem był wówczas Ignacy Daszyński, czyli lider środowiska robotniczego, socjalistycznego. W momencie, w którym państwu było potrzebne pospolite ruszenie całego narodu, dokonał się cud jedności, m.in. za sprawą Wincentego Witosy. Dzięki temu wygraliśmy wojnę polsko-bolszewicką. Oczywiście ważne było przy tym świetne wojsko i trzeba oddać honor Józefowi Piłsudskiemu oraz

nie tylko Witosy, lecz także wielu przywódców ruchu ludowego, socjalistycznego, demokratycznego, chadeckiego. Witos został później zwolniony. Nie doświadczył też nigdy Berezy. Był w Brześciu, który pojawił się w jego życiu jeszcze po raz trzeci – w 1945 r., gdy został tam uprowadzony przez NKWD z zamiarem wywiezienia go następnie do Moskwy. Wróćmy jednak do okresu międzywojennego. Odbył się wielki proces, który był – można powiedzieć – areną wyrażania swoich przekonań, racji. Choć Wincenty Witos zaprezentował się bardzo dobrze, został skazany.

W 1933 r. Witos udał się na emigrację do Czechosłowacji. Jego głos na



wychodźstwie był ważny nie tylko dla członków i działaczy Stronnictwa Ludowego. W jaki sposób utrzymywał kontakty z krajem?

Trzeba dodać, że jeszcze w trakcie wspomnianego procesu nastąpiła konsolidacja ruchu ludowego, który zawsze był rozdrobniony, składał się z wielu partii politycznych. Dopiero wspólny wróg wewnętrzny, jakim były władze sanacyjne, przyczynił się do zjednoczenia i w 1931 r. powstało Stronnictwo Ludowe. Napoczątku jednym z jego trzech liderów był Wincenty Witos, który później bez wątpienia stał się najważniejszą osobą w partii. Właśnie za pośrednictwem SL w okresie emigracji wpływał na różne kwestie w całej Polsce. Niezmiennie pozostawał wtedy szefem Stronnictwa. Oczywiście nie mógł prowadzić bieżącej działalności, zastępował go Maciej Rataj, jednak wnikliwie śledził to, co się działo w kraju – nie tylko dzięki lekturze gazet, lecz przede wszystkim za pomocą kurierów. Wiele osób myśli, że emigracja polityczna w czasach II RP mogła być podobna do tej z okresu Polski komunistycznej. Było jednak zupełnie inaczej. Polska w latach 30. nie była państwem totalitarnym, lecz autorytarnym, które umożliwiało kontakt z Wincentym Witossem na emigracji. Wiele osób wyjeżdżało do Czechosłowacji, aby z nim porozmawiać. On sam był inwigilowany. Wysyłano do niego również prowokatorów, ale, po pierwsze, nikt go nie zamordował, co w Polsce komunistycznej z pewnością by nastąpiło, po drugie zaś, umożliwiano mu nawet przekazywanie dyspozycji do kraju. Podczas pobytu w Czechosłowacji Wincenty Witos zradyzalizował swoje poglądy. Zrozumiał, że władza sanacyjna się nie podda, jest po prostu bezlitosna. Trzeba było pomyśleć o innych rozwiązaniach. M.in. wraz z Władysławem Sikorskim zorganizował grupę opozycyjną, zwaną Frontem Morges. Wszystkie plany się zmieniły, gdy nastąpił niemiecki zabór Austrii, a później Czechosłowacji.

Wcześniej była polsko-niemiecka deklaracja o niestosowaniu przemocy. Witos pisał tak: „Kto zna ducha Niemiec współczesnych, ten wie, że będą one uważały owe 10 lat nieagresji jako zwłokę, a równocześnie będą kontynuować podkopywanie traktatu wer-

salskiego. Polskę może to kosztować bardzo drogo”. Chyba nie tylko w tej sprawie przewidywał trafnie?

Tak, chociaż trudno wysuwać jakieś wielkie zarzuty pod adresem ówczesnych polskich władz sanacyjnych. Nie było łatwo znaleźć sensowne rozwiązanie, a państwo polskie też potrzebowało jakiegoś oddechu. Niestety, izolacjonizm Stanów Zjednoczonych, niezdecydowanie Francji czy Wielkiej Brytanii doprowadziły do sytuacji, jaka nastąpiła w 1939 i 1940 r. Witos nie miał zaufania do niemieckich władz i była to dobra intuicja. Obawiał się tragedii państwa polskiego. Dlatego nie zdecydował się na kontynuację polityki wielkich strajków. Gdy zobaczył zagrożenie egzystencjalne dla Polski, stwierdził, że choć był więziony, represjonowany, poniżany jako człowiek, szef partii politycznej, mimo wszystko z pewnych rzeczy trzeba się wycofać. Proszę sobie wyobrazić, że gdy wrócił, otrzymał informację, że Niemcy szukają w Czechosłowacji kontaktu z nim jako potencjalnym liderem jakiejś frondy, a później zdrady narodowej. Wrócił do Polski i w 1939 r. zwrócił się z dramatycznym apelem do chłopów. To musiało bardzo dużo go kosztować jako człowieka i polityka. Padają tu słowa: musicie służyć takiemu rządowi, jaki on jest. Ważniejsza dla niego była kwestia istnienia państwa polskiego, niż to, czy będzie ono demokratyczne, czy nie. Nie chce przez to powiedzieć, że Witos porzucił demokratyczne ideały. Nigdy tego nie zrobił, uważał natomiast, że w pewnych momentach należy się wycofać z radykalnych działań.

W lutym 1919 r. Wincenty Witos tak mówił w Sejmie: „Polska będzie wtedy potężna, gdy się oprze na masach ludowych”. W 1945 r. rodziła się inna Rzeczpospolita ludowa, nie w jego rozumieniu. Jak Witos oceniał rzeczywistość po II wojnie światowej, w ostatnim okresie życia?

Myślę, że nie miał złudzeń, doświadczył też rzekomej dobroczynności władzy ludowej, gdy został porwany. Przypomnę może mało znany fakt, że Wincenty Witos był aresztowany i więziony nie tylko przez Niemców, lecz także później przez Sowieców. W marcu 1945 r. w jego domu pojawiło się NKWD i UB.

Porwano go, aby prawdopodobnie zawieźć do Moskwy. W związku z pogorszeniem zdrowia byłego premiera w okolicach Brześcia zawrócono i przewieziono go do Warszawy. Próbowano go umawiać z Bierutem. Naciskano, żeby swoim autorytetem legalizował władzę komunistyczną. Nigdy się na to nie zgodził. Oczywiście jest kwestia późniejsza – umów politycznych Stanisława Mikołajczyka z komunistami pod auspicjami wielkiej koalicji antyniemieckiej. Mikołajczyk miał wówczas zostać wicepremierem Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, a Witos pierwszym wiceprzewodniczącym Krajowej Rady Narodowej. Witos nigdy stanowczo przeciwko tej nominacji nie zaprotestował, aby nie pogarszać sytuacji politycznej Polskiego Stronnictwa Ludowego. Jednocześnie nie chciał przyjąć tej funkcji. Władze komunistyczne założyły, że się zgodził, choć emisariusze przybywający po podpis pod dokumentem byli za każdym razem odprawiani.

Witos zdążył jeszcze sformułować odezwę do polskich chłopów.

W odróżnieniu od tych, którzy walczyli o wolną Rzeczpospolitą, żołnierzy wyklętych, Witos dostrzegał, że komunizm w Polsce nie da się w tym momencie przezwyciężyć – nie pozwalała na to ówczesna sytuacja międzynarodowa. Działania Polskiego Stronnictwa Ludowego były próbą ratowania wcześniejszego stanu. Wydawało się, że dzięki koalicji z komunistami ludowcy dostaną jakąś część władzy, a to sprawi, że Polska nie zostanie zsowietyzowana, nie stanie się kolejną republiką, że będzie to jeden z argumentów dla państw, także zachodnich, by przyznać Polsce Ziemię Zachodnie łącznie ze Szczecinem, że się uda uratować Lwów, co akurat było niemożliwą do zrealizowania mrzonką Mikołajczyka. Z dzisiejszej perspektywy wiadomo, że ani to, co chcieli osiągnąć żołnierze wyklęci, ani to, do czego dążył Mikołajczyk, nie było możliwe. 

*Calej rozmowy
można posłuchać
w podcaście
Ekspres
Czytelniczy IPN*



K

ULTURY

Kevin Costner postanowił nakręcić filmowy fresk o Dzikim Zachodzie. Spełnił swoje wielkie marzenie, choć – wiele na to wskazuje – słono za nie zapłaci. Dlatego, goniąc miraż „Horyzontu”, może powalczy też o powrót do „Yellowstone”

Aż po horyzont

Fot. Featureflash Photo Agency / Shutterstock.com



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Kevina Costnera od lat ciągnie na Dzikie Zachód. Jest wyraźnie zafascynowany westernowymi scenariuszami. Widzi się w takich historiach, choć jego wysiłki nie zawsze znajdują pożądaną odbiór. Jednak nawet kiepskie wyniki finansowe czy mierne oceny krytyki nie powstrzymują gwiazdora. Bez względu na koszty i zagrożenia, prze w swojej wizji i marzeniach – niczym dawni osadnicy – do wyśnionego widnokręgu.

AMERYKAŃSKA SAGA

Tytułowy „Horyzont” to iluzja i zarazem wizja. Miejsce idylliczne, którego nazwa króluje na drukowanych w filmie ulotkach, dając nadzieję kolejnym śniącym o lepszym życiu i własnej ziemi białym osadnikom, a także przenośne potraktowanie celu dostrzeganego przez zdeterminowanych ludzi, którzy budowali podwaliny dzisiejszej Ameryki. To także wielkie marzenie hollywoodzkiego aktora, by ten pierwszy, często brutalny, krwawy i bezpardonowo realizowany amerykański sen

uwiecznić na filmowej taśmie. I by się wpisać w tę narrację na ekranie.

69-letni dziś Kevin Costner wyłożył sporo własnych pieniędzy (zamiast planowanych 24 ponoć już 38 mln dol., a niektóre źródła podają, że nawet 58 mln dol.) i zastawił posiadłość nad oceanem (wartą 50 mln dol.), by móc wyprodukować, wyreżyserować i zagrać w rozpisany na wiele godzin filmowym projekcie, który na tegorocznym festiwalu w Cannes przedstawił jako „Horizon: An American Saga”.

Pierwsza z czterech zaplanowanych części zatytułowana „Horyzont: Rozdział 1” 28 czerwca pojawi się w kinach na całym świecie. Kontynuacja, czyli „Horyzont: Rozdział 2” będzie mieć premierę 16 sierpnia. Nie wiadomo, kiedy uda się wprowadzić na ekrany resztę. Już na tym etapie analitycy nie dają szansy na wielkie zyski ani tym nakręconym, ani tym bardziej kolejnym, realizowanym właśnie rozdziałom filmowej opowieści. A budżet właśnie przekroczył 100 mln dol.

WPISANY W HISTORIĘ

Może jednak w pasji, marzeniu, determinacji i wizji Costnera jest nie tylko szaleństwo, lecz także metoda? Może widz, zmęczony technologicznym wyścigiem wpisanym w powtarzalność scenariuszowych hollywoodzkich schematów i ideologicznych narracji,

podąży za ekranowym „Horyzontem”. Da się zatrzymać w kinowym fotelu na trzy godziny, by w długich, nie zawsze uzasadnionych ujęciach, w mnogości wątków i postaci, w „ogrywaniu” na wszelkie sposoby kosztownej scenografii i wpisanego w nią dramatyzmu scen (które w innej produkcji dawno poszłyby pod nóż montażysty) dostrzec to „coś”. Może będzie to odbiór zbliżony do codziennego, współuczestniczącego, gdy uwaga zatrzymuje się na różnych elementach sytuacji oraz jej oprawy bez jakiegos planu czy odgórnej koncepcji.

W „Horyzencie: Rozdział 1” też tak bywa. Zarówno w najbardziej spektakularnej – rozwijanej powoli i pokazywanej z różnych planów, na koniec z drastycznymi detalami – masakry osadników zaatakowanych przez Indian, jak i w sposobie prezentacji oraz prowadzeniu głównego bohatera. Ten ostatni, przy ekspozycji tylu innych postaci, wydaje się (przynajmniej w pierwszej części) wprowadzony trochę na siłę, po to, by Kevin Costner mógł zaistnieć nie tylko jako reżyser, współtwórca scenariusza i producent, lecz także aktor.

Z tym że o ile pewna stateczność, wpisana w metrykę, mogła być atutem we wciąż realizowanym serialu „Yellowstone”, o tyle w dynamicznym z założenia kinowym „Horyzencie” mimo starań pionu charakteryzacji i kostiumów, a także samego aktora, podkreśla ona już bardzo bliską perspektywę 70. urodzin gwiazdora.

RANCZO W YELLOWSTONE

Na szczęście jest jeszcze jedna siła, na którą może liczyć Kevin Costner – widzowie. Ci wierni od lat i ci, którzy dołączyli do grona jego fanów za sprawą „Yellowstone” – produkcji docenianej, nagradzanej, a także głośnej, również z powodu odejścia z niej aktora.

Kręcona od 2018 r. historia rodu Duttonów, przewodzonego przez Johna Duttona (w tej roli Costner), właściciela ogromnego rancza w Montanie, przywróciła Kevina Costnera do pierwszej aktorskiej ligi. Kolejne sezony miały imponującą oglądalność, aktorowi przyniosły spore dochody oraz statuetkę Złotego Globu 2023. Mimo tak dobrej, wydawałoby się, sytuacji, doszło do spięcia, a w konsekwencji odejścia Costnera z ekipy (w połowie zdjęć do finałowego sezonu). Oficjalne powody to brak porozumienia w sprawie koncepcji i wpływu na rolę, nieoficjalne – nieudane negocjacje z producentami dotyczące podniesienia gaży i większej elastyczności w harmonogramie zdjęć. Pamiętajmy, że w ostatnich latach gwiazdor równolegle był mocno zaangażowany w realizowanie własnego projektu – życiowego i artystycznego *opus magnum*, czyli „Horyzontu”.

Spora część zdjęć finałowego, piątego sezonu „Yellowstone” odbywa się bez głowy rodu Duttonów. Może się to jednak zmienić. Jak czytamy w ostatnich doniesieniach, Kevin Costner złagodził ton wypowiedzi i wydaje się skłonny negocjować powrót. W końcu „Yellowstone” to tytuł wciąż przynoszący wielorakie zyski, tymczasem finansowy sukces – *nomen omen* – „Horyzontu” wydaje się być coraz bardziej odległy, a może nawet nieosiągalny.

Tymczasem „Yellowstone”, dostępny do tej pory na płatnych platformach, od 1 lipca ma być pokazywany w stacji TVN. Jedyne, co niepokoi, to czas emisji, „zarezerwowany” dla Teatru Telewizji, czyli poniedziałki o godz. 20.50.

TAŃCZĄCY Z FILMAMI

Na ekranowy Dzikie Zachód Kevin Costner trafił już w 1985 r. za sprawą „Silverado” Lawrence’a Kasdana. Dwa

lata później Brian De Palma obsadził go w tytułowych „Nietykalnych” i zabrał do Chicago 1931 r. Przełomem w karierze stał się „Tańczący z wilkami” (1990).

To za sprawą tego filmu urodzony w Kalifornii 35-latek, uwierzył, że najlepiej w kinie służy mu plan westernu. Za swój producencki i reżyserski debiut odebrał w 1991 r. dwa Oscary, pozostając „jedyń” z nominacją dla najlepszego głównego aktora. „Tańczący z wilkami” uwiódł nie tylko widzów, lecz także amerykańską akademię filmową, która do wspomnianych dodała jeszcze statuetki za scenariusz, muzykę, zdjęcia, dźwięk i montaż (w sumie film był nominowany w 12 kategoriach).



To ponoć przy okazji przeniesionej na ekran historii por. Johna Dunbara (który w czasach wojny secesyjnej trafił do plemienia Siuksów) narodziło się realizowane przez Costnera właśnie teraz marzenie o nakręceniu wielkiej westernowej sagi. Film sprzed 24 lat otworzył też najbardziej owocną dekadę w karierze aktora. To wtedy powstały takie obrazy, jak „Robin Hood. Książę złodziei” Reynoldsa, „JFK” Olivera Stone’a, „Bodyguard” Micka Jacksona czy „Dokonały świat” Clint Eastwooda. Co prawda kolejny western, „Wyatt Earp” (1994) Kasdana, okazał się finansową klapą (nie zwróciły się nawet budżetowe nakłady), ale Costner i tak wygrał. Obsypany Złotymi Malinami (statuetki dla najgorszych filmów) „Wodny świat” (1995) Reynoldsa zarobił krocie, a wia-

domo, że w Hollywood jesteś warty tyle, ile zysków przyniósł twój ostatni tytuł.

W latach 90. powstały także wciąż przypominane w telewizjach „Gra o miłość” czy „List w butelce”, w których Costner potwierdzał pozycję kasowego hollywoodzkiego amanta.

PIENIADZE NIE MOGA MNIE KONTROLOWAĆ

Wracając jednak do sagi „Horyzont”. Na światową prezentację, która odbyła się podczas tegorocznego festiwalu w Cannes, Kevin Costner, ojciec siedmiorga dzieci, zabrał ze sobą pięcioro z nich – 40-letnią Annę i młodszą o trzy

lata Lily (z małżeństwa z Cindy Silvą) oraz 17-letniego Caydena, 15-letniego Hayesę (który zagrał w „Horyzoncie”) i 13-letnią Grace, których matką jest Christine Baumgartner (w ostatnim czasie sporo pisano też o nieoczekiwanym rozpadzie małżeństwa, uważanego za bardzo dobrane).

W wywiadzie dla „The Hollywood Report” Costner, pytany o nakłady, jakie jest gotów ponieść dla sagi „Horyzont”, powiedział: „Nie chcę, aby te wszystkie rzeczy, które posiadam, czy to pieniądze, czy nieruchomości, były same w sobie dla mnie tak ważne, że nie mógłbym myśleć o tym, co chcę zrobić w życiu [...] Zatrzymam tyle rzeczy, tyle pieniędzy, żeby mojej rodzinie żyło się dobrze. Uznałem jednak, że pieniądze nie mogą mnie kontrolować”.

Zemsta „salonu”

Instytut Literatury zaledwie kwestionował monopol jednego środowiska na promowanie polskich pisarzy i literatury. Został więc przez nową władzę zlikwidowany. Bo to ona chce prowadzić jedynie słuszną „politykę literacką”. Wrócić do tego, co było



MACIEJ WALASZCZYK

Przez osiem lat rządów prawicy polityczny spór ogniskował się wokół reformy sądów, konfliktu z unijnymi instytucjami, ekonomii czy bezpieczeństwa. W ich cieniu toczyła się zażarta wojna o status mediów publicznych, wpływ na produkcję filmową i kontrolę instytucji kultury. Co się stało po 13 grudnia, gdy liberalno-lewicowa większość przejęła rządy? W pierwszej kolejności dokonała ich spektakularnego „odzyskania”, a to, co nie pasowało do jej „otwartych” i „inkluzywnych” koncepcji, zostało zlikwidowane lub wyłączone, by nikt nie miał do tego dostępu.

Te los spotkał m.in. działający w Krakowie Instytut Literatury, który z początku czerwca po prostu przestał istnieć. Dlaczego? Bo był, oprócz kilku innych instytucji, jednym z elementów kwestionujących monopol jednego, adorującego i wspierającego się wzajemnie środowiska literackiego. Można bowiem śmiało powiedzieć, że po 1989 r. polska literatura i polski świat wydawniczy bardzo konsekwentnie hołdowały jedynej obowiązującej hierarchii nazwisk twórców i pozycji literackich, która została utworzona w PRL. Istnienie Instytutu tymczasem negowało zasadę wykluczenia, a więc próbę stworzenia wrażenia, że nie ma innej literatury godnej tego miana. Rzucalo też pewne wyzwanie dla dominującej pozycji wielkich wydawnictw. Wściekłość wzbudzał np.



fakt, że nieznani, często młodzi twórcy w ogóle podejmowali z nim współpracę i otrzymywali honoraria.

PRZEJĄĆ I LIKWIDOWAĆ

Połączenie Instytutu Książki z Instytutem Literatury zakomunikowano już 12 stycznia. Zrobiła to wiceminister kultury Joanna Scheuring-Wielgus, przyjeżdżając specjalnie w tym celu do Krakowa. Formalne połączenie obu instytucji oznacza *de facto* likwidację IL wraz z jego dorobkiem. Nowa władza robi to konsekwentnie, a wzorcowy *modus operandi* zastosowano w grudniu ub.r. w TVP. W konsekwencji zlikwidowano „Tygodnik TVP” z całą jego internetową zawartością, a także serwis SwipeTo.pl – od wielu miesięcy nie są już dostępne dla czytelnika.

Na początku czerwca zniknęła więc strona internetowa Instytutu Literatury wraz z portalem oraz jego tygodnikową odsłoną „Nowy Napis co Tydzień”. W nim tysiące tekstów na temat książek, pisarzy, recenzji, esejów, prób prozatorskich i poezji, również młodych lub nieznanymi autorów. Łącznie IL zbudował trzy portale, także w języku rosyjskim oraz ukraińskim. Co ciekawe, ten ostatni podobno ma przetrwać, choć również został wyłączony. W rosyjskim, uruchomionym miesiąc przed wybuchem wojny, postanowiono m.in. zebrać dorobek często już nieżyjących rosyjskich tłumaczy polskiej literatury, a także dokonywać przekładów polskich twórców na rosyjski. Podobnie ukraińskich, publikując teksty łącznie 116 autorów polskich i 56 ukraińskich.

HISTERIA „SALONU”

Tymczasem resort zarzucił IL, że dublował działania IK, a oba podmioty wchodziły ze sobą w kolizję, „w sposób nieefektywny angażowały środki publiczne” i bardzo poważnie konfliktowały z „przestrzenią literacką”, tworząc jakieś „destrukcyjne napięcia”. Znaczenie tego pięknoduchowskiego żargonu znacznie lepiej wyjaśnia lektura tekstów, w których na łamach „Gazety Wyborczej” czy wówczas opozycyjnych tygodników atakowano ministerstwo, Instytut i jego dyrektora oraz nowych redaktorów naczelnych czasopism kulturalnych.

Dyrektor dr hab. Józef Ruszar znalazł się na celowniku „salonu”, zanim Instytut Literacki w ogóle powstał, gdyż „wzbudzał kontrowersje” tylko tym, że ośmielił się stanąć na jego czele. Przeprowadzona przez sfrustrowane „środownisko” kampania propagandowa w bardzo aroganckim i demagogicznym tonie dezawuowała IL i inne inicjatywy ministerstwa związane z literaturą. Miały być one bowiem elementem „pacyfikacji zbiorowej wyobraźni społeczeństwa”, „cenzury ekonomicznej i personalnej”, „pełzającego zamachu stanu” i „legitymizowania reżimu” za pomocą „śliskich łap swoich stronników”, „kacyków” nominowanych „spośród mniej lub bardziej sfrustrowanych inteligentów, którym najwyraźniej nie szło w demokratycznych czasach”. To tylko kilka próbek napastliwości ich przeciwników. Wspierała ich np. dyspozycyjna wobec obecnej władzy Olga Tokarczuk. „Robią sobie nową zabawkę ku chwale jedynie słusznej literatury” – mówiła, pouczając, że to wszystko „wyraz naiwnej wiary, że w dzisiejszych czasach da się sterować kulturą ręcznie: tu głaszcząc i namaszczając, tam nakazując i zakazując”. Zapominając, że dokładnie w taki właśnie sposób została wylansowana – rozdzielaniem prestiżu i sławy dla „jedynie słusznej literatury”, której jest producentką.

Oczywiście nikt nikomu niczego nie zakazywał i nie cenzurował, a cała kampania była wyłącznie wyrazem frustracji z racji naruszenia obowiązującego *status quo*. Podległy ministrowi kultury Instytut Książki wydaje też

kilka czasopism, m.in. „Dialog”, „Teatr”, „Twórczość” czy „Literatura na świecie”. Choć ich ranga nie jest już tak istotna, to lewicowo-liberalny salon rozpętał wokół nich gigantyczną histerię. Tę zamkniętą grupę uwierało, że przechodzącego na emeryturę redaktora naczelnego „Twórczości” Bohdana Zadurę zastąpił Mateusz Werner, a w miejsce kierującego przez ponad 30 lat „Dialogiem” Jacka Sieradzkiego, który również z własnej woli odszedł na emeryturę, przyszedł Antoni Winch. Wobec nowych naczelnych rozpętana została kampania mająca na celu ich dyskredytację, także osobistą. Tego ostatniego zaatakował m.in. Antoni Komasa-Łazarkiewicz, prywatnie wnuk Henryka Hollanda, zarzucając mu np. „poronione ksenofobiczne fobie”.

PLURALIZM DLA LITERATURY

Gdy 20 lat temu obchodzono 80-lecie urodzin Zbigniewa Herberta, ówczesny prezydent miasta Warszawy Lech Kaczyński sfinansował zorganizowanie Warszawskiego Festiwalu Poezji. Niesetty jego następczyni Hanna Gronkiewicz-Waltz (PO) go zlikwidowała i z tego powodu przez kolejnych 15 lat był kontynuowany jako inicjatywa prywatna w formule Warsztatów Herbertowskich. To na bazie tej inicjatywy powstał Instytut Literatury i od początku, a więc od 2019 r., był pomyślany jako placówka głównie edukacyjna.

Poza wydawaniem kwartalnika „Nowy napis”, drukującego teksty współczesnych pisarzy, poetów, dramaturgów – albo żyjących, albo niedawno zmarłych – zajmowano się również wydawaniem serii poświęconych im monografiom wraz z antologiami. Taki czteropak, zawierający trzy monografie i kwartalnik, był raz na kwartał wysyłany do 7 tys. bibliotek licealnych i uniwersyteckich w całej Polsce.

Dorobek IL musi imponować rozmachem. Kierowana do nauczycieli, studentów i bardziej humanistycznie nastawionych uczniów seria „Biblioteka Krytyki Literackiej” zawierała więc fachowe opracowania krytycznoliterackie często dotyczące pisarzy emigracyjnych, których znajomość

jest w Polsce wciąż niewystarczająca. – To musiało boleć – mówi jeden z pracowników byłego już IL. Chodzi np. o wydania edukacyjne słynnych dzieł, takich jak „Sól ziemi” Józefa Wittlina czy „Szkice piórkiem” Andrzeja Bobkowskiego, niemal 30 antologii poetów i prozaików (np. nieznanego szerzej Florianiana Czarnyszewicza) czy monografie, m.in. na temat Józefa Czapskiego, Józefa Mackiewicza czy Wiesława Myśliwskiego. Do tego antologie tekstów krytycznoliterackich zawierające zbiory tekstów nieżyjących już znakomitych krytyków, m.in. Jana Błońskiego, Andrzeja Kijowskiego, Jana Prokopa. To „Biblioteka Pana Cogito”, a więc poezja i jej recepcja, pierwotnie będąca pokłosiem Warsztatów Herbertowskich i licząca łącznie ok. 80 pozycji. W końcu seria „Nowa Krytyka i Esej”, zrodzona z przekonania, że współczesna krytyka została stłamszona przez komercję, a poważne recenzje zazwyczaj zastępują jej namiastki lub „reklamy”. Liczne publikacje z okazji 200-lecia polskiego romantyzmu, książki wydane we współpracy z Zakładem Narodowym im. Ossolińskich, przekłady polskich autorów także na angielski, włoski, rumuński, bułgarski.

Dzięki seriom wydawniczym również wspierano niemałe grono pisarzy czy poetów, niezbyt głośnych, często niekomercyjnych. Wydania ich książek finansowano z programów Tarcza dla Literatów oraz Programu Wsparcia Literatury Niekomercyjnej. Wyboru ok. 120 autorów i ok. 150 tytułów dokonały zarządy Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. IL uruchomił również serię „Pokolenie Solidarności”, prezentującą przejmujące świadectwa ludzi zaangażowanych w działalność narodowego ruchu społecznego.

Właśnie ta działalność została określona mianem „pacyfikacji zbiorowej wyobraźni”, a pod hasłem przywracania demokracji rozprawiono się ze wszystkim, co uznano za nieprądomyślnie. Działania prowadzące do pluralizmu, neutralizacji mechanizmu wykluczania zastąpiło oddawanie kolejnych instytucji środowiskom, które samowznioście uznają się za ich jedynych właścicieli.

Bezkształt kontra satanizm

Czy satanizm ma decydujący wpływ na dzisiejszy Zachód? Najczęściej usłyszeliśmy, że nie. Kult osobowego zła jest powszechnie postrzegany jako nurt skrajnie marginalny, warty wspomnienia jedynie ze względu na swój radykalizm. Jednak ta negatywna odpowiedź jest prawdziwa tylko wtedy, gdy mowa o satanizmie w jego tradycyjnej postaci, związanej z pojmowaniem szatana jako bytu osobowego, zbuntowanego anioła, demona, któremu wyznawcy oddają cześć.

Istnieje natomiast drugi nurt, satanizm ateistyczny, niezwiązany z czcią jakiegokolwiek bóstwa, będący kultem władzy, zmysłowości, siły natury. Szatan jest w nim utożsamiany jedynie z energią, mocą, ideą nacechowaną egoizmem, amoralnością, hedonizmem. Prawie nikt nie zdaje sobie sprawy, jak szeroko ten nurt jest rozposzechniony w zachodniej kulturze.

Ale nawet wpływu tradycyjnego satanizmu na dzisiejsze społeczeństwa nie da się przecenić. Jego dzieckiem, politycznym narzędziem, jest bowiem decydujący o kształcie naszej współczesności marksizm. Radykalna teza? Podnoszona już kilkakrotnie. Niedawno odniósł się do niej znany kanadyjski psycholog Jordan Peterson, wykazując, że ideologii marksistowskiej nie da się zredukować do kategorii czysto psychologicznych, a nienawiść marksistów i neomarksistów do wszystkiego, co chrześcijańskie, nie jest przypadkowa, ale stoi za tym kult zła, realny satanizm.

Już 55 lat temu autor biografii Karola Marksa, wybitny liberalny historyk i pisarz Robert Payne, pisał wprost o jego niewytłumaczalnych zachowaniach, które trudno interpretować inaczej jak opętaniem przez demona. „Marks miał diabelski pogląd na świat, ale także diabelską złośliwość; czasami wydawał się być świadomy, że wykonuje dzieła diabła”.

Marks, oprócz Darwina i Freuda chyba najbardziej wpływowy ojciec duchowy współczesności, pisał wiersze ku czci Mefistofelesa. Pierwszy w 1837 r., kolejne w 1841 r. Jeden z nich, zatytułowany „Le Menestrel”, zawiera poetycki opis zaprzęgnięcia duszy szatanowi. Gdy Marks tworzył „Manifest komunistyczny”, napisał też sztukę zawierającą satanistyczne rytuały, w których symboli chrześcijańskich używano szyderczo lub bluźnierczo. Sam jej tytuł: „Oulanem” („My bez Boga”) jest anagramem słowa „Emanuel”, które znaczy „Bóg z nami”.

Marks pisał w jednym z listów do swego ojca Heinricha: „Chcę się mścić na Tym, Jedynym, co w niebie króluje [...]. Spadła zasłona, zerwała wszystko, co dotychczas było święte, teraz muszą być ustanowieni nowi bogowie”. Zaś ojciec w liście z 1837 r., zaniepokojony atmosferą zła, która unosi się wokół jego syna, pisze wprost, że Karl „ma w sobie demona” i podaje w wątpliwość, czy kiedykolwiek będzie w stanie zapewnić pozytywne ludzkie uczucia swojej przyszłej rodzinie.

Po latach troje dzieci Karola Marksa zmarło z powodu niedożywienia – okazało się, że nie czuł się on zobowiązany do utrzymania własnej rodziny, co przy jego ogromnej wiedzy językowej nie sprawiłoby mu żadnych trudności. Był też katem dla swojej niepotrafiącej się bronić żony.

W książce zatytułowanej „Marks i szatan” Richard Wurmbrand, rumuński chrześcijanin wyznania ewangelickiego, pochodzenia żydowskiego, zapisał: „Marks swoje dwie córki i zięcia doprowadził do samobójstwa”. To opinia. Wiemy zaś na pewno, że córka Marksa Laura, poślubiona przez socjalistę Laforgue’a, opuściła troje dzieci, po czym oboje popelnili samobójstwo. Druga córka Eleonora również zdecydowała wraz z mężem odebrać sobie życie. Ona zmarła, on w ostatniej chwili zrobił unik.



ROBERT TEKIELI

Wurmbrand przytacza też zdumiewające świadectwo ucznia filozofa z Trewiru, komandora Riisa, o służącej Marksa, która po jego śmierci tak opisała swojego pracodawcę: „Był to człowiek bogobojny. Gdy był ciężko chory, modlił się samotnie w swoim pokoju, przy rzędzie płonących świec, a czoło przewiązywała taśmą swojego rodzaju”. Kogo czcił, nie rozstrzygnę. Ale jeśli nawet nie był świadomym czcicielem demona, poddawał się wpływowi złego ducha. Satanizm to satanizm.

Peterson: „patrzac na jego niewytłumaczalną wręcz nienawiść do wiary w Boga, jego olbrzymią demoralizację, a także skrajnie destruktywne skutki tworzonych przez niego idei, trudno nie dostrzec, że chodzi tu o coś więcej, niż tylko ludzkie zagubienie w życiu. U podstaw marksizmu stoi element duchowy – odwieczny wróg Boga, oskarżyciel ludzkości, czyli szatan”.

Patrzac na historię i teraźniejszość naszej cywilizacji, tak mocno skałeczonej przez bolszewicki i kulturowy marksizm, trudno sobie wyobrazić, że może być jeszcze gorzej.

A jednak. Już pod koniec lat 60. XX w. Theodor Adorno ocenił, że Karol Marks przedstawiał rewolucję zbyt „łagodnie” i „naiwnie”. Według Adorna Lenin „był już wprawdzie bardziej radykalnym, ale też niewystarczająco, by historię świata pogrążyć w całkowitym chaosie”. Według świeckich proroków marksizmu kulturowego realizowana dziś rewolucja ma być o wiele bardziej radykalna niż sataniczna rewolucja Marksa, Lenina i Stalina.

Współczesny zachodni ateizm to judeochrześcijańska herezja. Bunt nie jest

zerwaniem ciągłości. Nowość może powstać/powstaje nie wówczas, gdy kontestujemy jakiś system pojęć i wartości, lecz dopiero wtedy, gdy staje się on nam całkowicie obojętny. Pomijalny i pomijany. Zaprzeczeniem miłości nie jest nienawiść, lecz obojętność. „Jest czas miłości i czas obojętności; bo nienawiść i miłość to siostry”.

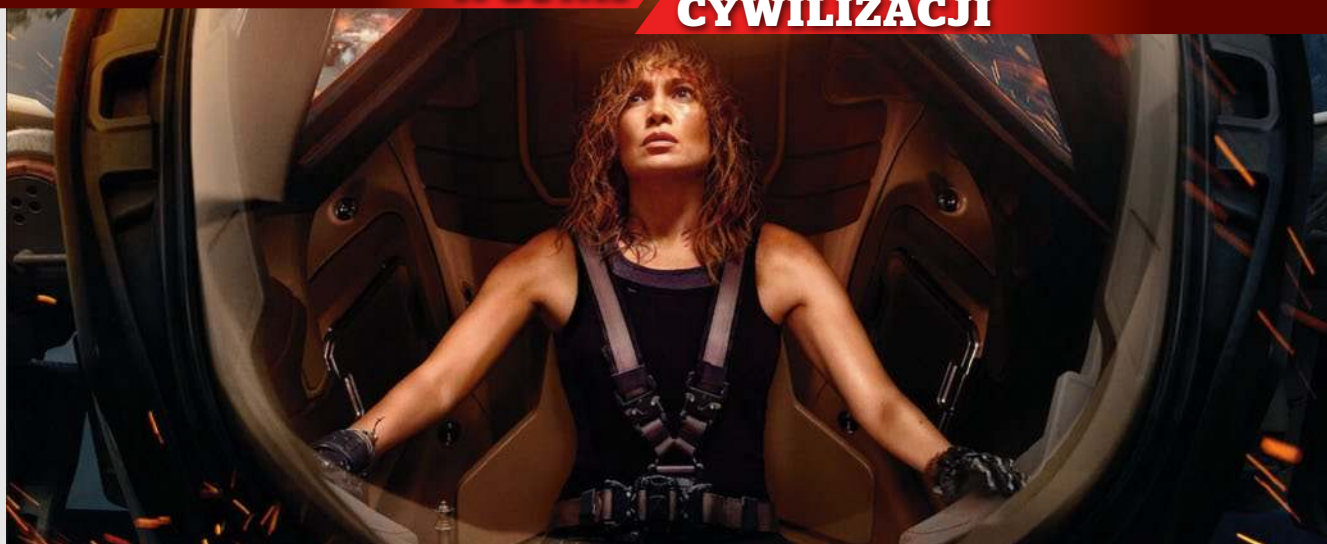
Nie wystarczy zniszczenie pojęcia prawdy, odebranie ludziom łaski wielkiej

sztuki oraz rozbicie tradycyjnej rodziny. Rewolucja od początku chciała zabrać kulturze Boga. Dziś chce zniszczyć pojęcie osoby, stąd zrównywanie zwierząt i ludzi, bestializacja człowieka, skłanianego przez popkulturę do poddawania się władzy najniższych instynktów, głównie seksualnego. I wreszcie rewolucja chce zniszczyć arystotelesową „formę” (uporządkowanie świata), która jest fundamentem cywilizacji. Desakralizacja, od-

człowieczenie i bezkształt – do tego dążą rewolucyoniści.

Satanizm czerpie rację bytu z opozycji wobec wartości reprezentowanych na Zachodzie przez chrześcijaństwo. Dopóki istnieje, ofiara Chrystusa ma jeszcze jakikolwiek sens. Sataniści mogą śpiewać: „Jeszcze ludzkość nie zginęła, póki my żyjemy”. Człowieczeństwo może się rozpląnąć dopiero w nierozróżniającym bezkształcie. Nawet nie w chaosie. 

WOJNA CYWILIZACJI



Ewentualnie Film science fiction z Jennifer Lopez. Brzmi to chyba wystarczająco niezachęcająco. Ale właśnie taką fabułę pt. „*Atlas*” obejrzało na Ideolofixie w premierowy weekend ponad 28 mln ludzi. Tym razem oszczędzono widzom ćwiczeń z zaimków, nawet chyba próbowano sobie zażartować z tej szajby. Ale fabuła realizuje inne globalistyczne zamówienie. Oswojenie tzw. sztucznej inteligencji też jest na szczycie agendy transhumanistycznego tym razem szczepu globalnej magnaterii. Od dekad trwają popkulturowe prace nad jej „uczłowieczeniem”, a może tylko zaakceptowaniem przez *homo sapiens* jej istnienia/dominacji. Mamy polubić *techno sapiens*. A może nawet pokochać. Choć jak dotąd narzędzia emocjonalnej perswazji, które przez stulecie wypracował Hollywood, na szczęście są wobec tego zadania absolutnie nieskuteczne.

Film jest do bólu nieoryginalny, motywy podane z finezją autora menu dworcowego baru, postaci wycięte z papieru, sposób opowiadania – lopatologiczny. By wiedzieć, w którym momencie przyszłej historii Ziemi jesteśmy, oglądamy skrót wiadomości telewizyjnych – by dowiedzieć się, że postać grana przez J.Lo jest genialną analityczką, widzimy, jak nie patrząc na szachownicę, wygrywa w szachy z komputerem, skupiona na porannej toalecie. Na plus – przyzwoite efekty specjalne, no, ale kto miałby ich nie mieć, jak nie ekipa robiąca film o budżecie 100 mln dol. Sym-

patyczny jest też pomysł sześciennego karykatury lizaka o mocy poczwórnego espresso produkowanego od ręki dla uzależnionej od kofeiny głównej bohaterki przez przyjazną jej AI.

Niestety ta historia o buncie sztucznej inteligencji jest doskonałą okazją do powielania bzdur o boskich możliwościach AI, które już jutro, za rok, za 10 lat się urzeczywistnią. Albo i nie. No, ale mało kto chce zostać okrzyknięty technofobem.

J.Lo nie jest dobrą aktorką. Lecz właściwie obsadzona i poprowadzona z intuicją nie szkodziła licznym komediom romantycznym ze swoim udziałem, wręcz przeciwnie. Nie będąc Vin Dieslem, a upozowana na Riddicką, nie miała szans obronić tej roli, choć rzecz nieomal ratuje świetny pomysł z głębką neurozą, na którą cierpi zbawiająca świat pani analityk. Przyzwoicie zagrał tu jedynie Sterling Brown w roli płk. Eliasa Banksa, poza tym psychologia postaci kuleje, a AI wygłasza niekontrolowane newagowe poglądy na istotę życia. I niejako wbrew temu wszystkiemu twórcy filmu zadają proste pytanie: „Jeśli tworzymy inteligencję wyższą niż nasza, jak ją chcemy kontrolować?”

Nic nie napiszę o finalnej scenie tej fabuły. Powiem tylko, że scenarzyście udało się połączyć action movie science fiction z komedią romantyczną. Zakcentem na komedię. „Atlas” to film dla milionów fanów J.Lo. Być może zresztą wszyscy oni już obejrzały tę fabułę.

Robert Tekieli, Polskie Radio

Elfy, trolle i skaldowie

Gdzieś w połowie średniowiecza skaldowie, podobnie jak celtyccy bardowie, pełnili rolę gawędziarzy-poetów sławiących wyczyny wikingów i mitologiczne podania. Neofolkowy SKÁLD tworzy grupa francuskich pasjonatów śpiewających po staronordycku oraz wskrzeszających bogatą w symbolikę i przerośniętą lirykę skandynawską. Łącząc śpiewaną narrację z transowymi pieśniami, muzycy akompaniują, używając wielu dawnych instrumentów, np. liry korbowej, rozmaitych harf (w tym nyckelharpy pobudzanej smyczkiem), didgeridoo, buzuki i przeróżnych perkusjonaliów, w tym szamańskich bębnow.

„Huldufólk” to ich trzeci album, którego tytuł nawiązuje do tzw. ukrytych ludzi, fantastycznych postaci z islandzkiego i farskiego folkloru opisanych w „Eddie prozaicznej” Snorriego Sturlusona (przekładał ją Joachim Lelewel). Kierują naszą uwagę na lasy, w których poza czarującymi elfami skrywają się też liczne trolle, przewrotna skogsrå czy smoki. Stare islandzkie wierzenie ostrzega przecież przed bezsensownym rzucaniem kamieniami w lesie. Jeśli którymś z nich zranisz ukrytych, można ich skrzywdzić, a nawet rozzłościć. Muzyka oparta na nordyckim folklorze przenosi nas gdzieś w mgłę czasu, unosi ku krainie Álfheim, a pulsujące bębny wybijają rytm wiosła drakkara sunącego ku Wielkiej Północy. Słuchając tych wspaniale zaaranżowanych i wielowarstwowych śpiewów, zatapiamy się w kolejne warstwy „Eddy”. „Troll Kalla Mik” brzmi jakby wydobywała się z głębin samego Ginnungagap. „Mánin Liður” łagodną kobiecą wokalizą nawiązuje do bardziej eterycznej strony mitologii, „Elverhøy” i „Riðum, Riðum” łączą wręcz taneczny i galopujący motyw. Szczególnie wciągająca jest ta druga, opowiadająca o islandzkim płaskowyzu Sprengisandur, w dawnych czasach niebezpiecznym miejscu, w którym, jak wierzono, pojawiają się owe fantastyczne postacie. „Hinn Mikli Dreki” jest już pełna lamentów tych, którzy pozostali w Midgardzie. Możemy też posłuchać interpretacji popularnej skandynawskiej ballady „Herr Mannelig”, będącej przypowieścią o trollicy marzącej o przemianie w człowieka. Młodzieniec chrześcijanin odmawia jednak ożenku z córą górskiego diabła. SKÁLD, celebrując te sagi, tchnął w nie nowe życie, choć już interpretacje Rammsteina („Du Hast”) i nieśmiertelnego „A Forest” The Cure wypadają dyskusyjnie. Lepiej sięgnąć do oryginałów.



SKÁLD, „Huldufólk”, Decca 2023



Maciej Walaszczyk

70 lat temu, 7 maja 1954 r., rozstrzygnęła się bitwa pod Dien Bien Phu. Klęska Francji oznaczała koniec wojny, która przez dziewięć lat rozdzierała terytoria dzisiejszego Laosu, Wietnamu i Kambodży. Przeciw Francuzom wystąpił wówczas Viet Minh, będący militarnym ramieniem Wietnamskiej Partii Komunistycznej. Konflikt miał charakter dekolonizacyjny, prowadzony najpierw w formie wojny partyzanckiej, a w 1950 r. przerodził się we frontalne starcie, które zakończyło 100-letnią dominację Francji w Indochinach. Naprzeciw niej stanęły maoistowskie Chiny i Związek Sowiecki przy sporej wstrzeźliwości Amerykanów.

W bitwie będącej gigantycznym oblężeniem zamknięci w błotnistej pułapce warownego obozu Francuzi stali się łatwym celem armii gen. Giapa. Podobno prostą koncepcję zwycięstwa miał określić sam Ho Chi Minh, który wskazując na odwrócony hełm, powiedział: „To jest dolina Dien Bien Phu, na jej dnie znajduje się elita francuskiej armii, dolina jest otoczona górami, gdzie stoimy my, i Francuzi nigdy się nie wydostaną”. I tak się stało. W szeregach Legii Cudzoziemskiej walczyli

Niebieskookie diabły



George Robert Elford, „Diabelska gwardia”, DeReggio 2023

m.in. Niemcy, a dokładniej byli żołnierze Waffen SS, którzy po wojnie trafili w jej szeregi. Byli tam też Ukraińcy, a nawet Polak, były powstaniec warszawski. Książka jest więc barwną, męską opowieścią, spisaną na podstawie rozmów z Hanssem Josefem Wagemüllerem, rzekomo spotkanym w latach 60. przez autora w którymś z azjatyckich miast. Nazwał siebie kopfjägerem – łowcą głów, a dokładnie „zmechanizowanych hord Czyngis-chana epoki atomowej”. To narracja niemieckiego żołnierza jednostki specjalnej, który doświadczenia zdobyte podczas tropienia sowieckich partyzantów na bagnach Prypeci wykorzystywał w brutalnej wojnie z tym samym komunistycznym wrogiem ukrytym w dżungli. Obowiązywała tam jedna zasada: śmierć za śmierć. Relacjonuje przebieg akcji antypartyzanckich, dywersyjnych rajdów w głąb Chin, zakłuwania wroga bagnetami, odrażających zbrodni, nie szczędząc też politycznych komentarzy. Np. na temat powojennych Niemiec: „Teraz 20 mln antynazistów będzie [...] bardziej antynazistowskich niż rabin w Jerozolimie”. Ale „zdobywca zawsze ma rację, a pokonany zawsze się myli”. *Vae victis.*

Scenariusz dla nowej prawicy

Ci, którzy kontrolują kulturę, kształtują zbiorową świadomość, a co za tym idzie – preferencje polityczne mas. Proces zdobywania władzy jest w demokracji fenomenem totalnym – mówi Alain de Benoist

Narodziny nowej prawicy, a może „konserwatywnej lewicy europejskiej”, w symboliczny sposób datuje się na maj 1968 r. W Polsce jej dorobek zna niewielu, a i omawiana książka jest już właściwie niedostępna. Jakiś czas temu polecałem wydaną staraniem Krzysztofa Tyszkiewicz-Drozdowskiego lekturę „Przeciw liberalizmowi. Społeczeństwo to nie rynek” – pierwszą książkę Alaina de Benoista, jaka kiedykolwiek ukazała się w Polsce. Pewne sukcesy prawicy we Francji, Niemczech i we Włoszech, a także problemy, z jakimi musi się ona mierzyć, można by łatwiej zrozumieć, gdyby jego myśl była powszechniejsza. Choćby koncepcja „demokracji ograniczonej” jako alternatywy dla globalnego demoliberalizmu, swoisty prawicowy „antykolonializm”, który z pewnością miałby zastosowanie dla kolonizowanej – „modernizowanej” Polski, czy wysunięcie pierwszeństwa praw narodów przed absolutyzacją praw człowieka.

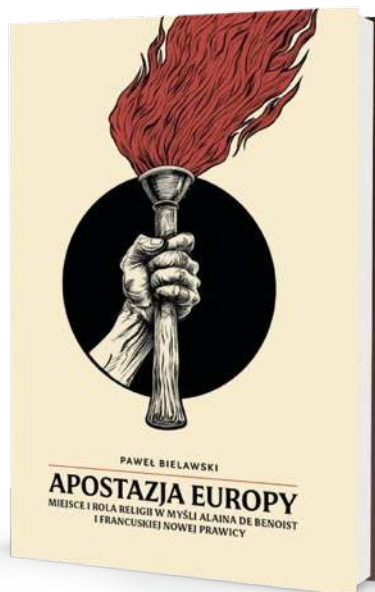
Refleksja de Benoista zawiera m.in. diagnozę o wyczerpaniu społeczno-politycznych warunków dla istnienia „starej” prawicy (kryzys chrześcijaństwa, upadek dawnych form i elit), a także lewicy (brak proletariatu, globalizm) i kluczowe dla politycznej dominacji pojęcie hegemonii kulturowej. Zamiast popularnego na prawicy „gospodarka, głupcze” Francuz żywił przekonanie o kluczowym znaczeniu domeny wartości, które nie dotyczą doraźnych kwestii politycznych, lecz pośrednio oddziałują na polityczny konsensus. Przypomina to nieco apele, które do głuchego republikańskiego establishmentu w USA jeszcze na przełomie lat 60. i 70. wygłaszał Leopold Tyrmand, przekonując, że ludzie, którzy mają decydujący wpływ na kulturę, rozstrzygają tam też o prowadzeniu wojen i przebiegu wyborów prezydenckich. Proces zdobywania władzy stał się bowiem fenomenem totalnym, obejmującym nie tylko politykę parlamentarną, lecz także edukację, media i naukę, kulturowa hegemonia stała się ważniejsza niż polityczna, gdyż ci, którzy kontrolują kulturę i media, są w stanie kształtować świadomość zbiorową, a co za tym idzie – preferencje polityczne. Niesłychane, że jeszcze w 2024 r. po-

litycy prawicy w Polsce dziwią się, że przegrywają wybory, choć stawiali na „rozwój”, nie rozumiejąc przyczyn porażki.

Alain de Benoist zastanawiał się też, jaką rolę odgrywał pogański politeizm przed epoką chrześcijaństwa i jaki wpływ wywarło ono na współczesne idee polityczne. Znajdował się przy tym przemożnym wpływem religioznawczych teorii Eliadego, historiozofii Spenglera, filozofii Nietzschego i Heideggera czy Louisa Rougiera. Stąd przekonanie o konsekwencjach rozdzielenia Świata i Absolutu jako momencie decydującym o jego „odczarowaniu”, o konsekwencjach przemiany papieża w polityczną potęgę jako źródła procesu sekularyzacji, sprawiającej, że chrześcijaństwo mimowolnie stało się protoplastą wszelkich nowożytnych idei. I tak oświecenie („ateizm implikuje teizm jako antytezę”) jest jedynie jego świecką kontynuacją. Zdaniem filozofa choć kościoły świecą pustkami, wywiera ono wpływ w formie świeckiej pod postacią ideologii postępu, praw człowieka („religią obywatelską Zachodu”), spłaszczającego kulturę wyłącznie do wartości handlowych egalitarnego uniwersalizmu i liberalizmu („monoteizm rynkowy globalizacji”). Ideologia równości jest bowiem obca europejskiemu duchowi, którego wspólnoty zawsze były organiczne i hierarchiczne, a sam Zachód

stanowił syntezę indoeuropejskiego politeizmu i judeochrześcijańskiego monoteizmu. Jednak odkąd chrześcijaństwo przestało być definiującą wszystko doktryną, stało się jedynie jedną z możliwych opinii, co ma swoje konsekwencje w polityce i budowie obowiązującego konsensusu.

Autor streszcza całą argumentację de Benoista, dlatego warto wysłuchać głosu, który już dawno przestrzegał, że w swojej klasycznej, burżuazyjnej i konserwatywnej formule w ciągu ostatnich 200 lat prawica poniosła porażki na wszystkich polach, na których się zaangażowała, a ceną za udział we władzy jest niekończący się ideologiczny kompromis z liberalizmem i lewicą. Stąd przekonanie o konieczności przyjęcia przez nią nowego etosu, którego źródłem mógłby być powrót do mentalności i instytucji czasów grecko-rzymskich. ▀



Paweł Bielawski, „Apostazja Europy”, Agencja Wydawniczo-Reklamowa „Arte” 2024

KONRAD BUDZYK*

Tofu niczego się nie boi

Tofu niczego się nie boi. Tradycyjne pierogi, włoski makaron, street-foodowy burger czy tiramisu albo tarta limonkowa – w każdym z tych dań odnajduje się idealnie” – zapewnia Konrad Budzyk.

Książka „Totalnie tofu” (wydawnictwo Znak JednymSłowem) to propozycja dla początkujących i zaawansowanych, fanów i sceptyków. Autor podpowiada, jak z sojowego serka zrobić wymarzony składnik różnorodnych potraw. Wśród ponad 80 propozycji są przepisy na pierwszy rzut oka zaskakujące, np. dania kuchni włoskiej (oprócz lasagne i bolognese tiramisu) czy domowej, polskiej (kluski leniwe, kotlety – z kaszy jaglanej i tofu, klopsiki w sosie pieczarkowym).

Znajdzie się też coś dla fanów kebaba i nuggetsów oraz łasuchów (to-furnik, drożdżówki, minipączki). A na śniadanie, choć nie tylko, można zrobić np. pastę bezrybną albo smalczyk z jabłkiem.

Dociekliwym autor podsuwa informację o tym, jak powstaje tofu: „Produkcja zaczyna się od namaczania ziaren soi – trwa to całą noc. Następnie ziarna są mielone na gładką pastę.



Z niej wytłacza się mleko sojowe, które następnie jest klarowane. Kluczowym etapem produkcji jest podgrzewanie tak przygotowanego mleka sojowego do odpowiedniej temperatury. Mleko nie może przywrzeć do dna garnka, dlatego trzeba je stale mieszać. Następnie dodaje się nigari (dawniej uzyskiwano je podczas odsalania wody morskiej, współcześnie bywa ono uzyski-

wane całkowicie syntetycznie) lub sól Epsom, co wywołuje proces skrzepiania (koagulacji). Stopniowo mleko sojowe zamienia się w gęstą masę tofu”.

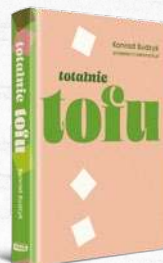
W osobnym rozdziale pokazuje, jak dodać smaku bazie: „Marynowane tofu jest świetnym dodatkiem do kanapek i zup, ale może być także głównym składnikiem dania obiadowego” – przekonuje, podpowiadając, czym i jak zamarynować tofu. Potwierdza też: „Tofu nie tylko można mrozić, ale czasami jest to wręcz wskazane. Dzięki mrożeniu uzyskuje ono unikalną teksturę – staje się bardziej gąbczaste i porowate, może przypominać mięso. Dzięki temu lepiej wchłania marynaty i sosy”.

Budzyk na każdym kroku udowadnia, że tofu jest niezwykle uniwersalne. Wystarczy tylko dobrać jego odpowiedni rodzaj, a potem umiejętnie przygotować potrawę. Z książką „Totalnie tofu” powinno się to udać. 

Jolanta

Gajda-Zadzworna

**Dietetyk, weganin,
autor książki „Totalnie
tofu” i bloga Przepisy
dla zielonych*



WEGAŃSKA SZAKSZUKA

Składniki: kostka naturalnego tofu, puszka (400 g) krojonych pomidorów bez skórek, garść mrożonego groszku, 2 ząbki czosnku, ½ czerwonej papryki, ½ cebuli, ½ papryczki chili, 2 łyżki oliwy, ½ łyżeczki kuminu, ½ łyżeczki wędzonej papryki, ½ łyżeczki czarnej soli, szczypta pieprzu, szczypta suszonego oregano, szczypta cynamonu.

Dodatkowo: bakietka, świeże zioła (bazylia, oregano lub pietruszka).

Wykonanie: Tofu pokrusz na średniej wielkości kawałki. Cebulę oraz czosnek obierz i pokrój w bardzo drobną kostkę. Czerwoną paprykę umyj, oczyść i pokrój w kostkę. Papryczkę chili i zioła umyj, oczyść i drobno posiekaj. • Na patelni rozgrzej oliwę, dodaj cebulę i smaż ją 2–3 min. Dodaj czosnek i smaż jeszcze przez 1 min. • Dodaj paprykę i smaż przez 5 min. • Kiedy papryka zmięknie, dodaj wszystkie przyprawy oraz papryczkę chili, wymieszaj i całość krótko przesmaż. • Wlej pomidory i gotuj kolejne 10 min. • Tofu przełóż do miseczki, posyp czarną solą i wymieszaj. • Ugotowane składniki na patelni dopraw do smaku solą i pieprzem. Posyp je tofu i groszkiem, zmniejsz moc palnika, przykryj patelnię i duś ok. 10 min. Przez ten czas tofu i groszek powinny nabrać temperatury. • Gotową szakszukę podawaj ze świeżą bagietką i ziołami.



SŁODKO-SŁONY

Czas bobu

ANNA MONICKA



WILCZYM OKIEM

Taniec światlików

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Najstarsze znalezione ziarno bobu ma ponad 9 tys. lat. Odgrzebano je w czasie wykopaliś w Jerychu. Bób jedzono w starożytnym Egipcie, składano go także w ofierze bóstwom. W czasach biblijnych robiono z niego mąkę, dodawaną do pieczenia chleba. Był pożywny, sprawdzał się w czasie wojen i oblężeń. Grecy atleci poprawiali dzięki niemu osiągnięcia sportowe, cenili go też Rzymianie, chociaż raczej ci biedniejsi. Tak naprawdę miał niewielu przeciwników – egipscy kapłani traktowali go jako pokarm zmarłych, a słynny filozof i matematyk Pitagoras twierdził, że ściąga na mózg otępienie.

Czasy się jednak zmieniły. Gdy patrzę na nasze stragany, dochodzę do wniosku, że wkrótce trzeba będzie podawać ziarna na srebrnych talerzykach. Jeszcze niedawno pakowano je w kilogramowe woreczki, teraz torebki są o połowę mniejsze. Pewnie żeby nie drażnić bobożerców ceną smakołyku. A na portalach ludzie zadają sobie niedyskretne pytania w stylu: „Czy jecie bób z lupiną?”. Albo: „Czy można tę skórę jako wykorzystać, przecież to żal, żeby połowa warzywa, które zrobiło się tak nieprzyzwoicie drogie, lądowała w śmietniku”. Znalazłam nawet przepis na mielone wypłuki z serem feta i ziołami. Robi się z nich kulki i piecze na blasze.

U mnie w domu ten problem nie istnieje, bo ja od zawsze zjadam nasiona w całości, a reszta rodziny, chociaż łuska, to nie wyrzuca resztek, bo pozerają je z wielkim smakiem nasze psy. Dlatego staram się nie solić bobu w czasie gotowania, a przyprawiam go dopiero w misce.

Najsmaczniejszy jest w sosie czosnkowo-cytrynowym z dużą ilością oliwy – latem z powodzeniem zastępuje obiad. Ma mnóstwo witamin i błonnika, więc na długo zapewnia uczucie sytości.

Doskonałym patentem jest bobowa pasta do pieczywa – ugotowane i obrane ziarna trzeba zmiksować z oliwą i fetą, czosnkiem i świeżymi ziołami (kolendrą, pietruszką, koprem) oraz odrobiną soku z cytryny. Do smaku można dodać tahini lub chili.

W chłodniejsze dni sprawdzi się zupa krem z grzankami – do podsmażonych cebuli i czosnku wlewamy przecedzony bulion warzywny, w którym wcześniej gotował się wyluskany bób z dużą porcją kopru, pietruszką, gałązką lubczyku. Połowę bobu miksuję z bulionem, zagęszczam ugotowanym ziemniakiem, posypuję resztą bobu i koprem. Doprawiam i gotowe. Czas bobu jest krótki, więc do dzieła. 

Gody robaczek świętojańskich, jak w romantyczny sposób nazywa się chrząszcze z rodziny *Lampyridae*, czyli światlikowate, pozostawiają niezapomniane wrażenia. Odbywają się podczas krótkich, gorących świętojańskich nocy, które przypadają na koniec wiosny i zaranie lata. Czas, kiedy życie w naszej strefie klimatycznej eksploduje, na krótki moment dorównując, a nawet przewyższając bujnością szaleństwa tropików.

Powietrzny taniec zielonkawych, fosforycznych światełek jest zjawiskiem efemerycznym i łatwo go przeoczyć – masowe loty trwają niewiele dni. Aby odnaleźć światliki występujące również w miastach, potrzeba trochę szczęścia, cierpliwości i znajomości wymagań oraz obyczajów robaczek świętojańskich. Ważna jest również koincydencja pogody, cyklu rozwojowego owadów, a także fluktuacji liczebności ich populacji.

W Polsce występują trzy gatunki chrząszczy światlikowatych: świeciuch (*Phosphaenus hemipterus*), światlik świętojański (*Lampyrus noctiluca*) i iskrzyk (*Phausis splendidula*). Larwy wszystkich trzech gatunków, żyjące w butwiejącej ściółce (dlatego tak ważne jest niewygrabianie liści do gołej ziemi, kompost czy pozostawianie butwiejących pni), są drapieżne. Po kilku latach przeobrażają się. Dorosłe owady żyją kilka dni, poświęcając się rozmnażaniu i świeceniu.

Robaczki świętojańskie świecą za pomocą bioluminescencji – utleniania białka lucyferyny. Światło wzmacnia się, odbijając od kryształków kwasu moczowego. Mechanizm pozwala na świecenie bez wydzielania ciepła i podnoszenia temperatury ciała owadów, co byłoby niebezpieczne dla małych organizmów. W przeciwieństwie do bioluminescencyjnych grzybów robaczki świętojańskie kontrolują świecenie, potrafią zapalać i gasić światełka, a każdy z gatunków ma własne, odmienne kody sygnalizacyjne.

W przypadku światlika świętojańskiego świecą tylko samice, pozbawione zdolności lotu, zajmujące wieczorami eksponowane stanowiska na roślinności i błyskające w kierunku fruwających w mroku samców. Świeciuchy trudno dostrzec – obie płcie są nielotne i świecą delikatnie ukryte w podszyciu. Najpiękniej świecą iskrzyki: samice z czubków roślin, a samce latając powoli tu i tam.

Światlików, które właśnie świecą, trzeba szukać w ciepłe, pogodne wieczory w lasach i gęstych, nieuporządkowanych zadrzewieniach. 

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Finis Poloniae?

Tylko w niezależnych mediach konserwatywnych premier Donald Tusk jest określany mianem namiestnika, wasala, gauleitera, czyli jako osoba w pełni dyspozycyjna wobec Niemiec, budujących przy pomocy UE wielkie, centralistyczne państwo. Aby było ono wielkie, Europa Centralna nazywana przez nich Europą Wschodnią musi być częścią tego geopolitycznego projektu. W tym sensie jest to powrót do dawnych niemieckich koncepcji zwasalizowania państw Europy Środkowej (imperium Karolingów – IX w., Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego – XV w., kongres wiedeński – 1815 r., koncepcja Mitteleuropy Friedricha Naumanna – XX w., III Rzesza Niemiecka – XX w., Wspólnota Europejska, a od 2009 r. UE).

Cocharakterystyczne, niektóre koncepcje wielkiej Europy zdominowanej przez Niemcy przewidywały udział Rosji w jej budowie. Przyjęcie przez UE koncepcji komunisty Altiera Spinellogo wskazuje na kontynuację tej socjalistycznej myśli, czyli budowy wielkiej Europy od Lizbony do Władywostoku po ostatecznym wyeliminowaniu amerykańskich wpływów na kontynencie.

Po wybicie się na niepodległość w 1918 r. Polska dążyła do realizacji idei politycznej zwanej Międzymorzem, czyli federacji państw Europy Środkowej i Wschodniej, obejmującej obszar między morzami Adriatyckim, Bałtyckim i Czarnym. Koncepcja ta, której gorącym zwolnikiem był Józef Piłsudski, nawiązywała do jagiellońskich tradycji wielokulturowej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. A w 1569 r. federacja Korony Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego utworzyła trzeci człon – Wielkie Księstwo Ruskie i na krótko zaistniała jako Rzeczpospolita Trojga Narodów. Cel polityczny był wciąż ten sam – uniknięcie dominacji zarówno Niemiec, jak i Rosji nad państwami Europy Środkowej.

Po śmierci prezydenta Lecha Kaczyńskiego ideę Międzymorza podtrzymywały rządy PiS oraz prezydent Andrzej Duda. Zwycięstwo koalicji 13 grudnia Donalda Tuska zamyka rozdział samodzielnej polskiej polityki zagranicznej popieranej przez liczne państwa Europy Środkowej oraz USA Donalda Trumpa. Pozostanie nam rachityczna współpraca w ramach Grupy Wyszehradzkiej. Nie liczyłbym też na zmianę stanowiska UE wobec Europy Środkowej po ostatnich zmianach politycznych w europarlamencie. Wśród polityków francuskiego Frontu Narodowego są też tacy, którzy od dawna postulują stworzenie przez kraje UE i Rosję Europy narodów.

Dlatego polskim „być albo nie być” jest dziś kwestia naszej suwerenności. Ważne pytanie zadał na jednym ze swoich wykładów prof. Jan Majchrowski – „czy Polska w ogóle będzie?” Chodzi bowiem o bezpieczeństwo naszego państwa rządzonego przez kompradorskie pseudoelity. Wiele faktów wskazuje na to, że ta liczna i wpływowa grupa nie jest zainteresowana istnieniem suwerennej Polski i neguje naszą niezależność. Idąc dalej śladem tego wykładu, należy odróżnić trzy kluczowe pojęcia, często mylone ze sobą. Chodzi o niezależność, niepodległość i suwerenność. Jeżeli Polska ma być zależna energetycznie od decyzji UE, jeżeli polska gospodarka ma być, jak powiedział w kwietniu br. minister Bartłomiej Sienkiewicz, „wewnętrzną gospodarką Niemiec”, a wcześniej w 2018 r. w restauracji Sowa i Przyjaciele „państwo polskie istnieje tylko teoretycznie”, mamy dowód na to, że Polska traci niezależność. Tym samym szansę na rozwój gospodarczy i cywilizacyjny. Zatrzymanie rozwoju naszego kraju poprzez wstrzymanie licznych inwestycji zapoczątkowanych przez PiS dowodzi, że wśród naszych sprzedajnych elit przeważa przekonanie o polskiej podległości wobec obcych.

Szerszym pojęciem jest niepodległość. Prosta analiza tego słowa wskazuje, że niepodległość to niepodleganie innym ośrodkom politycznym, np. Komisji Europejskiej i jej przewodniczącej, obcym sądom, np. TSUE. Niepodległe państwo nie podlega innym państwom. Takie niepodległe państwo jest równocześnie państwem suwerennym, bo suwerenność to zachowanie przez państwo prawa do podejmowania własnych suwerennych decyzji. Suwerenność to główna cecha państwa, które, jak wskazuje historia, może tworzyć różne federacje czy związki z innymi państwami, ale wciąż zachowuje prawo do podejmowania własnych, suwerennych decyzji w tym zakresie. Trzeba dodać, że te decyzje muszą być podejmowane przez własne instytucje państwa.

Po pół roku rządów Tuska jesteśmy na dramatycznym etapie utraty niezależności gospodarczo-ekonomicznej, niepodległości i suwerenności. W sposób oficjalny, przy aprobacie całej koalicji 13 grudnia i milczącej większości opinii publicznej, manipulowanej przez lewicowe i liberalne media, jesteśmy pozbawiani tych trzech podstawowych atrybutów państwa. Agresywne, centralistyczne plany UE plus przymiarki Tuska do likwidacji Trybunału Konstytucyjnego, Krajowej Rady Sądownictwa, NBP, czystki w sądach, bezprawie prokuratora generalnego Adama Bodnara oraz osłabianie potencjału militarnego WP to obraz zbliżającego się finis Poloniae. Czy tak będzie, zadecydują wolni Polacy.

www.wojciechreszczyński.pl



Obóz Europy

Wypowiedziana Polsce wojna kulturowa nabrała kolejnego, bardzo konkretnego kształtu. To imigranci. Nielegalni, młodzi lenie z Afryki i Azji. Realne zagrożenie dla naszego bezpieczeństwa i bytu społecznego. Tusk dopiął swego i rozpoczął proces przekształcania Polski w europejski obóz dla uchodźców. Niemcy już się zabrali za eksport tego niechcianego „towaru”. Odechciało się im „herzlich willkommen”. Mają to przećwiczone. Eksportowali do nas śmieci, których nie chcą zabrać z powrotem, wiatraki, których wcale nie chcieliśmy, teraz czas na ludzi. Myśleli, że imigrantami uratują swoją demografię, że przyjadą lekarze, architekci i inżynierowie, a przyjechali niewyżyci gwałciciele i nożownicy walęśający się po osiedlach. Tusk doskonale o tym wiedział i dlatego okłamywał naród, że nie zgodzi się na żadną relokację. Zgodził się i otworzył Polskę na nowe niebezpieczeństwo.

Obecna władza nie ma koncepcji i daru rządzenia. I nie poradzi sobie z problemem imigracji, bo pełna jest Kamysów, Hołowni czy Wielgusów, tyleż nijakich, co bezrozumnych. Jakże sprawdza się spostrzeżenie Cata-Mackiewicza sprzed kilkadziesiąt lat: „Przecież my, Polacy, nie znosimy właściwych ludzi na właściwych miejscach. My nie lubimy naczelników, szefów, wodzów inteligentnych. Nawet na przesów naszych stowarzyszeń, stronnictw, organizacji z radością wybieramy ludzi niebojowych, to znaczy pozbawionych indywidualności. Kult pocziwego durnia jest jedynym powszechnie uznanym kultem w Polsce”.

Badania pokazują, że Polacy nie chcą się zrzucić na socjal dla kolorowych intruzów. Istnieje bowiem istotna różnica pomiędzy empatią a frajerstwem. Na razie wychodzimy na tych drugich i przegrywamy. Potrafiłszy w niespotykany gdzieś indziej sposób pomóc Ukraińcom, z których znakomita większość chce i umie pracować, chce się asymilować i uczyć języka. Spotykamy ich wszędzie. Pracują w sklepach, na stacjach benzynowych, w restauracjach, rzemieśle, budownictwie i usługach. Doceniliśmy to. Ale nie ma najmniejszej przesłanki, aby sądzić, że uda nam się to z reeksportowanymi nachodźcami. Przyjmując ich, popełniamy jedną z największych głupot w naszej historii. I to



**Aleksander
Nalaskowski**

*Moim zdaniem
przyjęcie migrantów
to proces całkowicie
nieodwracalny.
Po raz kolejny
dostaniemy od Europy
to, co w niej najgorsze*

się jeszcze na nas zemści. Bo za głupotę płaci się słono. Unia Europejska zdecydowała, że imigrantom trzeba dać darmowe mieszkania, zasiłek daleko wyższy niż dla naszych bezrobotnych, bezpłatne wejściówki do obiektów sportowych czy na pływanię. A nadto zwiększone (do 1000 zł) świadczenie 800+ na dzieci, dostęp do darmowych kursów językowych i inne apanaże. Na to nas najzwyczajniej nie stać! Jesteśmy krajem, w którym cały czas nierozwiązany jest problem mieszkalnictwa, dostępu do tanich mieszkań czynszowych dla młodych małżeństw. Tymczasem każdy imigrant ma dostać za darmo minimum 50-metrowe mieszkanie! Nie mamy dla swoich, ale znajdziemy dla ob-

cych? Bo co, bo Niemcy tak chcą? Bo chcą rękami Polaków i kosztem Polski rozwiązać problemy, których sami sobie przysporzyli?

Jedynym sposobem, aby powstrzymać nielegalną imigrację, jest uczynienie z Polski kraju skrajnie niegościnnego i nader surowego dla niechcianych przybyszów. Trzeba pokazać, że tutaj nie ma dla nich żadnego Eldorado, że nikt tu ich nie oczekuje i nie wita. Na wszelkie inne rozwiązania jest już za późno. Jeśli tego nie zrobimy, to dzielny żołnierz zamordowany na polsko-białoruskiej granicy nie będzie jedyną, ale pierwszą ofiarą kryzysu migracyjnego. Nie zapominajmy, że na razie

to Niemcy dostarczają nam intruzów w ramach „relokacji”, a przecież nie wiemy, jak długo nasza wschodnia granica będzie się opierać naporowi migrantów. Jesteśmy między migracyjnym młotem a kowadłem. Obozy dla migrantów też nie są za darmo. Trzeba je utrzymywać, opłacać kadre, strażników, transport. Na nie też nas nie stać, a jesienią po podwyżkach cen energii nie będzie nas stać tym bardziej.

UE z Niemcami na czele wepchnęła nas w spore bagno, z którego trudno nam się będzie wydostać. Moim zdaniem przyjęcie migrantów to proces całkowicie nieodwracalny. Ich obecność zmieni oblicze polskich miast, które dotąd były bezpieczne. Po raz kolejny dostaniemy od Europy to, co w niej najgorsze. Po ideologii LGBT+, aborcji, Zielonym Ładzie dostajemy kolejną porcję „europejskości”. I pomyśleć, że 15 października mieliśmy szansę, aby tego uniknąć...

OGNIEM NA WPROST

F-16 i Mirage nad Ukrainą



Andrzej Rafał Potocki

Zgodnie z dostępnymi danymi w Stanach Zjednoczonych ma być obecnie szkolonych na kursie zaawansowanym 8 ukraińskich pilotów F-16 Fighting Falcon, a w Danii kolejnych 12. Oznacza to, że do końca roku Ukraińcy będą mieli 20 wyszkolonych pilotów, czyli znacznie mniej niż liczba samolotów, które Kijów ma otrzymać od zaprzyjaźnionych państw. Dania, Norwegia i Niderlandy zadeklarowały przekazanie co najmniej 60 maszyn. Dlaczego informacja ta jest tak ważna? Otóż wprowadzenie do walki zadeklarowanej przez sojuszników liczby falconów diametralnie zmieniliby sytuację na ukraińskim niebie. Podobnie zresztą, jak zaoferowane przez prezydenta Macrona francuskie Mirage 2000-5. Jedne i drugie stosunkowo szybko doprowadziłyby do oczyszczenia przestrzeni powietrznej z ruskiego lotnictwa oraz rakiet samosterujących typu Ch-101/102 czy Ch-555. Przewaga Zachodu w lotnictwie jest największa ze wszystkich rodzajów sił zbrojnych do tego stopnia, że w planach na niedaleką przyszłość jest stworzenie no fly zone (strefy zamkniętej dla latającego Kacapa) oraz izolacja Półwyspu Krymskiego od dostaw z Federacji Moskiewskiej. Wtedy ciężar dostaw przeniesie się z Jasionki pod Rzeszowem na jedno z lotnisk na Ukrainie. Ale żeby nie było tak fajnie, to Waszyngton drapie się już w głowę i kombinuje jak koń pod górę, by Tryzubny nie rozwalili Moskali za szybko.

Już na początku maja informowano, że Niderlandy planują rozpocząć transfer myśliwców F-16 na Ukrainę jesienią. „Taki harmonogram dostaw wynika z ustalonego planu natowskiego” – przekazała minister obrony Kajsa Ollon-

gren. Wcześniej Dania zadeklarowała, że swoją partię myśliwców przekaże Ukrainie już latem. Jeśli chodzi o prezydenta Macrona, to powiedział tylko, że Mirage dolecą w stosunkowo szybkim terminie, ale oliczbie nie raczył wspomnieć. Natomiast Jan-kesi „celowo opóźniają proces szkolenia ukraińskich pilotów samolotów bojowych F-16” – twierdzi Ołeksandra Ustinowa, szefowa ukraińskiej specjalnej parlamentarnej komisji ds. uzbrojenia i amunicji. Zwłoka ma wynikać z obaw Waszyngtonu o reakcję Moskwy na pojawienie się nad frontem licznych F-16 i związanej z tym eskalacji konfliktu między NATO a Rosją. Kijów miał prosić USA o co najmniej 10 dodatkowych miejsc na kursie pilotów F-16, jednak odmówiono im, tłumacząc, że na razie miejsc nie ma. Ale Ukry robią wszystko, żeby obejść kombinację Amerykanów. Wysyłają przyszłych pilotów falconów na szkolenie do Rumunii, a na treningi niższego szczebla do Francji i Wielkiej Brytanii. Z czasem część z nich będzie pilotować F-16, a ci, dla których miejsc nie wystarczy, zasiądą zapewne w kabinach Mirage 2000-5. Gdyby na to spojrzeć z drugiej strony, to opieszałość USA może być również elementem dezinformacji przeciwnika. Jak zwał, tak zwał, ale jedno jest pewne. Gdyby w obecnych oferowanych liczbach samoloty te trafiły na Ukrainę rok temu, Ruski już dawno dałby nogę z Ukrainy łącznie z Krymem.

Słynna niemiecka Pantera, czołg średni z czasów II wojny światowej, tak zalazła Roskom za skórę, że ich T-34 nawet z psem Szariem mógł się schować. W trakcie tegorocznych targów Eurosatory 2024 w Paryżu koncern Rheinmetall zaprezentował najnowszą wersję pojazdu o tej

samej nazwie – KF51-U Panther. Istotną zmianę stanowi wieża nazwana CUT (Concept Unmanned Turret). Jest ona w pełni bezzałogowa i zdalnie sterowana, jej uzbrojenie mogą stanowić zarówno armaty kal. 120 mm, jak i nowa armata kal. 130 mm. Z działem jest sprzężony karabin maszynowy 12,7 mm, a na stropie znajduje się zdalnie sterowany moduł uzbrojenia z karabinem maszynowym 7,62 mm. Wieża jest wyposażona w nowoczesną elektrooptykę, zaawansowany system kierowania ogniem i inne nowoczesne rozwiązania. Wszystko to piękne, ale zdolności produkcyjne niemieckiego przemysłu zbrojeniowego są niewielkie. Gdyby Kacap uderzył w NATO, żadna nowa pantera może jeszcze nie być gotowa. Póki co nowinkę techniczną można podziwiać. Rzecz jasna w fazie prototypowej.

Lukaszenka zadarł z Izraelem. Komentując sprawę przestępstwa korupcyjnego, w które jest zamieszany m.in. inspektor obwodu witebskiego i były minister rolnictwa i żywności Igor Bryla, stwierdził, że „ponad połowa podejrzanych to Żydzi”. Przedstawiciele naszych starszych braci w wierze dostali szału i Yuval Fuchs, szef Biura Ministerstwa Spraw Eurazjatyckich, złożył już skargę do ambasadora Białorusi w Izraelu. Nie jest to pierwsze tego typu wystąpienie białoruskiego dyktatora. W 2007 r. wybuchł skandal po jego słowach: „Jeśli byłeś w Bobrujsku, widziałeś, w jakim stanie jest to miasto. Strach było wejść, to był chlew. A to było głównie miasto żydowskie”. „Ormianie to mądry naród, ponieważ nie ma tam ani jednego Żyda” – to też jego słowa, tyle że z ub.r.

Współpraca: „Skipper”

Michał Korsun prezentuje:
Nabór na prezenterów do TVP Info



Wycinki z przeszłości

Takim zdjęciem, nie wiemy dlaczego smutnym, redakcja „Kobiety i Życia” witała lato 1964 r. Zdobywca prowiantu na urlopie i w drodze było wtedy sporym wyzwaniem, zapewniano jednak o postępie w tym zakresie. „Przemysł mięsny szykuje 3 tys. twędlin suchych i trwałych. Szczególnie gorąco poleca kielbasę belgijską, suchą, pysznie przyprawioną i luksusowy pasztet z drobiu w puszkach.

Mleko skondensowane w tubkach – czyste lub z domieszką kawy czy kakao – też można będzie kupić w drodze. Podobno nie będzie go jednak zbyt wiele. Nowość turystyczną stanowi proszek jajeczny w opakowaniach z folii polietylenowej.

Będą najrozmaitsze zupy w kostkach, rosół z drobiu (pasta), drugie dania i całe zestawy obiadowe. Z uznaniem turystów spotykają się na pewno zupy »błyskawiczne«, których nie trzeba gotować, wystarczy rozprowadzić we wrzącej wodzie.

Jeżeli handel »nie nawali«, na szlakach turystycznych nie powinno też zabraknąć czekolady, będącej doskonałym, kalorycznym środkiem odżywczym na ciężkich i męczących trasach, gdzie trudno dźwigać niewygodne puszki. Tutaj także nowość: 10- i 50-gramowe tabliczki”.

Tyle prasa. Zestarszych wspomnień wynika, że w trakcie wędrownych obozów w tamtych latach dominował chleb ze smalcem i herbata. Za to humory były wymśnienite. **mk**



Z WOLEJA

Niemcy, Euro 2024, piłka i rasizm



Ryszard
Czarnecki

21 proc. Niemców uznało, że „byłoby lepiej, gdyby w drużynie narodowej było więcej białych piłkarzy”. 17 proc. stwierdziło, iż „to wstyd, że kapitan reprezentacji Niemiec ma tureckie korzenie”. Czy BBC, z taką ochotą zajmująca się rasizmem polskich kibiców, zrobi reportaż o naszych zachodnich sąsiadach? Zapewne ma inne priorytety.

Trwa piłkarskie Euro 2024 i oprócz emocji sportowych jest też dużo politycznych. Kibice albańscy, skądinąd wraz z angielskimi (temat dla BBC?), chcieli starcia z kibicami Serbii, ale nie chodziło o mecz piłkarski, tylko o sporty walki. Serbowie nie chcieli, mówiąc żargonem futbolowym, „odstawić nogi” i musiała interweniować policja. Na czele kibiców Serbii, rwących się do załatwienia bałkańskich porachunków na niemieckiej ziemi, był syn prezydenta tego kraju, co zapewne przełoży się na wzrost poparcia dla Alaksandara Łuńcowa, który w szwajcarskich mediach dopiero co zapowiedział III wojnę światową.

W Bundestagu też pasjonują się mistrzostwami Europy. Jego wiceprzewodnicząca o bardzo znanym w dziejach tego kraju nazwisku Katrin Goering-Eckardt ćwierknęła na platformie X (d. Twitter): „Wyobraźcie sobie przez chwilę, że graliby tylko biali niemieccy gracze”. Zrobiło się piekło, po czterech godzinach tweet zniknął, a „polityczka” z Partii Zielonych napisała „Przepraszam za sposób, w jaki to sformułowalam” (!). Zanim jej wpis zniknął, inny wiceprzewodniczący Bundestagu o nazwisku Kubicki zasmucił się: „To naprawdę niepokojące, gdy ludzie w Niemczech są oceniani na podstawie koloru skóry”. A mnie się przypomniał fragment z filmu „Psy”: „Czasy się zmieniają, a pan cały czas w komisjach”. Tak, czasy się zmieniają, ale jak widać w Niemczech pewne rzeczy pozostają niezmiennie.

Tropiący rasizm kolejni brytyjczycy dziennikarze, tym razem z „Daily Mail”, oskarżyli o to holenderskich kibiców, którzy podczas meczu z Polską pomalowali sobie twarze na czarno i włożyli peruki, w ten sposób upodabniając się do legendarnego niderlandzkiego piłkarza Ruuda Gullita. Jeden z owych kibiców powiedział potem, że już więcej tak nie zrobi i że „może popełnił błąd”. Fani jednak chcieli po prostu uczcić w ten sposób dawną gwiazdę reprezentacji Oranje, ale dla Brytyjczyków ważniejsze było tropienie rasizmu – byle nie na Wyspach Brytyjskich. **✓**

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

* Dane do przewoju w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Nie o taką chodzi

Jest prawie bóstwem. Należy jej pragnąć. Trzeba ją pomnażać. Pielęgnować. Nie wolno kwestionować. Przynajmniej na głos. Przecież ktoś mógłby się poczuć urażony.

RÓŻNORODNOŚĆ

Oto jeden z kluczowych motywów postępowego Zachodu – w tym naszej Unii Europejskiej. Ludzie mają być różnorodni, ile się da. Szkoły i uczelnie, zespoły pracownicze. Najlepiej pod względem płci, gender, rasy, krajów pochodzenia. Ale już niekoniecznie pod względem stylów myślenia, ideologii, które tym ludziom wydają się być słuszne. Bo przecież naj-słuszniejsza jest ideologia brukselska – ideologia postępującej integracji.

Aby tę integrację pogłębiać, nie można premiować wszystkich rodzajów różnorodności.

JEDNOSTKOWA I WSPÓLNOTOWA

Polityka różnorodności może się skupiać na jednostkach. Przecież każdy ma swoje jakże oryginalne pragnienia, style życia czy gusta estetyczne. Każdy jest inny. Zatem każdy może wybrać, gdzie chce mieszkać, co robić, z kim żyć. Kim chce być! A wybierać może bez żadnych ograniczeń i zobowiązań wobec kogokolwiek – rodziny, tradycji czy swojego kraju. Może z wydłużającej się listy genderów zapoczątkowanej przez literki LGBTQIAP+ wybrać sobie dowolną albo wymyślić własną. Tak wykaże się kreatywnością.

Ale w Unii jest także inna różnorodność – różnorodność państw narodowych, ich tradycji i kultur, systemów prawnych i administracyjnych. Można powiedzieć, że to różnorodność wspólnot. Zróżnicowanie grup ludzi, których łączy wspólna przeszłość, obyczaje, mity, pragnienia. Zbiorowości połączone mnóstwem wspólnych spraw istnieją od setek lat.

Choć deklaratywnie różnorodność kultur w UE jest chwalona, to jednak



Choć deklaratywnie różnorodność kultur w UE jest chwalona, to jednak bardziej promowana jest różnorodność jednostek ludzkich

bardziej promowana jest różnorodność jednostek ludzkich. Zwiększanie różnorodności jednostek jest bowiem postępowe, zaś pielęgnowanie odmienności poszczególnych państw członkowskich Unii – co najmniej podejrzane.

Kryje się za tym nie tylko swoiste ideologiczne zaślepienie, lecz także pewien przemyślany interes.

INTERES RZĄDZENIA I WYZYSKU

Postępujące zróżnicowanie jednostek, wyrywanie ich z tradycyjnych kontekstów społecznych – rodziny, grupy sąsiedzkiej, pracowniczej, lokalnej – ten proces hiperindywidualizacji zamienia człowieka-istotę społeczną w osamotnione, rozpaczliwie zagubione atomy. Atomami łatwiej zarządzać, popychać w jedną czy drugą stronę za pomocą

mody, ekscytacji, szczucia czy rozděcia ambicji do granic możliwości.

Ze wspólnotami, zwłaszcza tymi osadzonymi w tradycji, jest inaczej. Trudniej. We wspólnotach ludzie mają bowiem czas, by ze sobą rozmawiać, oceniać te przekazy, które podsuwa im maszynka elektronicznej infosfery. Wspólnoty mają swoje odrębne wzorce wartości. Mają filtry, przez które nie tak łatwo przesączyć sztuczki manipulacyjne, tak skuteczne w przypadku zdeorientowanych indywidualistów.

Świat atomów z pewnością jest łatwiejszy do zarządzania przez potężne, nie całkiem jawnie działające grupy interesów. Wspólnotowość nie tak łatwo podda się modzie na pierwszą lepszą innowację.

Jeśli Unia ma się zdrowo rozwijać, jeśli ma być naszym wspólnym domem, to najwyższy czas, by istotna część jej elit intelektualnych się opamiętała. By doceniony został fakt wielkiej wartości zróżnicowań kultur na poziomie tych wspólnot, którymi są państwa członkowskie. Różnorodność jednostek nie przyniesie ani dobrego życia, ani osób z poczuciem własnej wartości.

Pora dostrzec, że mnożenie kolejnych tożsamości genderopodobnych to droga do dezorientacji, manipulacji, depresji i samotności. Nie ma kultury zrozumienia i szacunku bez więzi wspólnotowych.

NIKOGO NIE PORZUCAMY

Tradycyjne państwa narodowe mają wiele wad. Ale domagając się od swoich obywateli lojalności, np. wywiązania się z obowiązku służby ojczyźnie, oferują zarazem zasadę „No man left behind”.

Nie zostawiamy nikogo z tyłu, nie porzucamy towarzyszy broni czy członków zespołu, tylko wspólnie wycofujemy się lub jesteśmy ratowani. Jest to kwestia honoru, wierności i wzajemnego zaufania.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL

W CENTRUM WYDARZEŃ

LIVE!

CODZIENNIE OD 8:00

» Informacje » Komentarze » Analizy



OGŁĄDAJ NAS 

NA POZYCJI
polsat box 
wcześniej Cyfrowy Polsat **196**

NA POZYCJI
N E T I A **192**

NA POZYCJI
 **32**

NA POZYCJI
 **vectra** **825**

NA POZYCJACH
 **339** dekodery
dawniej UPC Mediabox

121 dekodery
KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl bca7112599



Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci”, abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci”!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci”

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika **SIECI** ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
109 zł	189 zł	349 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu,** opłać prenumeratę na pocztę, podając dane do wpłaty w okienku



Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na pocztę:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty:

.....
(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota:

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 349 zł)

